Łódź

# Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 45 (1441) ROK XXVIII 9 LISTOPADA 1985 ROKU CENA 20 ZŁ


- Rewolucji nie można zadekretować
- Edmund Halley i jego kometa
- Zanim wsiądziemy do metra...
- Dwa razy groza

Foto: Grzegorz Gałasiński

## Koniec mitu eksportowej szynki

TERESA JERZYKOWSKA -

Ponad 30 wystawców z 19 krajów, prezentujących swoją ofertę na powierzchni 30 tys. m. kwadratowych — jest to wynik, który stawia targi specjalistyczne **Polagra—Agroexpo** na drugim co do wielkości miejscu po ogólnobranżowych czerwcowych Międzynarodowych Targach Poznańskich. Sukces organizacyjny tym większy, że te specjalistyczne targi międzynarodowe zorganizowane zostały w tym roku w Poznaniu po raz pierwszy. Zainteresowanie jakie wzbudziły wśród zagranicznych wystawców i handlowców świadczy zresztą nie tylko o doskonale przeprowadzonej promocji samej imprezy, ale i o pewnym zainteresowaniu, czy może, w niektórych przypadkach, zaciekawieniu, jakie za granicami budzi polskie rolnictwo i gospodarka żywnościowa.

### POLSKA OFERTA

Celem targów **Polagra-Agroexpo** było przede wszystkim otwarcie — szerzej niż dotychczas — drzwi na światowe rynki dla polskiego rolnictwa, przemysłu rolno-spożywczego oraz przemysłu produkującego sprzęt i środki produkcji rolnej, a także poprawa warunków do międzynarodowej wymiany najnowszych osiągnięć nauki i techniki w tych dziedzinach.

Targi, cieszące się tak dużym zainteresowaniem zorganizowane zostały w czasie, gdy polskie rolnictwo i przemysły, produkujące na jego potrzeby nie tylko nie muszą wstydzić się przed światem swego poziomu, ale w wielu przypad-

5

## Czego nie powiedziałem radiosłuchaczom

Chłop zabił chłopa w sporze o miedzę. Cała wieś jest przeciwko zabójcy. Banalne, prawda? A przecież był to jeden z moich najlepszych reportaży. Nosił tytuł *„Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom"*. Jednych zachwycał, innych przerażał, ale wszystkich zmuszał do refleksji.

### GDY LUDZIE WYSZLI Z KOŚCIOŁA

I na tym polega siła reportażu radiowego. Mówi o prawdach niby dawno odkrytych, banalnych, ale tak, że słuchacz nie może być obojętny. W moim reportażu główną rolę odgrywały: nastrój i ludzkie emocje. Nastrój cmentarza i pogrzebu, nastrój kościoła i mszy, wreszcie emocje ludzi. Po wyjściu z kościoła po mszy świętej, na której głośno mówili: *„i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom"* — zwierzają się reporterowi radiowemu, co by zrobili zabójcy.

Matka zabitego wyrwałaby mu język i palcami wydłubała oczy, któryś z sąsiadów rozszarpałby końmi, ktoś inny wdeptałby go w ziemię, kaleka bez nóg i rąk uciąłby mu właśnie ręce i nogi, nie sam oczywiście, bo to byłoby fizycznie niewykonalne, ale o wykonanie takiej kary na zabójcy prosiłby kogoś z rządu.

No, ale miałem pisać nie o tym, co było w reportażu, ale czego nie było o czym nie powiedziałem radiosłuchaczom. A zatem rzecz będzie o tajemnicach radiowej kuchni i o tym, o czym nie mówimy na antenie. Otóż nie powiedziałem na przykład, jak trafiłem do wsi w województwie skierniewickim, gdzie rozegrała się cała tragedia. Opowiedział mi o niej kolega technik, który ma znajomego w Zofiówce (nazwa wsi zmieniona).

JÓZEF WOJCIESZCZYK

### A CZAS ODGRYWAŁ OGROMNĄ ROLĘ

Po pierwsze — zależało mi na konkursie na reportaż radiowy — termin konkursu upływał za dwa tygodnie, po drugie wiedziałem, że pełnomocnik rodziny zabitego ma zamiar mi przeszkodzić w nagraniu tego reportażu. W tej sytuacji mając poparcie sądu, prokuratury, milicji i w ogóle „wszystkich świętych" byłbym wobec sprzeciwu pełnomocnika rodziny — bezradnym. A zatem musiałem go wyprzedzić. Kolejne szczęście, jakie mnie spotkało wynikało z pewnego nieporozumienia.

Opowiedział mi to w takiej wersji: chłop zabił chłopa, po czym mieszkańcy wsi przywiązali zabójcę łańcuchami do dwóch traktorów i usiłowali go rozerwać. Znalazł się jednak jakiś sprawiedliwy, przejezdny, który wyperswadował to ludziom i niejako porwał zabójcę do samochodu, po czym zawiózł go na posterunek MO. Scenariusz jak z filmu kryminalnego. Z tymi traktorami i łańcuchami to była przesada, ale fakt, że ludzie chcieli zlinczować zabójcę. Połknąłem haczyk i zająłem się tą historią.

Pomagało mi wielu ludzi, a przede wszystkim szczęście, bo czyż to nie szczęście, jeśli okazuje się, że szef Prokuratury Rejonowej, która prowadzi sprawę, to kolega ze studiów prawniczych, kolegą ze studiów jest także sędzia, a naczelnik aresztu śledczego, gdzie przebywa zabójca, to kolega mojego szefa. W tej sytuacji dotarcie do akt, do aresztu nie stanowiło problemu. Każdy inny reporter byłby w dużo gorszej sytuacji i straciłby dużo więcej czasu.

Otóż któregoś wieczoru odwiedziłem Zofiówkę, gdzie rozmawiałem z kilkoma ludźmi m.in. żonami zabitego i zabójcy. To się tylko tak mówi, któregoś wieczoru odwiedziłem Zofiówkę, ale to są emocje: nieznana wieś, łatwiej spotkać psa niż człowieka, ciemno choć oko wykol, wchodzisz do domu, w którym mieszka rodzina zabójcy, i nie wiesz, jak cię tam przywitają, przecież niekoniecznie chlebem i solą. Ale nie o tym chciałem pisać. Wszystkim, których spotkałem w Zofiówce mówiłem, że przyjadę w niedzielę przed południem i spotkamy się po mszy w kościele. Będę czekał przed domem zabójcy, w miejscu, gdzie rozegrał się cały dramat. No nie cały. Kolejny dramat miał rozegrać się właśnie w niedzielę. Kiedy zobaczyłem tłumy ludzi w umówionym miejscu, pomyślałem że stało się coś niedobrego. Wytłumaczono mi, że zeszła się cała gmina, bo ma być wizja lokalna i mają przywieźć tego, który zabił. Wszyscy więc przyszli, aby się z nim „rozliczyć". Było to oczywiste przekłamanie mojej informacji, że przyjadę z ekipą radiową. Sąsiad przekazywał sąsiadowi, każdy coś dodawał, no i w końcu wszyscy uwierzyli, że ma być wizja lokalna.

### CZY MNIE POBIJĄ?

Było to dla mnie szczęście i zarazem nieszczęście. Szczęście, bo czyż reporter może wymarzyć sobie lepszą sytuację, kiedy na skutek przypadku ma w jednym miejscu prawie wszystkich zainteresowanych. Nieszczęście, bo wyobraźcie sobie taki oto obraz: z jednej strony mały domek, a w nim Bogu ducha winne żona i córka zabójcy, z drugiej tłum ludzi pałający chęcią zemsty zrozpaczonych, ale gotowych na wszystko. Wiemy coś o psychologii tłumu. Pomiędzy tym domkiem a tłumem tylko lichy płotek i nasza czteroosobowa ekipa. I teraz jaką ja mam gwarancję, że tłum w pewnym momencie nie ruszy na dom, w którym są tylko dwie samotne kobiety. Kto za to będzie odpowiedzialny? Poniekąd ja. Tym bardziej, że komendant MO w Brzezinach chciał mi przydzielić ochronę, nie zgodziłem się. Był to rok 1982. Pamiętacie, jaka była wtedy sytuacja. Nie chciałem więc tej obstawy.

Teraz nasza skromna ekipa zajmuje stanowisko naprzeciw furtki. Właściwie to dyskretnie zatarasowaliśmy wejście do domu. Tak na wszelki wypadek. Jest jeszcze inna sprawa. Mamy ze sobą drogi sprzęt: magnetofony Nagra „Kudelskiego", ponoć najlepsze w świecie, kosztują tysiące dolarów. Co będzie, jeśli tłum zdemoluje nam sprzęt, kto będzie za to odpowiadał?

### DYGRESJA NR 1

Tu muszę opowiedzieć pewną historyjkę, która wyjaśni czym dla nas radiowców jest sprzęt. Otóż swego czasu dwóch kolegów kierowca Zbyszek Kruk i technik Janusz Kubs mieli wypadek. Jakiś samochód zajechał im drogę i Zbyszek mając do wyboru wyrżnąć w ten samochód albo w sąsiedni dom, wybrał tę drugą ewentualność. Uderzenie było mocne. Magnetofon Nagra wyleciał z samochodu i przebył w powietrzu chyba ze 30 metrów. I co dzieje się? Centrum miasta, samochód rozbity, ludzie poturbowani i zakrwawieni wyskakują z samochodu i w szoku szukają magnetofonu. Świadkowie tej sceny nie mogą zrozumieć, co się właściwie dzieje. Dwaj ludzie cudem uszli z życiem z tego wypadku, i jeśli już nie na cmentarz, to powinni jak najprędzej jechać do szpitala lub do pogotowia. A oni biegają po ulicy i szukają Nagry. Otóż w tym szaleństwie jest metoda. Po prostu mają oni zakodowane, że najważniejszy i najdroższy jest sprzęt. Samochód fiat 125, jest dużo tańszy niż na przykład magnetofon Nagra. A ludzie, a zdrowie? — spytacie. Cóż, ludzi można zawsze do pracy znaleźć, gorzej ze sprzętem, a zdrowie — jak ktoś pracuje w radiu, to o zdrowiu nie mówi. No i ani Janusz, ani Zbyszek o zdrowiu nie mówili. Znaleźli magnetofon i obaj prawie jednocześnie zemdleli. Wtedy już mogli, wtedy już mieli prawo zemdleć. Ale wróćmy do nagrania.

### DYGRESJA NR 2

Uspokajam co bardziej zdenerwowanych rozmówców, czyli działam sam przeciwko sobie. Tu muszę zdradzić inną tajemnicę radiowej kuchni. Każdy rasowy reporter radiowy wie, że aby reportaż był dobry, to czasem trzeba ludzi zdenerwować. Celowo. Różnie można o takich metodach sądzić, ale to fakt, że kiedy zdenerwuje się ludzi, są bardziej szczerzy, otwarci, więcej powiedzą. Sam czasem stosuję tę metodę. Działam jednak w dobrej wierze, bo jeśli mój reportaż ma coś załatwić, kogoś do czegoś przekonać, to musi być sugestywny, dramatyczny, dobry.

5

# Odgłosy

**Adres redakcji:** 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

**Telefony:** redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

**Redaktor naczelny:** Lucjusz Włodkowski.

**Sekretarz redakcji:** Grażyna Olechnowicz.

**Kierownik działu literackiego:** Grzegorz Gazda

**Redaktor techniczny:** Janusz Kozłowski.

**Zespół:** Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Tomasz Sas, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

**Grafik:** Janusz Szymański-Glanc.

**Fotoreporter:** Grzegorz Gałasiński,

**Korekta:** Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

**Stale współpracują:** Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

**Wydawca:** Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

**DRUK:** Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

**Warunki prenumeraty:** 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28. 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam.: 3297. P-12.

# Przegląd prasy

Opublikowane swego czasu *„Założenia projektu ustawy o rozszerzeniu udziału młodzieży w życiu społeczno-politycznym, gospodarczym i kulturalnym kraju"* wywołują sprzeczne opinie i poglądy. Jedni są za chwaleniem takiej ustawy, drudzy są temu zdecydowanie przeciwni. 21 października 1985 roku odbyło się X Forum Młodego Pokolenia, którego uczestnicy starali się przedstawić swoje racje w sprawie wspomnianych *„Założeń"*. Relację z tego Forum opublikował „SZTANDAR MŁODYCH" w piątkowym wydaniu z datą 25—27 października 1985 roku. Tytuł relacji *„Zburzyć schematy"*.

Janusz Romanowski

## BRONIŁ KONCEPCJI

wedle której młodzież musi mieć swoją ustawę. A to dlatego, że młodzież jest *„grupą", w której z jednej strony płyną silne prądy mogące być podstawą postępu, ale jednocześnie nie posiadającą solidnych podstaw do tego, żeby prezentować swoje racje w taki sposób, jak prezentują to starsze grupy społeczne"*

Natomiast Adam Wójcik zaprezentował zgromadzonym argumenty przeciw uchwaleniu takiej ustawy:

*„Bo przecież każdy obywatel, po ukończeniu lat 18 posiada pełnię praw konstytucyjnych w naszym kraju. Nie ma więc potrzeby rozszerzania tych uprawnień dla udziału w życiu politycznym, gospodarczym czy kulturalnym. Projekt tez, o którym dyskutujemy ujmuje zagadnienie w ten sposób, że będzie rozszerzony udział młodego pokolenia w życiu politycznym, gospodarczym i kulturalnym kraju, jeżeli będzie ono wypełniało obowiązki obywatelskie. Chyba nie tędy droga, ponieważ obowiązki obywatelskie bez ustawy o młodzieży powinny być przez młodzież i tak wypełniane. Takie są obowiązki konstytucyjne wszystkich obywateli PRL. Między innymi te, o których mowa w tezie trzeciej, czyli obowiązek dobrej nauki, obrony socjalistycznej ojczyzny".*

Uczestnicy Forum nie byli zgodni w poglądach, a nawet niektórzy z zabierających głos byli wewnętrznie rozdarci. Na przykład Henryk Michalkiewicz z Jędrzejowa powiedział: *„Jestem za uchwaleniem ustawy, choć sama idea budzi wiele kontrowersji"*. Leszek Wyrobiec z Krakowa zaprezentował inny pogląd — jednoznaczny w swojej negatywnej wymowie: *„Jestem generalnie przeciwko ustawie o młodzieży. Między innymi dlatego, że w Polsce problemy dotyczące młodzieży dotyczą całego społeczeństwa"*.

Relacja wystąpień zaprezentowanych na Forum w „Sztandarze Młodych" pokazuje, że młodzi mają dość jasny pogląd swej sytuacji i obawiają się, że samo uchwalenie ustawy niczego nie zmieni. Andrzej Elbanowski — wiceprzewodniczący Rady Krajowej PRON nie miał wątpliwości, że udział młodzieży w życiu kraju jest problemem. *„Barierą jest m. in.* — powiedział — *z jednej strony niewystarczające przygotowanie młodzieży do pełnienia ról społecznych, a z drugiej strony postawa starszego pokolenia"* Ale czy ustawa jest w stanie stan ten zmienić? *„Moim zdaniem* — mówił dalej *— nie ma gorszego grzechu, jak tworzenie norm prawnych, które nie mają sankcji! W prezentowanych założeniach wyczytałem tylko wiele pobożnych życzeń"*.

Z relacji przedstawionej w „Sztandarze Młodych" wynika że większość uczestników Forum miało raczej zastrzeżenia i wątpliwości, choć były i takie głosy jak Mirosława Oślińskiego z Katowic, który powiedział że *„ustawa o młodzieży jest potrzebna, choć na pewno nie tak sformułowana jak prezentowane tezy"*. Natomiast Włodzimierz Kiciński z Warszawy, wyraził przekonanie, że *„społeczeństwo jest już trochę znudzone tym ciągłym procesem uchwalania ustaw"* i stąd tyle rezerwy i zastrzeżeń przy każdym nowym projekcie. Jego zdaniem potrzebne są raczej istotne zmiany w samym życiu społecznym, a nie dekrety zmiany te tylko zapowiadające. Podobnego zdania był Maciej Szafrański z Zielonej Góry, który wyraził się wręcz, że *„ta ustawa nie ma sensu, jeżeli nie zagwarantuje młodym realizacji ich celów i interesów. A tych jest bardzo dużo, jak choćby budownictwo mieszkaniowe, opieka zdrowotna, dostęp do alternatywnej kultury itp."* Sama ustawa tego wszystkiego nie załatwi, bo zależy to nie od norm prawnych, a rzeczywistej pracy nas wszystkich i dlatego bardzo słusznym wydaje się stwierdzenie Włodzimierza Kicińskiego, że młodym bardziej od ustawy potrzeba *„nowych treści programowych w działalności organizacji młodzieżowych"*.

Do zrobienia jest wiele, więcej niż możliwości. Oto „ŻYCIE GOSPODARCZE" (nr 42 z 20 października 1985 roku) przynosi artykuł Zbigniewa Grzegorzewskiego pt. *„Czy minister zechce zapłacić karę?"*. Artykuł opowiada

## O BUDOWIE W KONSTANTYNOWIE ŁÓDZKIM

Budowę prowadzi Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, to samo, które buduje Szpital Pomnik i które zostało zobowiązane do 1987 roku wybudować przędzalnię w „Konstilanie", ale utrzymuje, że tego zrobić nie może i proponuje przyjęcie nowego terminu — 1989, czyli o dwa lata późniejszego. Dla „Konstilany" oznacza to utratę priorytetu, straty finansowe i opóźnienia o dwa lata dostaw przędzy.

*„W Konstantynowie Łódzkim* — pisze Zbigniew Grzegorzewski— *zapewniają, że jeśli przedsiębiorstwo budowlane nie zmieni swego postępowania, to „Konstilana" wystąpi o odszkodowanie w wysokości pięciuset milionów złotych! Łódzka „przemysłówka wyjaśnia, że realizuje same priorytetowe budowy, których jest coraz więcej. I nie zamierza powrócić do Konstantynowa, choć gwarantowałoby to w tym roku każdemu pracownikowi Łódzkiej „przemysłówki" zatrudnionemu przy budowie przędzalni wzrost płac o trzy tysiące złotych miesięcznie"*.

„Konstilana" długo walczyła o nową inwestycję i w 1975 roku postanowiono wybudować przędzalnię w Konstantynowie, która dawałyby 1 744 ton przędzy rocznie. Obecnie produkuje się przędzy 966 ton rocznie. Z nowej przędzalni przeszło 700 ton przędzy miało być przeznaczone dla innych fabryk przemysłu lekkiego. Opóźnienie budowy przędzalni w Konstantynowie opóźnia program rozwoju polskiego przędzalnictwa.

Inwestycja przemysłu lekkiego w Konstantynowie została „zamrożona", budowlani z ŁPBP zeszli z placu budowy, zapominając przy okazji, że mieli też postawić kotłownię, która miała ogrzewać nowe mieszkania w Konstantynowie. Ale, jak „zamrożone", to zamrożone. „Konstilana" odwołała się do Głównej Komisji Arbitrażowej, sprawę wygrała i Główna Komisja Arbitrażowa w 1983 roku stwierdziła, że *„zawarte dawniej umowy są nadal obowiązujące"*. W 1984 roku kotłownie oddano do użytku. Ale sprawa z przędzalnią nadal była niejasna.

W 1983 roku decyzją nr 7 Prezydium Rządu postanowiło zintensyfikować produkcję przemysłu lekkiego, a przede wszystkim odbudować przędzalnictwo. Dla „Konstilany" oznaczało to nową szansę. Ograniczono założenia inwestycyjne i postanowiono przede wszystkim skoncentrować się na wybudowaniu przędzalni o rocznej wydajności przędzy w wielkości 1 744 ton. Ale „przemysłówka", choć podpisała wstępną umowę, domaga się zgody na przesunięcie terminu o dwa lata. Dla „Konstilany" jest to strata 538 mln złotych, a dla przemysłu lekkiego opóźnienia o dwa lata w większych dostawach przędzy. Przeszło 700 ton to nie taka bagatelka.

Gdy nastał zły czas dla inwestycji i zaczęto je zamrażać, również zły czas przyszedł dla ŁPBP. Trzeba było szukać roboty. Znaleziono ją między innymi w Toruniu i w Tomaszowie Mazowieckim. Teraz znów pojawiły się priorytety. Jest ich dużo, bo i „Konstilana" i „Wagmet" i ZPW im. A. Struga i Szpital Pomnik. *„ŁZPB* — pisze Zbigniew Grzegorzewski — *zatrudnia 450 ludzi w produkcji podstawowej. Z tego 120 pracuje na budowie szpitala-pomnika. Skąd wziąć 70 osób by skierować je do Konstantynowa? Priorytetów jest tyle, że trzeba między nimi wybierać. Formalnie priorytety nie dotyczą szpitala-pomnika, ale zejście z tej inwestycji jest niemożliwe..."*. Kierownictwo ŁPBP stanęło więc przed nie lada problemem.

„Konstilana" znów poszła do arbitrażu. Okręgowa Komisja Arbitrażowa uznała w czerwcu 1985 roku, że *„umowa przedwstępna jest wiążąca, z terminem zakończenia budowy do końca 1987 r."* Wiceminister E. Waszak przysłał do ŁPBP pismo, w którym zobowiązał dyrektora ŁPBP *„do podpisania w trybie pilnym (...) z terminem przekazania do eksploatacji — 1986 r. i zakończenia inwestycji w 1987 roku"* umowy między ŁPBP i „Konstilaną". Ale ŁPBP trwa przy swoim.

Z. Grzegorzewski kończy więc artykuł następująco: *„Może dominuje przekonanie, że zamówienia rządowe zawsze „dopchnie się kolanem"? Być może priorytetów jest tak wiele, reforma w budownictwie słaba, a presja pozaekonomiczna wykonawców tak silna, że przędzalnia w Konstantynowie Łódzkim nie zostanie w ogóle wybudowana..."*. Być może? Pożyjemy, zobaczymy!

Wrocławskie „SPRAWY I LUDZIE" wiele miejsca poświęcają problemom obyczajowym, moralnym. Ostatnio Wiesław Uczkiewicz i Andrzej Cynkar zajęli się ludźmi nie pasującymi swoimi postawami do moralności, swoimi dewiacjami odbijającymi się od obyczajowego tła. W nr 35 pisali *„o niestandardowym zaspokajaniu seksualnych pragnień niektórych członków kieleckiego klubu „Poznajmy się"*, a w nr 43 z 24 października 1985 roku prezentują artykuł pt.

## „CO JA KOMU SZKODZĘ?"

Jest to — jak piszą sami — *„monolog zdewiowanego mężczyzny"* wydaje się on — ten monolog — pozornie sensacyjny, a w istocie jest smętny. Autorzy zastrzegają się, że nie przerywali mężczyźnie z którym spotkali się w krakowskiej kawiarni „Europejska". Nim jednak sprezentowali monolog napisali krótki komentarz. Oto jego fragment:

*„Dzisiejszy monolog zdewiowanego mężczyzny jest smętny, pozornie sensacyjny. Napawa refleksją nad magią uwarunkowań rodzinnych, nad wpływem czasów dzieciństwa na dorosłe życie. Ludzie o innym pod powszechnie uznanego systemie wartości czują się w każdym społeczeństwie źle. Są osaczeni, bojaźliwi, przybierają ochronne barwy utrudniając ich identyfikację...*

*Dzisiejsza opowieść „sentymentalnego pederasty" uzmysławia, iż moralność, z którą stykamy się codziennie, obyczajowy i moralny standard mogą być aranżowane w dramatyczny sposób. Mechanizmem jest lęk, by zatuszować skłonności do zachowań nietypowych..."*

A sam monolog?

Tego się nie da streścić, opowiedzieć. To trzeba przeczytać. Opowieść zaczyna się od słów: *„Gdy miałem szesnaście lat znalazłem się w łóżku swego trenera..."*. Reszta już była tylko konsekwencją inności i tego faktu. To trzeba przeczytać nie dla sensacji, ale aby uświadomić sobie, że każdy z nas bywa w bardzo różny sposób odpowiedzialny za innych. Czasem nie mając świadomości.

LUCJAN BOGUSZ

## NA WŁASNY RACHUNEK

# Pod płaszczykiem kultu

Myślę, że każdy rozsądny, jako tako światły człowiek traktuje cudze wierzenia religijne (lub ich brak) jako sprawę prywatną, godną uszanowania i rzadko pozwalą sobie czyjś światopogląd poddawać bezlitosnej krytyce lub drwinie. Zwłaszcza w obecności zainteresowanego uchodzi to za szczególnie rażący nietakt i może być kwalifikowane jako naruszenie sfery najpodniosłejszych uczuć. Zresztą i konstytucja bierze tę sferę w ochronę.

Czy jednak obowiązkiem człowieka światłego jest wyrozumiałość i tolerancja również wobec guseł i innych przejawów zabobonu, jednakowe respektowanie myślenia magicznego i naukowego? Jest to ciągle temat otwarty i wiele w nim spraw niedopowiedzianych, pomimo tego sądzę, że jest się wszędzie i zawsze obowiązanym szerzyć światło rozumu, iść za przykładem pewnego młodego szlachcica z połowy osiemnastego stulecia. Otóż brał on udział w polowaniu, a dotarłszy wraz z towarzyszami do okazałego dębu i dowiedziawszy się, że jest on chroniony przez złe moce i biada śmiałkowi, który by tknął go toporem, zapytał zebranych, kto się na to odważy. A ponieważ na wszystkich padł blady strach, onże stolnik sam chwycił topór i zaczął nim zadawać ciosy świętemu drzewu. Owym człowiekiem był późniejszy król — Stanisław August.

Do zajęcia podobnie „oświeconej" postawy, wprawdzie nie z toporem, lecz z długopisem w ręku, skłania mnie przerażający w swej wymowie reportaż telewizyjny z Nowego Dworu, gdzie na jednym z drzew miała się, najpierw komuś jednemu, a potem innym, ukazać Matka Boska. Jest to w powojennej Polsce któryś z rzędu podobny wypadek począwszy od głośnego „cudu lubelskiego", ale dopiero pierwszy raz, może dzięki naocznemu uczestnictwu (choć za pośrednictwem szklanego ekranu) odczułem tak silne zaniepokojenie czymś, co jest świadectwem zabobonu, choć ma pozór faktu religijnego.

Niepokoi mnie, że tak wielu ludziom w Polsce nie wystarcza normalne, usankcjonowane przez instytucję kościelną życie religijne. Mało im nauk moralnych, mało prawd wiary, mało obrzędów? Dlaczego tak bezwzględnie potrzebują cudu i gotowi są uznać za cud każde przywidzenie (nawet nie swoje własne, lecz zasłyszaną plotkę)? Dlaczego lekceważą sobie słowa swojego proboszcza, który im mówi, że cud dokonuje się w kościele podczas mszy (zapewne miał na myśli eucharystię)? Dlaczego ludziska wolą gusła pod płaszczykiem religijnego kultu?

Zaskakujące to w kraju, gdzie większość stanowią nie tylko metrykalni, lecz w swoim mniemaniu, prawowierni katolicy. Otóż myślę, że dla wielu tych, co uchodzą za wierzących, religia jest zbyt trudna w swoich moralnych zakazach: „nie kradnij, nie cudzołóż, nie mów fałszywego świadectwa..." i w nakazie miłowania bliźniego, toteż pozostają oni w swej mentalności poganami, nie różniącymi się wiarą w gusła i czary od ludów pierwotnych. Od kościoła zaś oczekują nieustannego demonstrowania cudownych wydarzeń, dla potwierdzania mandatu do stawiania im wymagań moralnych. Dla nich cud na drzewie „to jest to", bez żadnych wymagań oprócz samej wiary, że cud się zdarzył. To przecież prawda znana od dawna, że cudów potrzeba ludziom małej wiary.

Z reakcji wielu telewidzów (w tym i moich prywatnych znajomych) na wydarzenia w Nowym Dworze wynika, że razi ich i niepokoi przede wszystkim fanatyzm zebranego tam tłumu. Moim zdaniem jednak, fanatyzm, choć nie jest postawą godną zalecenia, ponieważ utrudnia współżycie społeczne, może jednak pokrywać się ze stanowiskiem merytorycznie trafnym, zgodnym z rozumem, a jego szkodliwość polega jedynie na przesadnej i nie liczącej się z uwarunkowaniami dążności do służenia sprawie słusznej. W Nowym Dworze rzecz ma się inaczej, powiedziałbym — gorzej. Owszem, widać przejawy fanatyzmu i niechęci wobec tych, co „cudu" nie akceptują, ale u podłoża całego tego wydarzenia leży coś, co uznałbym za bardziej niepokojące od fanatyzmu „jako takiego", a mianowicie zabobon i odruch bezmyślnego instynktu stadnego.

Na marginesie: nie są to cechy, które przysparzałyby nam dobrej opinii gdziekolwiek w cywilizowanym świecie.

JERZY KWIECIŃSKI

## ŻÓŁTA KARTKA

# Piekarzom czy handlowcom?

Na boisku sprawa jest prosta. Piłkarz, któremu sędzia pokaże żółtą kartkę musi bardzo uważać, bo następna może już być tylko czerwona i wyłączenie z gry. W życiu sprawa jest bardziej złożona.

Oto w ubiegłym tygodniu mieliśmy trzy dni świąt: 1 listopada piątek było Święto Zmarłych, 2 listopada — wolna sobota i 3 listopada — niedziela. Od wielu lat już wiadomo, że na 1 listopada ludzie jeżdżą po całej Polsce, aby złożyć kwiaty i zapalić świece na grobach swoich bliskich. Gdy są trzy dni wolne od pracy, to zrozumiałe, że ludzie wybiorą się na dłużej do swoich krewnych, a także krewni wybiorą się na kilka dni w goście do swoich bliskich w Łodzi. I jak by na to nie patrzeć, to w czwartek ludzie muszą kupować chleb na trzy dni. Nie potrzeba do tego ani mędrców szkiełek ani wnikliwych badań socjologicznych. Już kilka razy mieliśmy kilka dni wolnych od pracy pod rząd i na ogół zawsze przed tymi dniami ludzie szukali chleba, bo go nie było w sklepach. Tak było i w czwartek, 31 października 1985 roku.

Nie mogę pojąć, dlaczego przed kilkoma dniami wolnymi od pracy w Łodzi musi brakować chleba. W czwartek sam widziałem kilometrową kolejkę przed sklepem z chlebem na ulicy Piotrkowskiej, a godzina była późna, bo już około 18.00. Ludzie stali i czekali na chleb. Również w sobotę w sklepach otwartych tego dnia ludzie stali w kolejkach po chleb. Czy tak musi być?

I jeśli damy symboliczną kartkę piekarzom czy handlowcom, to konsekwencji nie będzie tego żadnych. Piekarzy i handlowców z gry nie wyeliminujemy. Ale ludzie odpowiadający za piekarnie i handel mogliby się nad tym zastanowić, aby takie sytuacje już się nie powtarzały. Jest to chyba możliwe i osiągalne.

A. B. SEKATOR

# Rewolucji nie można zadekretować

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Wszystko, co w dziejach ruchu robotniczego najważniejsze, przełomowe, wzięło początek od powstania zbrojnego mas ludowych Rosji. Powstanie rozpoczęło się 6 listopada 1917 roku w Piotrogrodzie, aby nazajutrz obalić Rząd Tymczasowy i przekazać całą władzę II Zjazdowi Rad Delegatów, rozpoczynającemu swoje historyczne obrady 7 listopada, wieczorem. Zjazd utworzył pierwszy w dziejach rząd robotniczo-chłopski — Radę Komisarzy Ludowych na czele z Włodzimierzem Leninem...

Tak można najkrócej ująć pierwszy akt rewolucji rosyjskiej, tj. przejęcie władzy politycznej przez bolszewików. Spełniło się rzucone wcześniej hasło: *„Cała władza w ręce Rad"*. Tyle że nabrało ono teraz nowego znaczenia, nieco odmiennego, niż w okresie wydarzeń lipcowych, kiedy to zmiana taktyki bolszewików znalazła m.in. wyraz w chwilowym wycofaniu tego hasła ze swoich sztandarów. W listopadzie 1917 roku miejsce wezwania: *„Cała władza w ręce Rad"*, zajęło jednoznaczne klasowo żądanie: *„Cała władza w ręce robotników i biedoty chłopskiej"*. Zjazd Rad Delegatów, jako reprezentacja mas miał za zadanie urzeczywistnić te powszechne pragnienia.

Rewolucja spełniła się, dokonała, a właściwie to jej pierwszy etap — masy przejęły władzę!

## CZY BÓJ TO OSTATNI?

W ocenie Włodzimierza Lenina, przedstawionej w artykule pt. *„Nowe czasy, stare błędy w nowej postaci"*, w rewolucji rosyjskiej wyróżnić należało już wówczas, tj. w latach dwudziestych cztery etapy. Początek tego ostatniego przypada na okres, kiedy *„Ententa zmuszona jest zaniechać interwencji i blokady"*. Był to w dziejach Rosji Radzieckiej okres niezwykle trudny. Sytuacja polityczna była wciąż bardzo złożona a życie niesłychanie ciężkie. Zniszczony kraj zaczynał dopiero przychodzić do siebie. *„Dopiero teraz widać cały ogrom zniszczeń, dźwigając brzemię najdotkliwszych plag — zastój przemysłu, nieurodzaj, głód, epidemie"* — pisał Lenin. Konkludował wówczas i przestrzegał zarazem: *„Osiągnęliśmy najwyższy, a równocześnie najtrudniejszy szczebel w naszej epokowej walce"* Pisał i mówił wciąż o zwycięstwie rewolucji, a jednocześnie przekonywał: *„w obecnym okresie nie mamy do czynienia z tym samym wrogiem, co wczoraj"* Wróg na ówczesnym etapie walki powtarzał Lenin, to *„codzienna rzeczywistość gospodarcza w kraju o drobnej gospodarce chłopskiej, o zrujnowanym wielkim przemyśle. Wróg — to żywioł drobnomieszczański, który otacza nas jak powietrze i przenika bardzo silnie w szeregi proletariatu"*.

Przeciwnikami w istocie byli także i ci, którzy nie rozumiejąc sensu NEP, lub świadomie nieprawidłowo interpretując cele nowej polityki ekonomicznej, pomawiali bolszewików, że *„zawracają do kapitalizmu"* (NEP, to polityka gospodarcza wprowadzona w Rosji Radzieckiej w 1921 roku w miejsce komunizmu wojennego, celem wykorzystania wszystkich rezerw rozwoju gospodarczego).

Z głęboką troską i krytycznie oceniał Włodzimierz Lenin siły rosyjskiej klasy robotniczej, pisząc: *„Proletariat jest zdeklasowany, tzn. wytrącony ze swego łożyska klasowego. Fabryki i zakłady przemysłowe stoją — proletariat jest osłabiony, rozproszony, wyczerpany"*. Ogólna sytuacja była trudna, niebezpieczeństwo niepowodzeń i klęsk — wielkie. *„Wróg jest od nas znacznie silniejszy pod względem ekonomicznym, tak jak wczoraj był znacznie silniejszy pod względem militarnym* — przestrzegał wódz rewolucji, a jednocześnie podkreślał z naciskiem — *Jesteśmy tego świadomi i w świadomości tej tkwi nasza siła"*.

Hasło, jakie na danym etapie walki obowiązywało, to wezwanie: *„Precz z krzykaczami (...) Stańmy do rzeczowej, praktycznej roboty, z uwzględnieniem swoistych cech obecnego okresu oraz jego zadań! Nie słowa są nam potrzebne, lecz czyny"*.

Realizacja tak jasno i jednoznacznie ujętego zadania, wbrew temu, co mogłoby się wydawać, nie przebiegała ani prosto, ani nie przychodziła łatwo. Na siły rewolucji składały się obok awangardy proletariatu — zahartowanych w bojach komunistów, również ludzie (w tym w znacznej części robotnicy, biedota wiejska, elementy zdeklasowane), mniej lub bardziej podatni na *„mieńszewickie i anarchistyczne wahania"*. Przykładem skomplikowanej sytuacji może być kontrrewolucyjny bunt w Kronsztadzie. W kręgach ocalałej burżuazji nowe nadzieje i emocje wywołały decyzje X Zjazdu RKP(b), przewidujące możliwość reaktywowania pewnych form gospodarki drobnokapitalistycznej w ekonomice kraju. W związku z trudnymi pierwszymi doświadczeniami wdrażanej nowej polityki ekonomicznej i kłopotami bytowymi wśród części społeczeństwa radzieckiego, rodziły się nastroje krytyczne i dezorientacja. Podobnie niepokoje budziły trudności gospodarcze i rynkowe, przejściowe bezrobocie.

Mimo to, Włodzimierz Lenin postępując konsekwentnie, uznał, iż nie należy ukrywać prawdy, ani tym bardziej składać obietnic bez pokrycia. Dlatego, przemawiając na II zjeździe komitetów polityczno-oświatowych, powiedział:

*„Dyktatura proletariatu jest zaciekłą wojną. Proletariat zwyciężył w jednym kraju, ale w skali międzynarodowej jest on nadal słabszy od burżuazji. Musi on zjednoczyć wokół siebie wszystkich robotników i chłopów, wpajając im przekonanie, że wojna nie jest zakończona. Jeśli w pieśni śpiewamy: „bój to jest nasz ostatni", to jest to, niestety, maleńka nieprawda — niestety, nie jest to nasz bój ostatni. Albo potraficie zjednoczyć w tej walce robotników i chłopów, albo nie odniesiecie zwycięstwa"*.

Alternatywy nie było. To, o czym przekonywał Lenin uczestników zjazdu *„politproswietów"* było zgodne z logiką walki klasowej, z doświadczeniem młodej rewolucji, a także znajdowało potwierdzenie w refleksji teoretycznej: *„Rewolucja socjalistyczna to nie jest jeden akt, nie jedna bitwa na jednym froncie, lecz cała epoka zaostrzonych konfliktów klasowych, długi szereg bitew na wszystkich frontach, tzn. bitew o wszystkie sprawy ekonomiki i polityki, bitew, które mogą zakończyć się jedynie wywłaszczeniem burżuazji"*.

## SPRAWY DROBNE

Włodzimierz Lenin posiadał w pełni świadomość tego, że nowy etap rewolucji będzie wymagał podjęcia nowych, bardziej skomplikowanych, często jeszcze nie do końca znanych, a tym samym i jasno precyzowanych zadań. Wiedział jak wiele będzie zależało w przyszłości od zrozumienia tego przez partię, przez masy: od w porę podjętego wezwania przyszłości. Już w 1921 roku mówił:

*„Po dokonaniu największego na świecie przewrotu politycznego stanęliśmy w obliczu innych zadań (...), które nazwać można „drobnymi sprawami". Ten przewrót polityczny trzeba przetrwać, uczynić go zrozumiałym dla mas, dopiąć tego, by ten przewrót polityczny nie pozostał tylko deklaracją"*.

Godnym odnotowania pozostaje to z jaką ostrością, polemiczną swadą, konsekwencją, a także znaczną dozą krytycyzmu i zaangażowaniem, pisał i mówił Włodzimierz Lenin o owych *„sprawach drobnych"* Udowadniał jednocześnie, iż mogły się one wydawać drobne, mało istotne jedynie dla powierzchownych obserwatorów procesów społecznych lub ignorantów. Jednych i drugich odsyłał „do stu diabłów".

Włodzimierz Lenin wielokrotnie i z naciskiem mówił o konieczności zerwania ze starym sposobem myślenia i mało przydatnymi, nieskutecznymi na nowym etapie metodami pracy partyjnej. Ganiąc zwolenników przestarzałych metod, powtarzał wielokrotnie: *„Minęły czasy, kiedy trzeba było nakreślać wielkie zadania polityczne; nadszedł czas, gdy zadania te należy realizować w praktyce"*. Przekonywał przykładem: *„(...) czy można wciąż tylko pokazywać ludowi, co chcemy budować? Nie można! Najprostszy robotnik zacznie z was wtedy szydzić: Czemuż ty wciąż pokazujesz, zapyta, jak chcesz budować? Pokaż czynem — jak umiesz budować. Jeżeli nie umiesz, to nie mamy ze sobą nic wspólnego, idź do stu diabłów! I będzie miał rację"*.

Inny przykład: Lenin przywiązywał dużą wagę do problemów kultury, a szczególnie oświaty. Krytykował, napiętnował publicznie tych, co rozwiązanie tych spraw widzieli w decyzjach administracyjnych. 19 lipca 1920 roku powołano komisję do likwidacji analfabetyzmu. Efekty jej pracy oceniał Lenin krytycznie Uważał, iż równie ważne jak eliminowania zapóźnień, były starania o to, aby jak najprędzej w szkołach odbywały się normalne lekcje. Bowiem, jak trafnie konkludował, nie można było myśleć o pełnej realizacji trudnych zadań nowego etapu bez podniesienia ogólnej kultury i wiedzy społeczeństwa, bez powszechnej oświaty (*„Póki nie rozwiążemy tych elementarnych zadań mówić o nowej polityce ekonomicznej jest wręcz śmiesznie"*).

Jeden z warunków powodzenia celów nowego etapu rewolucji, upatrywał Lenin w szybkim podnoszeniu ogólnego poziomu świadomości politycznej mas. Oceniając sytuację w 1921 roku, stwierdził: *„I tutaj nasuwa się pytanie: czy lud uświadomił sobie sens otrzymanych nauk. Na pytanie to należałoby, niestety, odpowiedzieć przecząco. Gdyby odpowiedź była twierdząca, zbudowalibyśmy wielki przemysł znacznie szybciej, w znacznie krótszym czasie"*. Przy tej okazji Lenin zwrócił uwagę na konieczność zmiany stosunku robotników do pracy. Chodziło m. in. o to, jak twierdził, że o powodzeniu rewolucji rozstrzygnie także i taka *„drobna sprawa"* — czy proletariat będzie potrafił pracować dla siebie tak, jak dotąd pracował u kapitalistów?

W ramach realizowanej w latach dwudziestych nowej polityki ekonomicznej, która polegała m. in. na oparciu działalności przedsiębiorstw państwowych na zasadzie rozrachunku gospodarczego i opłacalności, bardzo ważnego znaczenia nabierała potrzeba osobistego zaangażowania.

*„Jesteśmy zdania, że każdą dużą gałąź gospodarki narodowej trzeba oprzeć na zainteresowaniu osobistym. Sprawy należy omawiać wspólnie, a odpowiedzialność ma być osobista. Fakt, że nie umiemy tej zasady wprowadzić w życie, daje nam się we znaki na każdym kroku"*. Ta uwaga Lenina dotyczyła zarówno konieczności przejścia w ramach nowej polityki ekonomicznej z etapu powszechnego wiecowania na nowoczesne zarządzanie, wsparte odpowiednią dyscypliną organizacyjno-produkcyjną jak również tworzenia mechanizmów materialnego zainteresowania pracowników wzrostem produkcji z chwilą wyczerpania się takich bodźców jak zapał, entuzjazm, poświęcenie.

Pośród trzech głównych zmór ówczesnego życia społecznego i politycznego, Włodzimierz Lenin szczególnie ostro napiętnował dwie, a to: komunistyczną pyszałkowatość i łapownictwo.

Mówił:

*„Komunistyczna pyszałkowatość znaczy, że człowiek należący do partii komunistycznej i jeszcze z niej nie wyrzucony wyobraża sobie, iż wszystkie swoje zadania może rozwiązać za pomocą komunistycznego dekretowania (...) Nic podobnego! Jest to tylko komunistyczna pyszałkowatość. Sedno sprawy tkwi w tym, by nauczyć się nieść w masy wiedzę polityczną, a myśmy się tego nie nauczyli i nie mamy jeszcze do tej sprawy właściwego podejścia"*.

Co zaś się tyczy drugiej przywary, to Lenin na wspomnianym już II zjeździe komitetów polityczno-oświatowych, stwierdził: *(...) jeśli istnieje takie zjawisko, jak łapówka, jeżeli może się ona plenić, to nie ma mowy o polityce (...), ponieważ wszelkie poczynania zawiszną w powietrzu i nie dadzą absolutnie żadnych wyników. Stosowanie ustawy w sytuacji, gdy łapówka jest zjawiskiem tolerowanym i powszechnym — pogorszyłoby tylko sytuację"*.

Dodajmy, iż tak ostro napiętnowane przez Lenina łapownictwo, nie było, jak w przypadku *„komunistycznej pyszałkowatości"*, ubocznym zjawiskiem rewolucji, ale plagą społeczną odziedziczoną po stosunkach carskich, w których funkcjonowała ona prawie bezkarnie.

## I PRAKTYKA

Lenin posiadał nader rzadką umiejętność łączenia talentu wielkiego, genialnego teoretyka i niestrudzonego praktyka. Jednocześnie posiadał wcale nie tak częstą u rewolucjonistów umiejętność poskramiania niecierpliwości, zdolność oceniania rzeczywistości z niezbędnym dystansem, patrzenia na wszystkie zjawiska w sposób krytyczny i praktyczny. Można także powiedzieć, iż Lenin był pryncypialny i surowy na tyle, na ile tylko to było niezbędne i wyrozumiałym dla ludzi — na ile było to potrzebne i możliwe. Był realistą, a nie fantastą, błąd wkalkulowywał w bez mała każde ludzkie poczynanie. To pozwalało mu, a zarazem nakazywało jeszcze w 1921 roku, napisać: *„Bo też nie mogło się obejść bez niepowodzeń i błędów w toku tworzenia czegoś nowego, czegoś zupełnie nowego w dziejach świata, jak budowa nie spotykanego dotąd typu ustroju państwowego"* Co jednak nie przeszkadzało Leninowi występować przeciwko wszelkim błędom, nieprawidłowościom i słabościom, przeciw ignorancji i pyszałkowatości.

# Różnobarwna i jednolita

W ciągu trzech dni przedmiotem wszechstronnej informacji i żywej wymiany poglądów środowiska kultury, głównie ludzi pióra i wydawców były zagadnienia związane z sytuacją we współczesnej literaturze radzieckiej. Poświęconemu jej ogólnopolskiemu seminarium wydawców udzieliła gościny w dniach 22—24 października 1985 r. sala konferencyjna „Textilimpexu" w Łodzi, a głównymi organizatorami tej wielce pożytecznej imprezy były Departament Książki Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Wydawnictwo Łódzkie, w porozumieniu z Wydziałem Kultury KC PZPR.

Prasa codzienna odnotowała raczej szczegółowo program seminarium, mającego na celu zapoznanie zainteresowanych z najnowszymi tendencjami i zjawiskami we współczesnej literaturze radzieckiej oraz omówienie dorobku edytorów polskich w wydawaniu literatury radzieckiej i przedrewolucyjnej klasyki literackiej narodów Związku Radzieckiego, przy czym omawiano nasz dorobek w tej dziedzinie w latach 1982—85. Dodajmy, iż prelegenci poświęcali wiele uwagi recepcji współczesnej literatury radzieckiej w Polsce, wiążąc to z ogólnymi zagadnieniami polskiego ruchu wydawniczego. Ważnym punktem obrad była też prelekcja kierownika wydziału KC PZPR — prof. **Witolda Nawreckiego** na temat założeń polityki kulturalnej partii i państwa.

Z okazji seminarium urządzono również, staraniem WAAP (radzieckiej agencji autorskiej) wystawę najnowszych książek literackich, zawierającą ok. 120 pozycji.

Byłoby przedsięwzięciem daremnym usiłowanie przekazania wszystkich poruszanych problemów i wypowiadanych na seminarium ocen, zarówno przez polskich i radzieckich prelegentów, jak i przez dyskutantów. Sądzę jednak, że to, co najważniejsze dla meritum obrad, zawarte zostało w zamieszczonej poniżej naszej rozmowie z wybitnym krytykiem radzieckim, **Walentinem Oskockim**, w obecności i przy współudziale drugiego z przybyłych krytyków radzieckich, **Wiktora Czałmajewa** oraz kierownika agencji WAAP, **Wadima Dudina**. A oto zapis rozmowy.

**— Jakie są Waszym zdaniem, najnowsze tendencje lub też najnowsze tematy współczesnej radzieckiej literatury, w szczególności prozy?**

— Dużą wagę przywiązują obecnie pisarze radzieccy do prozy politycznej, zwłaszcza w postaci literatury faktu. Jest to zresztą tendencja ostatniego dziesięciolecia, a u jej początków spotykamy nazwiska Aleksandra Czakowskiego, autora „Blokady" i „Zwycięstwa" oraz Juliana Siemionowa, znanego w Polsce zarówno z przekładu książki „Siedemnaście mgnień wiosny", jak i z serialu telewizyjnego pod tym tytułem. Wśród nowszych autorów wyróżniają się w tym kierunku Daniił Granin i Ales Adamowicz. Ważną rolę nadal odgrywa u nas literatura o ostatniej wojnie, której nie należałoby raczej nazywać wojenną, lecz antywojenną, a uprawiana ona jest zarówno przez tych, którzy uczestniczyli w wojnie, jak i tych, którzy znają ją tylko z ustnych czy pisanych przekazów. Temat wojenny bywa u nas określany jako obowiązek pamięci wobec tych, którym ludzkość zawdzięcza ratunek przed faszyzmem.

**— Czy da się zaobserwować jakąś różnicę w zainteresowaniach tematycznych pomiędzy literaturami narodowymi ZSRR? Rozumiem to tak, że w jednej np. wybija się na czoło zainteresowań problematyka życia rodzinnego, w innych np. problematyka stosunków w pracy zawodowej, a jeszcze w innej ujemne zjawiska towarzyszące procesowi cywilizacyjnemu. Formułuję pytanie tak szczegółowo, ponieważ nie chodzi mi o podobieństwa, lecz różnice...**

— Wprawdzie główną tendencją naszych literatur narodowych jest ich wielokierunkowy, wszechstronny rozwój, zarówno pod względem zainteresowań tematycznych, jak i uprawianych form, i można by powiedzieć, że każda z naszych literatur narodowych odzwierciedla całą panoramę współczesnego życia poszczególnych republik i zarazem całego kraju rad, niemniej jednak pewne tendencje wydają się w niektórych literaturach narodowych zaznaczać wyraźniej. Związane to jest, czy to z odmienną pod niejednym względem przeszłością poszczególnych republik, jak i z nie zawsze równomiernym i nie wszędzie jednakowym procesem przeobrażeń współczesnych. I tak np. wydaje się, że u Białorusinów tematem wyjątkowo często występującym jest wojna partyzancka, bo też bardzo żywe są w tej mierze doświadczenia narodu białoruskiego. Zwraca też uwagę, że w literaturach młodszych, które zaczęły się rozwijać czy też dopiero powstały za władzy radzieckiej stosunkowo niedawno pojawiła się lub zyskała sobie pozycję dominującą powieść, a przecież niektóre tematy najdogodniej jest ująć w formie powieściowej. Otóż np. w literaturze kazachskiej czy też innych narodów azjatyckich uwagę pisarzy przyciąga często temat historyczny, cała dramatyczna droga narodowego i społecznego rozwoju od przedrewolucyjnego feudalizmu do socjalistycznej teraźniejszości. Nie zapominajmy też o tym, że na naszych oczach powstały i rozwijają się literatury narodowe maleńkich kilkutysięcznych narodowości, które nie miały dawniej swojego pisma, swojego alfabetu, były to zresztą narodowości całkowicie niepiśmienne. Z natury rzeczy mają one swoje specyficzne problemy, które gdzie indziej mogły już zaniknąć, i to też wpływa na pewne zróżnicowanie oblicza literatur narodowych, pomimo jednolitego charakteru literatury radzieckiej jako całości.

**— A czy istnieją jakieś cechy odróżniające w sposób wyraźny literaturę tworzoną przez pisarzy najmłodszego pokolenia od literatury pokolenia odchodzącego?**

— Oczywiście, każde pokolenie wnosi coś nowego zarówno w sensie zainteresowań tematycznych, jak i prób formalnych, upodobań i gustów życiowych i artystycznych, dominuje jednak u nas nie jakiegokolwiek rodzaju konflikt pokoleń, lecz poczucie kontynuacji wspólnych zadań. Najbardziej chyba typowa jest sytuacja, kiedy młodzi pozostają pod wpływem swoich literackich mistrzów, ale ich nie naśladują. Można tu podać jako przykład Walentyna Katajewa, który pozostawił po sobie dosłownie uczniów, ponieważ opiekował się nimi pod względem literackim, ale okazali się oni całkiem niepodobni w swoich dziełach do mistrza i także różni pomiędzy sobą. Inny przykład, Jurij Trifonow nazywał swoimi nauczycielami Fiedina i Paustowskiego, ale przecież jego twórczość nosi rysy wyraźnej indywidualności, nie wykazuje silniejszych podobieństw z tamtymi pisarzami.

**— Widzimy więc znaczną różnorodność, ale też silne cechy czy postawy zbieżne...**

— Należy stwierdzić, że niezależnie od różnic, jakie pojawiają się pomiędzy literaturami narodowymi ZSRR i niezależnie od odmienności pokoleniowych łączy wszystkich pisarzy radzieckich silne poczucie wspólnoty ideowej i wspólny cel: obrona godności człowieka i zapewnienie rodzajowi ludzkiemu spokojnej przyszłości i harmonijnego rozwoju.

— Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

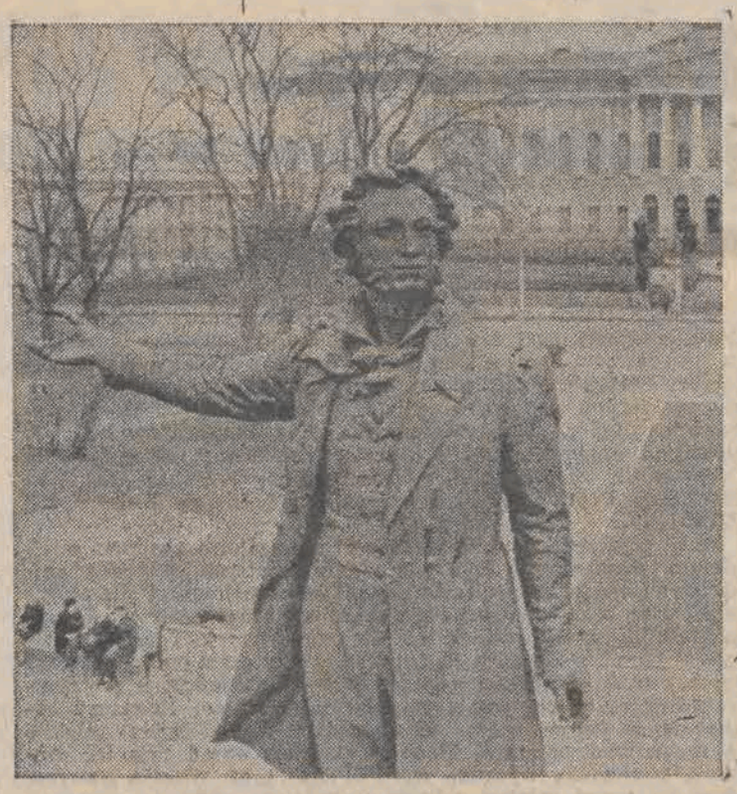

# Podróż w deszczu i słońcu

WITOLD LEWANDOWSKI

## 1.

Leningrad wita nas deszczem i temperaturą 10 st. C. Całe szczęście, że na dworcu czekała już uśmiechnięta Gala, nasza przewodniczka po Leningradzie. Widząc zmarznięte oblicza pocieszała nas, że w Leningradzie dni słonecznych w ciągu roku jest zaledwie 30 i dzisiejsza pogoda jest czymś zupełnie normalnym. Ochoczo więc wsiadamy do ciepłego autokaru „Intouristu", który ma nas zawieźć do hotelu. A ponieważ hotel oddalony jest od dworca o około 15 km, Gala zdążyła nam co nieco w telegraficznym skrócie przekazać i pokazać.

Po drugiej stronie Newy w nowej dzielnicy miasta znajduje się 16-piętrowy hotel „Karelia", zbudowany z okazji igrzysk w 1980 r. Wspaniały hotel, piękne pokoje, tylko daleko od centrum.

Leningrad się rozbudowuje w tempie, jakiego możemy tylko pozazdrościć. Rocznie oddaje się do użytku ok. 50 tys. mieszkań, w co trudno uwierzyć, gdy skonfrontuje się tę liczbę z naszymi rocznymi osiągnięciami budowlanych. Do 1990 r. każda rodzina w Leningradzie ma mieć swoje mieszkanie, a każdy mieszkaniec swój pokój. Przy tym tempie jest to zadanie całkiem realne. Obecnie na mieszkanie w Leningradzie czeka się nie dłużej niż 2 lata. Komorne jest bardzo niskie i wynosi 13 kopiejek za 1 m kw powierzchni użytkowej, odliczając od tego powierzchnie kuchni, łazienki i ubikacji. Ciekawostką budownictwa jest to, że budynki z cegły stanowią 25 proc. wszystkich powstających domów. Widziałem nawet 12-piętrowe bloki z cegły.

## 2.

Następne dni świeci słońce, choć jest nadal zimno. W planie mamy zwiedzanie Ermitażu. Oczywiście nie całego, bo jest to rzeczą niemożliwą. Zbiory Ermitażu liczą 2 miliony 800 tys. eksponatów i znajdują się w kilku miejscach. Oglądamy część zbiorów zgromadzonych w Pałacu Zimowym.

Gala mówi, że gdybyśmy bardzo chcieli zobaczyć wszystkie eksponaty Ermitażu i przeznaczylibyśmy na to 8 godzin dziennie, spędzając przed każdym eksponatem 1 minutę, to potrzebowalibyśmy na to — bagatelka — 10 lat.

Ermitaż został założony przez Katarzynę II, ale pierwsze muzeum w Leningradzie kazał zbudować Piotr I. Nie cieszyło się ono jednak wielką popularnością. Widząc to Piotr I, żeby zachęcić ludzi do chodzenia do muzeum, nakazał wszystkim zwiedzającym mężczyznom dawać po kieliszku wódki, a kobietom herbatę, kawę bądź czekoladę.

Po Ermitażu można chodzić w butach, a mimo to podłogi lśnią. Można także siadać w jednej z sal na przepięknych obitych czerwonym suknem stylowych krzesłach i kanapach.

## 3.

Leningrad leży nad morzem, ale nie ma bezpośredniego dostępu do niego. Nie ma ani jednej plaży! Do 1990 r. planuje się zagospodarowanie części nadbrzeżnej miasta. Nowe osiedla buduje się w Leningradzie w kierunku Zatoki Fińskiej. Jedno z nich widzimy jadąc do Pietrodworca. Zbudowano je na terenie, na którym dawniej znajdowały się działki mieszkańców Leningradu. Nie zniszczono całkowicie zieleni. Mnóstwo jej pozostało, nadając osiedlu swoistego kolorytu. Niektóre drzewa są tak wysokie że zaglądają ludziom do okien na VI piętrze. Nikomu to jednak nie przeszkadza. Rosjanie kochają zieleń. Leningrad leży od minus 2 m od poziomu morza do 4 m.npm. Takie położenie było i jest przyczyna wielu powodzi, których w przeszło 200-letniej historii Leningradu było blisko 300, w tym 5 katastrofalnych. Depresyjne położenie części nadbrzeżnej jest głównym powodem jej niezagospodarowania. Aby zapobiec powodziom i rozwinąć część nadbrzeżną miasta, zaczęto osuszać tereny depresyjne oraz rozpoczęto budowę ogromnej 25-kilometrowej tamy, która połączy północną i południową część Zatoki Fińskiej. Górą tamy będzie biegła autostrada.

Na razie jednak nad Zatoką Fińską króluje Pietrodworiec, letnia rezydencja Piotra I, oddalona o 30 km od centrum Leningradu. Pietrodworiec słynie ze wspaniałych fontann, których jest tu blisko 150.

Pytam Galę, jak wygląda zaplecze rolniczo-hodowlane miasta, które musi wyżywić blisko 5 milionów ludzi? Gala mówi, że w zasadzie Leningrad jest samowystarczalny, jedynie zboże musi sprowadzać, ze względu na słabe gleby. Wokół miasta lub w samym mieście znajduje się 150 sowchozów specjalizujących się głównie w hodowli zwierząt i uprawie warzyw: kapusty, pomidorów i ogórków.

## 4.

Podróż do Moskwy mija szybko. Spędzamy tu jedynie kilka godzin. W drodze na lotnisko mijamy wspaniałe nowe osiedla oddzielone od siebie ogromnymi pasami zieleni. Bloki jednego osiedla różnią się od bloków innego wysokością, stylem, kolorami i tworzą odrębną architektoniczną całość, nadającą każdej dzielnicy charakterystyczny wygląd.

Odlatujemy samolotem TU-154 do odległego o 1200 km Krasnodaru.

## 5.

Krasnodar witał nas ciepłem. Temperatura 25—30 st. C. Miasto tonie w zieleni i kwiatach. Główna ulica Krasnodaru — Krasnaja, przy której znajduje się nowoczesny hotel „Intourist", obsadzona jest tak pięknie i gęsto drzewami, zarówno iglastymi, jak i liściastymi, że nawet w największe upały panuje miły cień.

Krasnodar leżący 10 km od prawego brzegu rzeki Kubań liczy sobie przeszło 180 lat. Dawniej nazywał się Jekaterinodar i był kozacką twierdzą, strzegącą południowych granic Rosji. O przeszłości świadczy tylko 5 twierdz na obrzeżach miasta z czasów wojen rosyjsko-tureckich.

Krasnodar przez ostatnie 20 lat bardzo się zmienił, co z dumą podkreślają sami mieszkańcy, stanowiący istną mieszankę narodowości, zamieszkujących terytorium ZSRR (Kozacy, Gruzini, Ukraińcy, Rosjanie, Ormianie). Zniknęły stare dzielnice, powstały nowe osiedla, parki, skwery, bulwary, teatry, kina, cyrki, hipodrom, filharmonia itd. Rozbudowuje się część miasta położona nad Kubaniem, a także lotnisko.

Co roku odwiedza Krasnodar 240 tys. gości zagranicznych, którzy mogą m.in. zobaczyć mieszczącą się przy ulicy Krasnoj olbrzymią, ozdobioną wielkim freskiem księgarnię. Jest ona największa nie tylko w ZSRR, ale wśród wszystkich państw obozu socjalistycznego. Nie brakuje w niej również książek polskich, wypatrzyłem nawet książkę Ryszarda Binkowskiego „Zaginiony".

## 6.

Noworosyjsk — miasto bohater ZSRR, leży nad Morzem Czarnym w odległości 150 km od Krasnodaru. W czasie wojny Noworosyjsk był w 96 proc. zniszczony. Dla uczczenia pamięci bohaterskich obrońców postawiono monumentalny pomnik w kształcie wystającego z morza dziobu statku. Pomnik ten stojący faktycznie nad samym morzem jest dość oryginalny. Można mianowicie wejść do jego środka. A tam znajdują się płaskorzeźby przedstawiające dowódców pułków walczących z okupantem. Wśród nich jest i Leonid Breżniew. W centralnym miejscu umieszczono olbrzymiej wielkości serce z napisem: „W sercach naszych na wieki". Smutna, choć potężnie brzmiąca wojskowa melodia, stale zmieniające się oświetlenie serca oraz rytm jego uderzeń robią niesamowite wrażenie.

## 7.

Tuż za hotelem znajduje się rynek wspaniale zaopatrzony w owoce i warzywa. Spaceruję wśród stoisk, zajadając smażone migdały. Większość sprzedających to pracownicy pobliskich sowchozów, którzy otrzymują 3 proc. wartości sprzedawanych przez siebie towarów.

Wieczorem idę na dancing i rewię „Wieczorowa fantazja". Dancingi w ZSRR trwają od 20 do 24.

Mało jest restauracji bądź kawiarni sprzedających alkohol zwłaszcza po godz. 20. W Krasnodarze na przestrzeni kilku kilometrów od hotelu nie spotkałem lokalu z alkoholem. Owszem są kawiarnie z pięknymi tarasami, czynne do godz. 24, ale sprzedające ciastka, lody, kawę lub herbatę. Może właśnie dlatego, a może dzięki bardzo ostrej ustawie antyalkoholowej, jaka niedawno weszła w życie w ZSRR, tak mało widać na ulicach pijanych.

Spotykam w hotelu sympatyczną grupę amerykańskich studentów filologii rosyjskiej, odbywających praktykę w ZSRR. Wraz z kolegą siedzimy w pokoju 36-letniego profesora doskonale znającego język polski, otoczonego grupką swoich uczniów. Miło upływa nam czas przy syberyjskiej wódce i polskiej kiełbasie myśliwskiej, która Amerykanom bardzo smakuje.

## 8.

O 3 w nocy lądujemy w Kijowie. Jedziemy do hotelu „Bratysława", oddalonego o 35 km od lotniska. Jeżeli można powiedzieć, że Leningrad i Krasnodar są miastami bardzo ładnymi, to Kijów jest po prostu piękny. Szczególnego uroku dodaje mu Dniepr, malownicze wzgórze naddnieprzańskie oraz niezwykłe bogactwo zieleni. Bezpośrednio pod zabudową znajduje się zaledwie siódma część powierzchni miasta.

Kijów ma wiele wspaniałych zabytków. Jednym z nich jest sobór sofijski, zabytek klasy O. Znajdują się w nim najstarsze (z XI w.) i największe, zachowane do naszych czasów freski i mozaiki. Mozaika Matki Boskiej modlącej się ma przeszło 6 m. wysokości. Na wszystkie mozaiki zużyto 21 milionów maleńkich kwadracików.

W drodze powrotnej do hotelu mijamy stadion „Dynamo" z którym związana jest ciekawa historia. Stadion miał być otwarty 22 czerwca 1941 r., ale wybuch wojny opóźnił to otwarcie o 6 lat. Okazało się wówczas, że 100 osób miało bilety z 1941 r. Za bezprzykładną wiarę w zwycięstwo i koniec wojny ludzie ci otrzymali dożywotnie prawo bezpłatnego wstępu na wszelkie imprezy sportowe. Kilku z nich żyje do dziś.

Nasz hotel znajduje się w nowej dzielnicy miasta, położonej blisko Dniepru Darnicy, liczącej 550 tys. mieszkańców. Dniepr jest rzeką niezwykle czystą. Stąd nieprzebrane rzesze wędkarzy po obu jego brzegach. Nad Dnieprem znajduje się ogromna strefa zieleni plaże i liczne dacze kijowian. Przez most nad Dnieprem biegnie metro, które do rzeki jest podziemne, a od niej naziemne, co znacznie obniżyło koszt jego budowy.

Już jutro wracam do Polski.

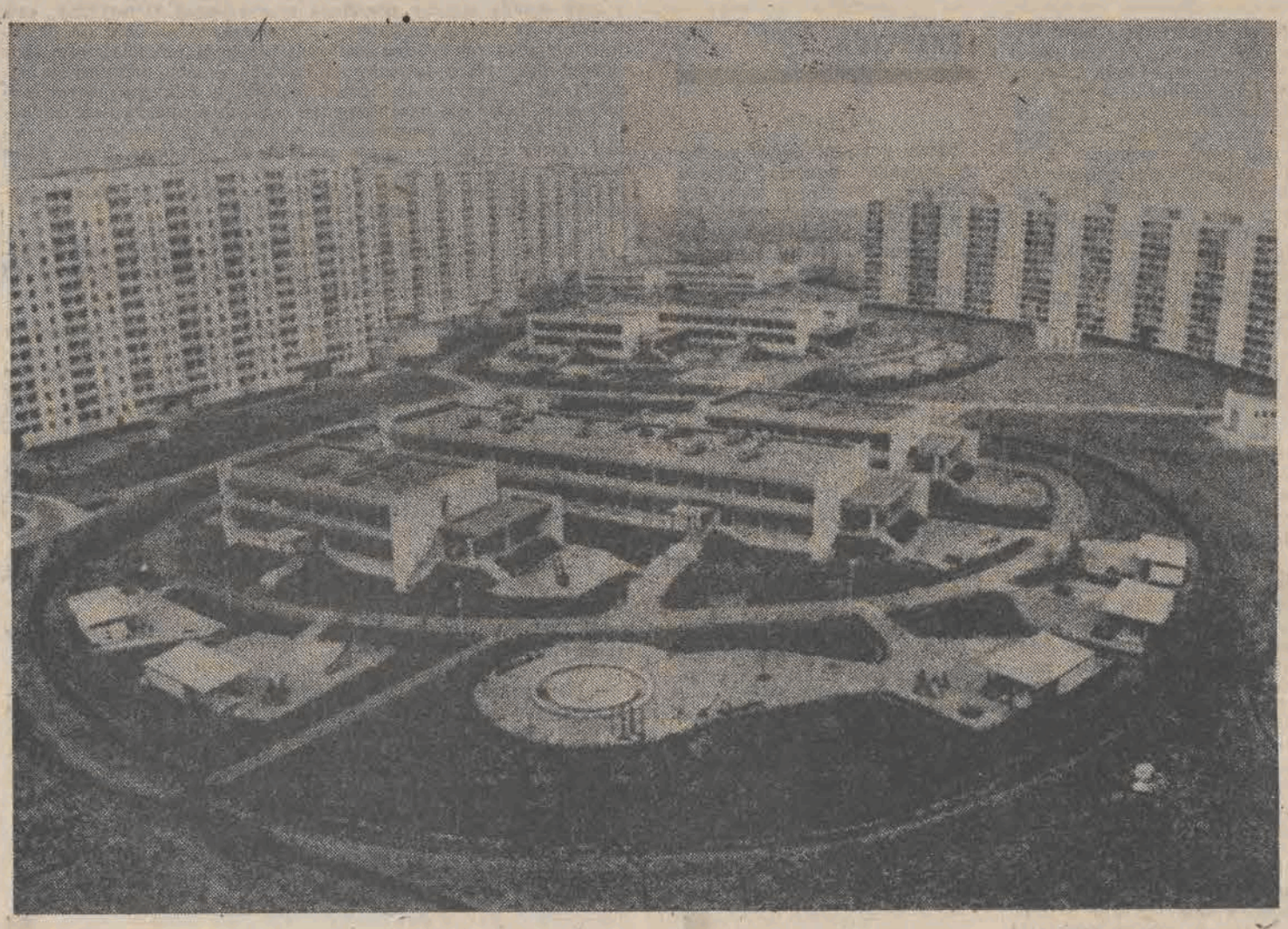

## W „Litieraturnoj Gazietie"

# Encyklopedia poezji narodów ZSRR

WADIM DUNIN

Już w numerze 43 z 1984 r. pisaliśmy o inicjatywie Wydawnictwa Łódzkiego, które rozpoczęło druk wielotomowej antologii poezji narodów Związku Radzieckiego. Pierwszym tomem tej serii była „Poezja ormiańska". Egzemplarze kolejnego tomu „Poezja gruzińska" stały się ozdobą polskiej ekspozycji na wystawie — targach w Moskwie. Oprócz łódzkich wydawców na słowa uznania zasługują także warszawscy drukarze z Zakładów im. Rewolucji Październikowej, którzy maksymalnie przyśpieszyli druk tej pracochłonnej i skomplikowanej pozycji.

W antologii znalazły się utwory ludowe, poemat Szota Rustaweli, wiersze światowej sławy klasyków poezji gruzińskiej: Nikołoza Barataszwili, Akakija Cereteli, Waża-Pszawely. Przede wszystkim są to jednak wiersze poetów Gruzji radzieckiej: Galaktiona Tabidze, Grigorija Leonidze, Simona Czikowani, Iraklija Abaszidze i wielu innych. W tomie tym, liczącym 25 arkuszy wydawniczych opublikowano wiersze i poematy 82 gruzińskich autorów, nie wliczając w to utworów ludowych.

Wyboru wierszy, a także tłumaczenia wielu z nich na język polski dokonał przedwcześnie zmarły w tym roku znawca i tłumacz poezji gruzińskiej w Polsce, pisarz Igor Sikirycki. Antologia „Poezja gruzińska" stała się jego ostatnim zakończonym dziełem, godnie wieńcząc twórczą drogę znakomitego polskiego prozaika, poety i tłumacza literatury radzieckiej.

W ostatnich latach Wydawnictwo Łódzkie poświęca coraz więcej uwagi literaturze republik związkowych Kraju Rad. Z roku na rok rośnie liczba umów zawieranych za pośrednictwem Wszechzwiązkowej Agencji Praw Autorskich.

Dyrektor Wydawnictwa Jacek Zaorski powiedział m.in.:

*— Jesteśmy bardzo zadowoleni ze współpracy z radzieckimi wydawnictwami, z Wszechzwiązkową Agencją Praw Autorskich. Wciąż szukamy i znajdujemy nowe formy współpracy. W chwili obecnej wspólnie z mińskim wydawnictwem „Junactwa" przygotowujemy zbiór opowiadań i esejów białoruskich i polskich autorów o młodych uczestnikach ostatniej wojny. Planujemy również wydanie innych utworów radzieckich pisarzy. Najwięcej uwagi poświęcamy jednak poetyckim antologiom narodów Związku Radzieckiego.*

*W redakcji znajdują się już dwa tomy poezji rosyjskiej sprzed 1917 r., kończymy wybór i tłumaczenie wierszy dla tomów „Radziecka poezja rosyjska", „Poezja litewska", „Poezja małych narodów RFSRR". Na ukończeniu jest praca nad tomem „Poezja uzbecka". Rozpoczęto opracowywanie pozostałych tomów. We wszystkich tych działaniach życzliwą pomocą służą nam: Związek Pisarzy ZSRR, związki pisarzy republik związkowych, WAAP. Mamy nadzieję, że poprzez wydanie serii antologii uda nam się stworzyć swego rodzaju oryginalną encyklopedię poezji narodów ZSRR.*

Tłumaczyła:
ANNA BEDNARCZYK

ze str. 1

kach mogą poszczycić się sporymi osiągnięciami.

Choć nasz własny rynek żywnościowy odczuwa jeszcze pewne braki, choć nie zawsze udaje się nam w pełni i w sposób najbardziej ekonomiczny wykorzystać obfite plony, a polskim rolnikom, zarówno indywidualnym, jak i państwowym gospodarstwom brakuje niekiedy maszyn i środków chemicznych — istnieją poważne, potencjalne możliwości eksportowe w tych dziedzinach, a właściwie ich wykorzystanie jest jedną z dróg, wiodących do poprawy naszego ogólnego bilansu w kontaktach handlowych z zagranicą i odzyskiwania właściwego miejsca w gospodarce światowej.

Ekspozycja polska zajmująca na targach poznańskich **Polagra-Agroexpo** najwięcej miejsca bo aż 18 tys m kw, zorganizowana została tak, aby w jak największym stopniu zaprezentować przedstawicielom innych krajów nasze osiągnięcia i możliwości. Budziła ona także duże zainteresowanie licznie przybyłych do Poznania polskich rolników i hodowców.

I tak np zrzeszenie **Agromet** pokazało 135 rozmaitych maszyn i urządzeń, przeznaczonych przede wszystkim dla gospodarstw o dużym areale, wśród nich imponująca rodzinę kombajnów. **Ursus** wystąpił z ciągnikami, opartymi na rozwiązaniach własnych i licencyjnych. **Mera** — zaprezentowała przewoźne laboratoria do badania ziemiopłodów. Z bogatą oferta wystąpił również **Spomasz**, pokazując, obok pojedynczych maszyn różnego typu, także kompletne linie technologiczne i obiekty do przetwórstwa płodów rolnych, przemysłu zbożowo-młynarskiego, mięsnego i mleczarskiego.

W dziedzinie maszyn i urządzeń ekspozycje firm zagranicznych — i to zarówno z państw RWPG jak i krajów kapitalistycznych stanowią niejako uzupełnienie polskiej oferty, co świadczyłoby o dobrej znajomości zarówno potrzeb naszego rolnictwa, jak i potencjalnych możliwości naszego przemysłu, produkującego na potrzeby wsi i rolnictwa.

## TO CO DAJE ROLNICTWO

Obok maszyn i urządzeń w polskiej ofercie eksportowej na **Polagrze** znalazły się płody rolne, których mamy nadwyżki m.in. żyto, rzepak, owoce i warzywa, ziemniaki oraz to, co stanowić może dumę polskich instytutów naukowych, pracujących na rzecz rolnictwa, mianowicie nasiona: doskonałej jakości rzepaku, pszenżyta, które już obecnie jest znane i bardzo dobrze oceniane na świecie, buraków wykorzystywanych w krajach socjalistycznych, roślin motylkowych, sprawdzonych, lecz wymagających jeszcze promocji na świecie, a także i w naszym, krajowym rolnictwie. Ponadto nasiona kwiatów i warzyw, choć w tym przypadku raczej trudno przypuszczać, aby wzbudziły one większe zainteresowanie za granicą, bowiem ich jakość, mierzona wielkością plonów, jaką uzyskać można z 1 ha, w sposób znaczny odbiega od jakości nasion np. holenderskich. Poza tym sadzonki krzewów owocowych i ozdobnych.

O tym, że mamy osiągnięcia nie tylko w uprawach ale i w hodowli przekonała prezentacja zwierząt — krów mięsnych i mlecznych oraz koni. Warto przy tym podkreślić, że jeśli chodzi o konie, Polska dysponuje największym na świecie potencjałem biologicznym i dużym doświadczeniem hodowlanym co stwarza ogromne możliwości zarówno kontaktów handlowych, jak i współpracy naukowo-technicznej.

Kolejna dziedzina zaprezentowana na **Agroexpo** była chemia — cała gama nawozów i środków ochrony roślin, w tym wiele opartych na dostępnych surowcach krajowych — siarce i miedzi. Jak twierdzili jednak oglądający ekspozycję specjaliści — chemia ciągle nie jest tym najlepszym i najbardziej nowoczesnym przemysłem, produkującym na rzecz rolnictwa, postęp w tej dziedzinie dokonuje się zbyt wolno i na razie nie ma co liczyć, że produkty chemiczne staną się jedną z polskich specjalności eksportowych.

## HORTEX PROPONUJE

Mogą się stać nią natomiast — a w wielu przypadkach już tak się dzieje — przetwory. Znany od lat **Hortex** obok tradycyjnych już dla tej firmy mrożonek, reprezentujących najwyższy światowy poziom pokazał również tym razem urządzenia dla pszczelarstwa i produkty pszczele w formie nie przetworzonej, jak propolis, pyłek kwiatowy i wosk. Uzupełnieniem tej oferty była umieszczona przed pawilonem ekspozycja maszyn i urządzeń do pracy w szklarniach sadach i ogrodach, przygotowana przez Hortimasz.

Obok Hortexu z podobną ofertą wystąpiło **Interpegro** — młoda, bo zaledwie 3 lata działająca spółka, zajmująca się obsługą handlu zagranicznego państwowych zakładów rolnych i ogrodniczych. Podobnie jak na stoiskach Hortexu zaprezentowano tu mrożonki owocowe i warzywne ale także i susze warzywne — produkt poszukiwany przez odbiorców zagranicznych, który właśnie Interpegro pierwsze wprowadziło na rynki zagraniczne — świeże jabłka, będące jedną ze specjalności eksportowych spółki, poszukiwane zwłaszcza na rynkach skandynawskich, sadzonki kwiatów doniczkowych oraz zagęszczony sok jabłkowy.

Z ciekawostek — na ekspozycji jednego z zakładów, wchodzących w skład spółki, pojawiło się także wino z jabłek „Złota Reneta" w opakowaniu takim, jakie widuje się na półkach każdego sklepu monopolowego. Jeśli zakupi je jakiś zagraniczny odbiorca (co oby się nie stało) z pewnością nie stanie się on propagatorem dobrej opinii o polskim przetwórstwie spożywczym.

## OD MARCHWI DO HELIKOPTERA

Co jeszcze pokazali zarówno polscy jak i zagraniczni wystawcy — wymieniać by można jeszcze długo, na **Polagrze** znalazło się bowiem niemal wszystko, co związane jest z rolnictwem i gospodarką żywnościową, od dorodnych półmetrowej długości marchwi aż po helikoptery, używane do niektórych zabiegów agrotechnicznych, tak, że nawet te spośród zwiedzających tereny targowe osób, które na sprawach rolnych nie znają się w ogóle, znalazły tu wiele interesujących i efektownych eksponatów.

Nie o widowiskowe efekty jednak chodziło organizatorom i uczestnikom targów (choć zawsze w przypadku takich imprez, o zasięgu międzynarodowym, i te są ważne). Jak już wspomniałam, jednym z głównych celów imprezy była intensyfikacja eksportu tego wszystkiego, co składa się na „zielony kompleks". **Polagra** mogła z pewnością przekonać wiele osób, że eksportować mamy co, przyczynić się do obalenia pokutującego jeszcze w społeczeństwie mitu, że podstawowymi produktami polskiego eksportu spożywczego są szynka i wódka, którymi zachwyca się cały świat. Tymczasem szynka (kilka puszek także znalazło się na ekspozycji) stanowi zaledwie nikłą i mało znaczącą część tego co zaoferować możemy, a „sławna wyborowa" sławą cieszy się głównie w kraju, za granicą natomiast należy do trunków tańszych, a więc chętnie wypijanych przede wszystkim przez tych, którzy nie jakość, lecz ilość preferują.

W czasie trwania targów **Agroexpo** wiele osób — zarówno w czasie oficjalnych konferencji, jak i indywidualnie zwiedzających ekspozycje wyrażało wątpliwość, czy, wobec trudności, z jakimi ciągle boryka się nasz kraj, już w tej chwili możemy pozwolić sobie na eksport w tej dziedzinie, zwłaszcza że zamierzenia nie dotyczą jedynie nadwyżek towarów. Odpowiedź na to jest właściwie prosta: eksportować musimy, gdyż inaczej nie tylko nie zlikwidujemy się własnych trudności gospodarczych, lecz w krótkim czasie pogłębią się one. Ponadto — eksportować musimy nie to, czego mamy nadmiar (nikt przecież nie będzie kupował od nas nie przetworzonych ziemniaków) lecz to, co mamy najlepszego, co stanowi najwyższe osiągnięcie w dziedzinie nauki i techniki, jednym słowem to, co może konkurować z podobnymi wyrobami zagranicznymi, nawet, jeśli przez jakiś czas są to towary produkowane w ilościach nie pokrywających całkowicie zapotrzebowania polskich odbiorców.

Termin zorganizowania pierwszych polskich targów międzynarodowych o charakterze rolno-przemysłowym wydaje się wybrany w sposób szczególnie właściwy. W roku bieżącym rolnictwo osiągnęło najlepsze od wielu lat wyniki, porównywalne z 1978 r. szczególnego urodzaju. Ponadto w ostatnich latach dowiodło dużej elastyczności i zdolności dostosowywania się do zmiennych warunków wewnętrznych, jak i — bardzo trudnych — zewnętrznych, osiągając w tym czasie zdecydowany wzrost produkcji towarowej brutto i netto, a także widoczny postęp w sferze stosunków społecznych na wsi.

Stabilność polityki rolnej, znaczna (choć jeszcze na niektórych odcinkach niedostateczna) poprawa zasilania rolnictwa, rozwój przemysłu rolno-spożywczego — to wszystko czynniki, gwarantujące dalszy, niezakłócony rozwój tej dziedziny, umożliwiający nie tylko systematyczną poprawę zaopatrzenia własnego rynku, ale i rozwijanie eksportu.

Nawiązywaniu nowych i rozszerzaniu dotychczasowych kontaktów z zagranicą sprzyjają również decyzje polityczne, czego wyrazem jest Sejmowy program rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej do 1990 roku, którego realizację rozpoczęto już w roku bieżącym. Jego celem jest nie tylko osiągnięcie samowystarczalności żywnościowej kraju, lecz także uzyskanie dodatniego salda obrotów produktami rolno-spożywczymi (przy co najmniej nie mniejszej wielkości importu) i ponowne przekształcenie Polski w eksportera żywności. Z nakładów inwestycyjnych w całej gospodarce do roku 1990 na inwestycje w kompleksie żywnościowym zamierza się przeznaczyć aż 30 proc.

Decyzje te z pewnością także przyczyniły się do faktu, że na **Polagrę** przyjechało aż tylu zagranicznych wystawców. Oznaczają one bowiem, że co najmniej przez cała najbliższą pięciolatkę Polska będzie dobrym rynkiem zbytu dla wielu produktów, maszyn i urządzeń związanych z rolnictwem i gospodarką żywnościową, partnerem chętnym do nawiązywania wzajemnie korzystnych kontaktów w zakresie kooperacji, współpracy, wymiany „know-how" i wszelkich innych działań, mających znaczenie dla rozwoju tej preferowanej dziedziny życia gospodarczego.

**Polagra-Agroexpo** wejdą na stałe do kalendarza międzynarodowych imprez targowych w Poznaniu. Proponuje się, aby odbywały się one co 3 lata, ostateczna decyzja zapadnie jednak dopiero po podsumowaniu wymiernych i niewymiernych efektów tegorocznej imprezy.

TERESA JERZYKOWSKA

# Koniec mitu eksportowej szynki

# Czego nie powiedziałem radiosłuchaczom

ze str. 1

W Zofiówce nie musiałem dramatyzować, dramatyczna była cała historia. Ale nadchodzi punkt kulminacyjny naszego spotkania. Niby słucham ludzi, niby nagrywam, ale właściwie to cały czas myślę o jednym: dać im posłuchać tej rozmowy czy nie? Chodzi o to, że rano rozmawiałem z zabójcą. Usprawiedliwiał się. Ale ta rozmowa może jeszcze bardziej ludzi rozeźlić. A ja przecież czuję się odpowiedzialny za tamte dwie kobiety, za swoją ekipę i za sprzęt.

## RYZYKO I SPOSOBY

Dochodzę do wniosku, że trzeba ryzykować. Odtwarzamy rozmowę. Oburzenie ludzi, wrzawa, matka zabitego krzyczy *„on jeszcze mówi, on się usprawiedliwia, a mój syn nie może mówić, i czy to w ogóle wolno w Polsce chodzić tak do więzienia i rozmawiać z mordercą, czy to jest dozwolone"*. Emocje tłumu kierują się przeciwko mnie. Wybawia mnie siostra zabitego: *„ależ ten pan jest dziennikarzem i taka jest jego rola, że musi wszędzie dotrzeć"*. Słowa kobiety trafiają do ludzi, nie bez znaczenia jest fakt, że wypowiedziała je siostra zabitego. Od tej chwili już wiem, że nic złego przy tym nagraniu stać się nie może. Ludzie oswoili się z nami, a chyba nawet nas polubili — w końcu mają się przed kim wygadać, wylać swoje żale. Kończymy nagranie, ludzie się rozchodzą, my odjeżdżamy.

Ale to nie koniec reportażu. Tu znowu o radiowej kuchni. Nagrywałem mszę w kościele, ale technicznie nie bardzo to nagranie wyszło, nie zdążyłem też na pogrzeb w Zofiówce. Cóż więc robię? Proszę technika, aby nagrał mi niedzielną mszę z radia. W końcu nie ma to takiego znaczenia fragmenty jakiej mszy będą w reportażu. Natomiast techniczna jakość nagrania ma znaczenie. Mszę nagrywa mi w niedzielę Janusz Kubs. Wybieram fragmenty, montuję, „zderzam" z wypowiedziami ludzi. Efekt jest znakomity.

Teraz pogrzeb. Mam efekty innego pogrzebu — pogrzeby także są do siebie podobne. Wybieram fragmenty, ale brakuje mi efektu zasypywania grobu. Na podwórzu w Rozgłośni trwa budowa. Koledzy z techniki Zdzisiek Michalski i Tomek Podwysocki biorą z Rozgłośni magnetofon, a z podwórza łopatę i drewnianą skrzynię, stawiają skrzynię, która „ma robić za trumnę", obok kupy piachu. Tomek rzuca łopatą piach na „trumnę". Zdzisiek nagrywa. Na żadnym prawdziwym pogrzebie nie nagrałoby się czegoś tak prawdziwego.

I tu kolejna tajemnica radiowej kuchni. Otóż często na antenie substytut brzmi znacznie lepiej aniżeli to, co jest prawdziwe. Każdy radiowiec i każdy imitator dźwięku w filmie wie, że na przykład można nagrać przemarsz oddziału wojskowego, ale nigdy ten przemarsz nie będzie brzmiał na antenie tak dobrze i o paradoksie — tak prawdziwie jak odpowiednie szeleszczenie kartką papieru. Szelest kartki brzmi na antenie jak przemarsz wojska, a przemarsz wojska — jak bliżej nie sprecyzowany hałas.

Ale wróćmy do naszego reportażu. Efekty więzienne (dzwonki, trzaskanie drzwiami cel, itd.), trwają w audycji 15, może 20 sekund. Andrzej Papajak nagrywał je przez dwie godziny, a ja montowałem prawie przez pół dnia, no ale mam już prawie wszystko, tylko nie ma jeszcze najważniejszego — audycji. Siedzę nad nią dniami i nocami.

## WYŚCIG Z CZASEM I „ŚWIEŻE UCHO".

W poniedziałek audycja musi być w Warszawie, a jest sobota. Zarządzam wstępne zgranie. Chodzi o to, że mam na kilkunastu różnych taśmach i taśmiekach rozmowy, efekty, wywiady, a „nie widzę" całości audycji. Muszę zgrać i potem pracować nad całością. Zgrywam z Hanią Jarocińską, ale ani ona, realizatorka, ani technik (chyba Ziutek Kowalewski) nie umieją mi doradzić jak to skrócić. A trzeba skrócić, bo reportaż ma 40 minut, a może mieć co najwyżej pół godziny. Owszem, reportaż podobał im się, ale najchętniej zostawiliby wszystko tak jak jest. Oni mogą tak mówić, ja nie mogę tak myśleć.

Jest już niedzielne przedpołudnie. Co robić? Trzeba znaleźć „świeże ucho". „Świeże ucho" — to w radiowym żargonie człowiek, najlepiej dobry reporter, który nie słyszał reportażu i w ogóle nie miał z nim nic wspólnego. Nie może więc być nim (uchem) Krysia Tamulewicz, bo słyszała reportaż we fragmentach, z tego samego powodu odpada Ula Mikołajczyk. Nie może być Zbyszek Korzeniowski, bo jest na Węgrzech, ani Grażyna Papier, bo wyjechała w teren. Ja, czyli autor reportażu, nie mam obiektywnego stosunku do audycji, traktuję ją mniej więcej tak jak matka swoje dziecko. Poza tym w głowie mi huczy od dźwięków, znam na pamięć prawie każde zdanie. A tu potrzeba chłodnego, fachowego podejścia, czyli potrzebne jest „świeże ucho". Dzwonię do Zbyszka Wojciechowskiego, sam byłem dla niego niekiedy „świeżym uchem". Jest w domu. Bierz magnetofon i przychodź. Przychodzę. Kawa już czeka. Słuchamy. Mija 40 minut. — *To bym wyrzucił* — mówi Zbyszek — *to skrócił, tamto jeszcze zmienił.*

Rzeczowe, fachowe uwagi. Nie wszystko akceptuję, ale w większości jego propozycje zgodne są z mymi podświadomymi odczuciami. Wracam do Rozgłośni, montuję, skracam.

Poniedziałek, godzina 11,00. O 13,00 Sekretariat Rozgłośni wysyła dworcówkę do Warszawy (dworcówka — taśmy z audycjami i korespondencja). Umawiam się z realizatorką na 12,00. Po czym błagam Anitę, podówczas sekretarkę firmy, aby opóźniła dworcówkę. Nawiasem mówiąc Anita zdradziła potem radio na rzecz „Głosu Robotniczego", ale sentyment do Rozgłośni pozostał chyba do dziś. Anita daje mi dodatkowo pół godziny. Zgrywamy audycję po raz drugi. Tym razem przy konsolecie Romcia Materowa, przy magnetofonie Jola Stępień. Narzucamy straszne tempo, bo oto w drzwiach pojawia się Stasiek Śliwiński, kierowca, który ma jechać na dworzec. Kończymy audycję, wręczam Staśkowi taśmę. Pojechał, zdążył, a ja „wypuszczam powietrze" i proszę Irenkę (bufetowa) o kolejną kawę.

Za dwa tygodnie, w Warszawie, odbieram nagrodę z rąk Prezesa. Druga nagroda w ogólnopolskim konkursie na reportaż radiowy. To duży sukces, ale czy tylko mój? Kilkunastu ludzi pracowało na ten reportaż, a jeszcze kilku służyło swymi radami. I to jest właśnie w radiu wspaniałe. Wszyscy oni cieszą się teraz z mojego, przepraszam, naszego sukcesu. Stawiam kawę, dziękuję.

## NIESPODZIEWANE ZAKOŃCZENIE

Miesiąc później reportaż nadano na antenie ogólnopolskiej. Jest wieczór. Słucham go w domu. Ktoś może spytać po co? Skoro znam na pamięć niemal każde zdanie. Każdy tak spyta, tylko nie radiowiec. Radiowiec wie, że co innego słuchać z magnetofonu, czy z głośnika przy stole montażowym, a co innego z anteny. Skończył się reportaż, zaczęły się telefony. Pierwszy zadzwonił kolega z liceum.

— *Stary, moje gratulacje, świetna audycja, ale wcale nie uważam, że to jest najlepszy twój reportaż. Za najlepszy uważam „Obrazy".*

Dziękuję za miłe słowa, ostatecznie jego prawo tak sądzić.

— *Ale* — mówi dalej — *wysłuchaliśmy go wspólnie z żoną i jesteśmy przerażeni.*

— Jak to? — pytam.

— *Ano tak, moja żona jest prokuratorem i to oskarżycielem w tej sprawie. Za kilka dni w Zofiówce na miejscu przestępstwa miała być wizja lokalna. Z udziałem oskarżonego oczywiście. Po wysłuchaniu tego reportażu zupełnie nie wiemy, co robić. Wezwać kompanię milicji, może wojska, przecież ludzie tam ziają nienawiścią i może dojść do samosądu.*

No i proszę, jaka to jest siła reportażu radiowego. Odradzam zbyt wielką obstawę, proponuję wstrzymać wizję do momentu, kiedy trochę opadną emocje. Proponuję też zrobić wizję raniutko, w zwyczajny dzień tygodnia, a nie w niedzielę. Później dowiedziałem się, że z rady skorzystano.

Drugi telefon. Dzwoni mieszkaniec Zgierza. Człowiek, który wykazał dużo odwagi i zimnej krwi wyrywając niejako zabójcę z rąk rozhisteryzowanego tłumu i odwożąc go na posterunek milicji. Dużo go to jednak kosztowało.

Kiedy już oddał przestępcę w ręce milicji, a myślę, że tym samym uratował mu życie, sam dostał zawału serca. Nieprzytomnego odwieziono go do szpitala w Zgierzu, tego również nie powiedziałem radiosłuchaczom, bo przecież wcześniej o tym nie wiedziałem.

Inne telefony były zwyczajne, z gratulacjami, refleksjami. Ale to jeszcze nie jest epilog całej historii. Epilog nastąpił w jakieś pół roku, może nawet w rok później, i był dla mnie zaskakujący. Odwiedziła mnie w Rozgłośni żona tragicznie zmarłego. Wyjaśniła, że cała sprawa w sądzie wlecze się zbyt długo. Podejrzewa, iż wyrok nie będzie zbyt wysoki i w ogóle sprawiedliwości nie stanie się zadość. Prosiła, by ponownie przyjechać do Zofiówki, nagrać reportaż i spowodować tym samym przyśpieszenie procesu. Jak to spowodować przyśpieszenie procesu? Ja właśnie przyczyniłem się do jego opóźnienia. Ale nie stąd moje największe zaskoczenie. Otóż na początku reportażu podałem suche fakty dotyczące wydarzenia, oczywiście nie pochwaliłem zabójcy, ale też samo zabójstwo było dla mnie zaledwie punktem wyjścia do rozważań na temat ludzkiej kondycji i mentalności. Intencją reportażu była przede wszystkim krytyka ludzi, którzy co innego mówią i śpiewają w kościele, a co innego po wyjściu z kościoła. Podczas mszy mówią o odpuszczaniu winy, o miłości bliźniego i braterstwie, a po wyjściu z kościoła opowiadają o tym, jaki rodzaj śmierci zadaliby przestępcy. Przestępcy, bo przestępcy, ale przecież — bliźniemu. Był zabójcą, ale nie mordercą. Zabił, ale w bójce, nie z wyrachowania, ale z emocji. Ponadto w reportażu — tak mi się przynajmniej zdawało — piętnowałem zasadę talionu (oko za oko ząb za ząb) wszak mamy drugą połowę XX wieku, a nie XVIII wiek p.n.e. (zasadę talionu pierwszy raz ujęto w kodeksie Hammurabiego 18—17 wiek p.n.e.). Nie zgadzałem się z postawami zaprezentowanymi przez mieszkańców Zofiówki niby żywcem wyjętymi z filmu o sycylijskiej mafii. Żyjemy wszak w środku Europy, w kraju jakby nie było tolerancyjnym. W tej sytuacji uważałem, iż nie ma co pokazywać się w Zofiówce, bo przecież ja skrytykowałem jej mieszkańców. No a tu tak zaskakująca propozycja.

## BYĆ MOŻE W PRZYSZŁOŚCI

odwiedzę jeszcze Zofiówkę, może właśnie wtedy, gdy z więzienia wyjdzie zabójca. Czy emocje w Zofiówce opadną. Czy ludzie potrafią wybaczać ludziom, czy umieją odpuszczać winy swoim winowajcom tylko w kościele, a już nie w życiu? Ponoć czas leczy wszelkie rany, nawet te największe. Czy i tym razem czas okaże się największym lekarzem? Oto pytania i wątpliwości reportera. Ale o tym wszystkim nie powiedziałem już ani wdowie, ani radiosłuchaczom.

JÓZEF WOJCIESZCZYK

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

# Zanim wsiądziemy do metra

— Mógłby pan jechać nieco szybciej?

— *Którędy? Chyba chodnikiem! Toż po tym mieście jeździ się coraz gorzej; samochodów przybywa, osiedla rosną jak na drożdżach, a szybkich arterii komunikacyjnych na lekarstwo.*

— No, ale jest aleja Mickiewicza, Włókniarzy...

— *I obie wiosny nie czynią, pomijam już fakt że na dobrą sprawę kończą się „ślepo", wąskimi kiszkami. Wieczesz się pan godzinami taką Zgierską czy Pabianicką, paliwo tracisz, nerwy także, a to przecież trasy wylotowe z miasta, tranzyt!*

— Do Piotrkowa nieco wygodniej...

— *No, ta jedna, choć do Tuszyna, ale tam pan nie pogonisz, bo zawsze z radarem stoją. Inne? Makabra! Że nie wspomnę o śródmieściu. W tej plątaninie wąskich, jednokierunkowych ulic ja się jeszcze orientuję, ale kierowcy z innych miast formalnie giną. Wkrótce zakorkujemy się zupełnie. Ja bym...*

— Ma pan własną receptę?

— *Panie, ja bym ciął, wyburzał, nie patyczkował się, przy Głównej też domy leciały i przynajmniej jest jakiś efekt.*

— No tak, ale oprócz mieszkań potrzebne są jeszcze fundusze na nowe inwestycje drogowe.

— *Kochany, wszyscy teraz płaczą na brak forsy. A w innych miastach jednak się buduje, co? Jakoś dają radę? Jakie mają trasy w Poznaniu, Trójmieście, Wrocławiu, że o stolicy nie wspomnę. A u nas? Ile to już lat słyszę o przebudowie Pabianickiej, wiaduktach na Dąbrowskiego czy przeróbce tego cholernego grajdołka przy Kaliskim...*

Rozmowa z taksówkarzem, choć miała miejsce kilka lat temu i dziś nic nie straciła na aktualności. Co więcej, przybyło samochodów i generalnie warunki podróżowania po Łodzi jeszcze bardziej się pogorszyły. Wydłużają się czasy przejazdu tramwajami i autobusami, coraz więcej ulic w centrum, już nie tylko w godzinach szczytu komunikacyjnego, zatłoczonych jest maksymalnie, organizacyjne roszady z wystawianiem kolejnych znaków zakazu i nakazu niewiele pomagają. Bo pomóc nie mogą, jest nam po prostu zbyt ciasno. Specyficzny układ zabudowy zwłaszcza śródmieścia - sprawia, że choć przypada na 1 tysiąc statystycznych łodzian 115—120 samochodów, czyli znacznie mniej niż w Warszawie czy choćby Poznaniu (około 180 i 170 samochodów) — jeździ nam się coraz trudniej.

Od pewnego czasu coraz więcej i głośniej mówi się o inwestycji, która — zdaniem wielu — rozwiązać ma nasze podstawowe problemy komunikacyjne. Chodzi oczywiście o

## ŁÓDZKIE METRO

Temat rzeczywiście, jak to się zwykło określać, jest zaklepany, po Warszawie właśnie Łódź ma otrzymać ten szybki środek miejskiej komunikacji. Znane są już pierwsze techniczne ustalenia: że w pierwszym etapie obsługiwać będzie metro pasażerów na szlaku Północ—Południe, że przebiegać będzie na głębokości raptem 15 metrów z Teofilowa na Dąbrowę, że również w rejonie „Pietryny", że w sumie, na początek, około 12 kilometrów z bodaj szesnastoma stacjami. Nieco bardziej nieśmiało, bo i perspektywa bardziej odległa, wspomina się o następnej linii metra, mającej połączyć rejon przyszłych osiedli mieszkaniowych Janów—Henryków poprzez centrum (okolice ulicy Narutowicza i Dworca Kaliskiego) z Retkinia i Lublinkiem.

No cóż, na razie zespoły specjalistów, również projektantów, uczą się od innych. Jeżdżą i podglądają budowę w stolicy, korzystają z uprzejmości Węgrów i Czechów. Powiedzmy sobie otwarcie, że będzie jeszcze okazja wielokrotnie do tematu wrócić, bowiem według wszelkich znaków na niebie i ziemi inwestycja ma szanse realizacji nie wcześniej niż za 10 lat. A poza tym nie rozwiąże ona wszystkich naszych komunikacyjnych problemów. Ocenia się bowiem, iż metro będzie w stanie przejąć nie więcej jak 28—30 proc. przewozów pasażerskich.

Popatrzmy więc raczej realnie na nasze aktualne możliwości i potrzeby. Te drugie są ogromne — to pewne, są też inwestycje, od których uciec w najbliższych latach nie sposób i o nich też w tym materiale chciałbym wspomnieć nieco szerzej. Bez szczegółowych ustaleń terminowych, technicznych uściśleń, bez wyliczania kosztów. Ceny skaczą w górę raczej szybko, terminy są zwykle płynne — zostawmy więc te sprawy m. in. inwestorom. Ale warto wiedzieć choć w przybliżeniu kiedy i gdzie, w jakim rejonie, czy na jakim szlaku możemy spodziewać się komunikacyjnych zmian.

Bodaj najbardziej uciążliwy dla miasta jeszcze przez kilka najbliższych lat będzie niewątpliwie

## KALISKI WĘZEŁ GORDYJSKI

Temat wcale nie jest nowy, już na początku lat sześćdziesiątych planowano przebudowę wąskiego gardła przy dworcu. O jej potrzebie nie trzeba dziś chyba nikogo przekonywać, wielotysięczne osiedla Retkinia i Karolew praktycznie odcięte są od centrum, a pod stareńkimi, wąskimi wiaduktami godzinami tłoczą się stada samochodów osobowych, autobusów, tramwajów.

Rozmiar inwestycji jest na tyle duży, że nawet przy ogólnikowym dość potraktowaniu tematu przyda się załączony szkic obrazujący przebieg przyszłych arterii komunikacyjnych, usytuowanie mostów itd.

Podstawowym założeniem było przedłużenie al. Mickiewicza w kierunku Retkini, pod torami PKP i... aleją Unii. Dwujezdniowa trasa od istniejącego skrzyżowania z al. Włókniarzy poprowadzona zostanie zupełnie nowym śladem i lekkim łukiem, przez ogródki działkowe dotrze do „bocianów" czyli skrzyżowania przy ulicy E. Thälmanna. Wspomagającym układem komunikacyjnym będzie przedłużenie ulicy Maratońskiej do al. Unii — wzdłuż torów kolejowych.

Budowa tych dwóch arterii pozwoli na „wyrzucenie" uciążliwego ruchu kołowego na zewnątrz osiedla Karolew, z pozostawieniem tylko szlaku tramwajowego, który również bezkolizyjnie włączał się będzie w al. Mickiewicza.

Wspomniany w ogólnym zarysie układ ostatnimi laty był wielokrotnie dyskutowany, zmieniany, wreszcie jednak w takim kształcie jak opisany wszedł do realizacji. I budowa „idzie"... Ponieważ przebicie się pod torami oznacza budowę nowych wiaduktów kolejowych i spore perturbacje dla PKP — od spraw tych rozpoczęto. Dziś wiadukt drogowy dla al. Unii oraz zachodnia część pierwszego wiaduktu kolejowego — są w zasadzie gotowe. Pierwszy — umożliwi kontynuację budowy ulicy Maratońskiej wzdłuż szlaku PKP, drugi — kolejne przekładanie torowisk kolejowych, co jest o tyle istotne, że całość robót prowadzonych jest, jak to się zwykło określać — „pod ruchem".

Cóż jeszcze? Ano, dodać można że na miejscu istniejącego wiaduktu znajdą się bezkolizyjne zejścia z peronów do przystanków tramwajowych czy autobusowych zlokalizowanych obok. Zresztą jednym z podstawowych założeń było uwzględnienie bezkolizyjnego ruchu pieszego pod torami równolegle do al. Mickiewicza. W cały układ wpasowano także bryłę przyszłego Dworca Kaliskiego, który znaleźć ma się między torami PKP, na miejscu obecnego parkingu przed istniejącym budynkiem.

Dalsza rozbudowa układu komunikacyjnego w rejonie Kaliskiego przewiduje także poprowadzenie ruchu tranzytowego wygodną bezkolizyjną estakadą wzdłuż al. Włókniarzy nad obecnymi skrzyżowaniami.

I w tym momencie powinno się już tylko dodać konkretny termin zakończenia inwestycji. Ale... Po pierwsze — jest on jednak jeszcze dość odległy, a poza tym — nikt na dobrą sprawę nie wie, kiedy naprawdę uda się tę budowę zrealizować. Czy będą ludzie, materiały, a przede wszystkim — fundusze? Wszyscy są zdania, że powinny się znaleźć, w praktyce wygląda to różnie. Jeden mały przykład. Gdyśmy już kilka godzin deliberowali ze specjalistami z Biura Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi nad przyszłościowymi rozwiązaniami komunikacyjnymi, pozwoliłem sobie odbyć krótką rozmowę telefoniczną z inwestorem, Wojewódzkim Przedsiębiorstwem Dróg i Mostów. Dyrektor — Andrzej Doliński stwierdził między innymi:

— *Nie mówmy o żadnych terminach, skoro nie wiem jakimi finansami będę dysponował. Na ten rok pieniądze skończyły mi się... 8 października i na dobrą sprawę powtórnie stanąć ze wszystkimi robotami. A czeka choćby wiadukt nad aleją Unii, gdzie musimy wylać około 1600 metrów sześciennych betonu...*

O inne arterie komunikacyjne już nie pytałem, choć wiadomo jest, że także muszą być kontynuowane. Ot, choćby stały temat rozmów wielu łodzian, czyli

## PRZEBUDOWA PABIANICKIEJ

jednej z najbardziej zatłoczonych, uciążliwych ulic, trasy wylotowej i tranzytowej równocześnie. Jeszcze w latach siedemdziesiątych głośno mówiło się o potrzebie radykalnej modernizacji od Ronda Titowa do Rudzkiej minimum. Pierwszym praktycznym etapem było dołożenie drugiej jezdni od ronda do wiaduktu i — sprawa ucichła. To znaczy wciąż wiemy, jak będzie przebiegała przebudowana Pabianicka, tylko nie wiemy, kiedy drogowcy dopiszą w praktyce ciąg dalszy. Dodajmy więc tylko, że zatwierdzony jest projekt wybudowania drugiej jezdni po stronie zachodniej do ulicy Rudzkiej (między nimi pozostaje pas zieleni z drzewami i torowiskiem tramwajowym, następnie dodatkowe pasmo drogi przechodzi na wschodnią stronę Pabianickiej, a cała arteria w pobliżu Neru bezkolizyjnie przerzucona zostanie nad torami MPK.

Specjaliści ze wspomnianego Biura wspomnieli też o bardzo interesującej koncepcji obejścia już zmodernizowaną arterią tranzytową pobliskich Pabianic od strony południowej i połączenia z istniejącą drogą (do Sieradza), już za miastem, co też znakomicie odciążyłoby zatłoczone pabianickie ulice Żukowa i Partyzancką. Ale plany Ministerstwa Komunikacji dotyczą modernizacji drogi Sieradz—Pabianice bez uwzględnienia obwodnicy tego ostatniego...

A jeśli o przebiegających przez Łódź szlakach tranzytowych mowa, nie godzi się nie wspomnieć o planach dotyczących przebudowy ulicy Zgierskiej czyli miejskiego fragmentu szlaku E-16. Też szalenie zatłoczona, w znacznym stopniu ciężkim taborem, jest częściowo efektem swoiście paradoksalnej sytuacji, do jakiej doprowadziło szybsze niż przewidywano pierwotnie oddanie do użytku osiedli Radogoszcz Wschód i Zachód. Mieszkania są, drogi z prawdziwego zdarzenia — brak. Aleja Włókniarzy doprowadza zmotoryzowanych gdzieś w rejon ulicy Niezapominajki i... I dopiero plany przyszłościowe przewidują dalsze przebicie dwupasmowej drogi w kierunku Zgierza (z jego obejściem od strony zachodniej). Co oczywiście nie może eliminować samej ulicy Zgierskiej z planów robót pilnych, choć w praktyce nikt nie jest w stanie określić, kiedy to może nastąpić...

Drogowych tematów czekających na rozpoczęcie, wściśnięcie do planów czy wstępną choćby akceptację — dziś nie ruszajmy. Jest ich po prostu zbyt wiele, a i każdy z Czytelników ma na ten temat własną opinię, zwłaszcza dotyczącą preferencji arterii, z których — tak to zwykle bywa — najczęściej korzysta. Są jednak inwestycje, na których zakończenie z niecierpliwością czekają przedsiębiorstwa transportowe, zmotoryzowani, pasażerowie MPK, specjaliści od inżynierii ruchu. Ot, choćby otwarcie ulicy Rokicińskiej. Nowy wiadukt kolejowy pozwoli przedłużyć al. Mickiewicza aż do ulicy Augustów, zapewni lepszy dojazd do Widzewa Wschodu, odciąży ulicę S. Przybyszewskiego. Wszystko wskazuje na to, że po wyburzeniu starego wiaduktu, co ma nastąpić w najbliższych tygodniach, (w przyszłym roku) jedna „nitka" ulicy Rokicińskiej oddana zostanie do użytku. Ale w niedalekiej przyszłości niezbędne będzie dalsze przedłużanie tego szlaku komunikacyjnego. Wszak „na zapleczu" Widzewa powstaną dwa ogromne osiedla mieszkaniowe — Janów i Olechów. Tak więc ulica Rokicińska (z tramwajem) ma nam pozwolić na szybki dojazd aż do granic miasta. Do przejęcia coraz większego ruchu kołowego przygotowywana też jest (od ilu to już lat?...) ulica Dąbrowskiego. W układzie dwóch jezdni ma być ona w pierwszym etapie przedłużona do ulicy Puszkina. A później... — ale to jeszcze nie czas wybiegać tak daleko w przyszłość.

Warto natomiast, rozpatrując kompleksowo łódzki układ komunikacyjny i jego najbliższe perspektywy, przyjrzeć się specyficznemu usytuowaniu miasta na mapie krajowych szlaków komunikacyjnych. Okaże się wówczas, że Łódź znajdzie się wkrótce w bezpośrednim sąsiedztwie dwóch potężnych arterii, które śmiało można określić jako

## AUTOSTRADY XXI WIEKU

Pierwsza z nich, zwana W-Z, a jeszcze wcześniej — „olimpijską" (nazwa przypomina nam tylko pierwotne zamiary realizacyjne, których ze względów finansowych nie udało się dotrzymać...) przebiegać ma w pobliżu Emilii i Strykowa i tyle właściwie na dobrą sprawę możemy o niej stwierdzić. Prawdę powiedziawszy, jedynie Poznań realizuje swój fragment tej trasy i wygodnym dwujezdniowym szlakiem pędzimy od niedawna prawie do samego Konina. Budowę dalszych odcinków, również tych sąsiadujących z naszym miastem, okrywa na razie mgła tajemnicy...

O wiele więcej możemy natomiast powiedzieć o autostradzie TAPP (Transeuropejska Autostrada Północ-Południe), która połączyć ma Skandynawię z Bałkanami i w której budowie partycypować ma w sumie osiem krajów. I ten międzynarodowy szlak komunikacyjny przebiegać będzie w pobliżu Łodzi. Co więcej — znaczne jej fragmenty mają być w najbliższych latach oddawane do użytku. Niewiele też zapewne zmotoryzowanych wie, że odcinek Częstochowa-Piotrków popularnej „giełkówki" stanowi pierwszy na terenie Polski fragment TAPP, a już jest realizowany dalszy — od węzła drogowego pod Piotrkowem do Tuszyna — około 20 kilometrów długości. Zakończenie tego etapu prac przewiduje się na 1990 rok, ale powiedzmy sobie wyraźnie, że drogowców czeka ogrom prac, bowiem opisany fragment trasy poprowadzony będzie dziewiczym na dziś terenem, niezależnie od istniejącego połączenia Łodzi z Piotrkowem.

Od węzła „Tuszyn" szlak TAPP poprowadzony zostanie na północ w kierunku Strykowa, mniej więcej w pobliżu miejscowości: Romanów Andrzejów Nowosolna, Skoszewy. Aby zapewnić najdogodniejsze połączenie z Łodzią wybudowanych zostanie szereg bezkolizyjnych skrzyżowań z autostradą, m. in. „Romanów" (z drogą Rzgów-Tomaszów) „Andrespol", „Brzeziny", „Stryków II" (skrzyżowanie z autostradą W-Z).

Na marginesie tych czekających drogowców, gigantycznych robót warto tylko dodać, że nie ma jeszcze zaprojektowanych precyzyjnie połączeń z Łodzi, a wyłącznie węzły drogowe, choć jedno i drugie należy do resortu komunikacji. Myślę jednak, że nie powinniśmy zbyt długo czekać na ich realizację, (również w praktyce), jako że włączenie miasta w sieć międzynarodowych szlaków komunikacyjnych ma kapitalne znaczenie dla usprawnienia transportu tranzytowego. A Łódź na to z pewnością zasługuje.

Na zakończenie dzisiejszych dywagacji chciałbym wspomnieć jeszcze o jednej sprawie, bezpośrednio wiążącej się z trudnościami komunikacyjnymi Łodzi i mogącej w znacznym stopniu poprawić warunki podróżowania zwłaszcza w zatłoczonym śródmieściu. Bowiem zaawansowane są już mocno prace nad komputerowym systemem sterowania ruchem ulicznym. Zakłada się, iż w ciągu najbliższych pięciu lat system ten będzie stopniowo wdrażany i docelowo około 60 skrzyżowań w obszarze otoczonym ulicami: Ogrodowa-Północna-Promińskiego-Mickiewicza-Żeromskiego działać będzie w układzie skoordynowanym z natężeniem ruchu kołowego. Jest już nawet komputer — Mera-400 i choć nie ma jeszcze pomieszczeń, w których znajdzie się centralna sterownia, specjaliści są zdania, że bliski już jest dzień, gdy na głównych skrzyżowaniach elektroniczny mózg zapalał nam będzie zielone światło.

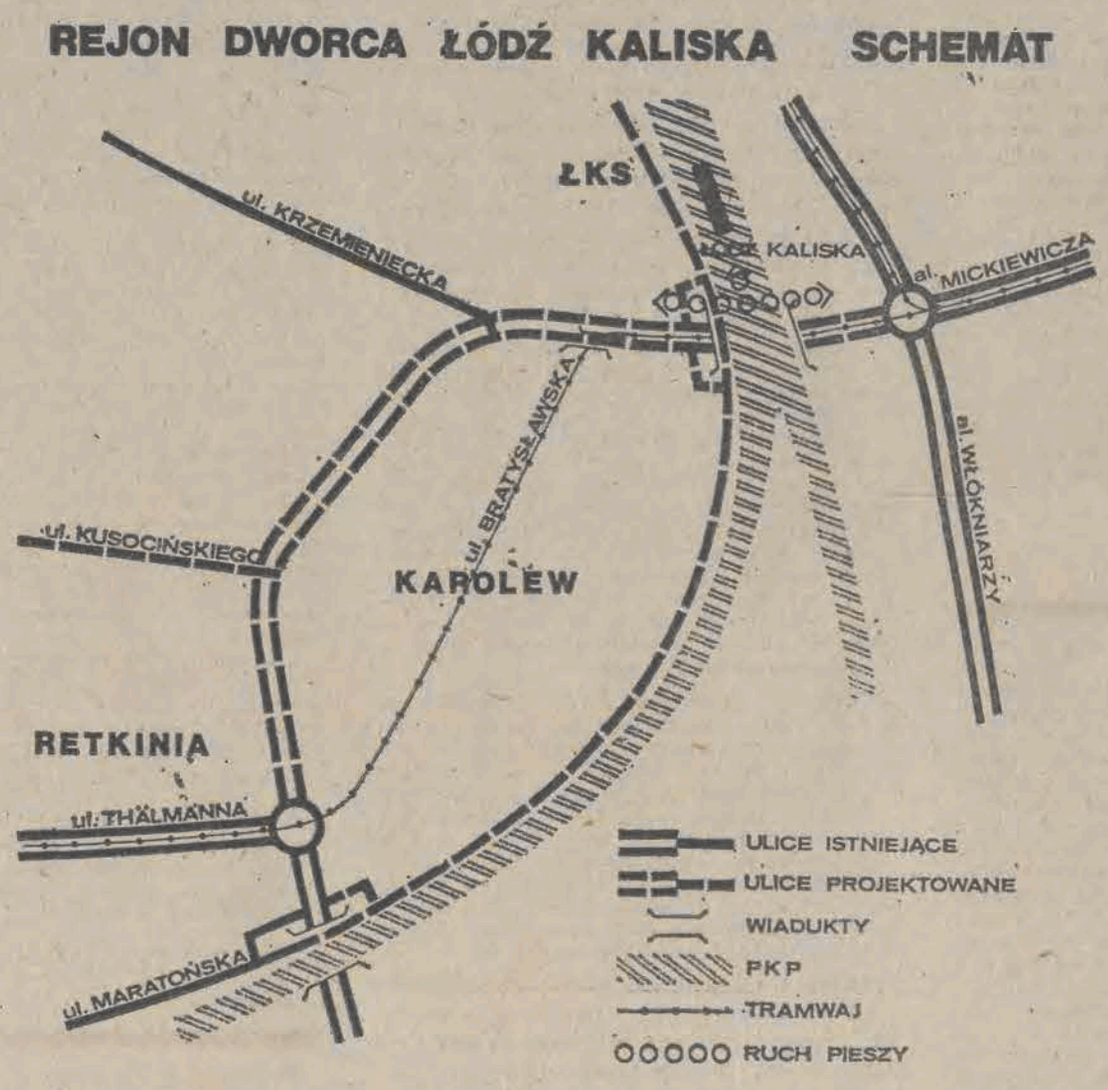

# Edmund Halley i jego kometa

## JAN DŁUGOSZ ZANOTOWAŁ, ŻE W STYCZNIU 1472 ROKU

*...pojawiła się w Królestwie Polskim, w innych królestwach i niemal na całym świecie wielka kometa, którą astronomowie nazywają: Dominus Ascoen. Jest ona mała, gdy chodzi o gwiazdę, ale z bardzo długim ogonem. Ma naturalne cechy i właściwości podobne jak Saturn. Przez dwa miesiące bez przerwy ukazywała się w zenicie nad Europą. Według opinii astronomów powstała ona w Królestwie Węgierskim i zauważono ją w zenicie nad tym Królestwem. Zatrzymała się na jeden dzień w zenicie nad Królestwem Polskim, by przez trzy następujące po sobie lata powodować charakterystyczne dla niej skutki. A zwiastowała ona królom, książętom i innym sławnym i znakomitym osobistościom nieszczęście. Innym zaś, niższego stanu śmiertelnikom zapowiadała kłopoty, niepokój, zamieszki, rozruchy, kradzieże, oszustwa, pożary, rabunki, spustoszenia, burze, grad, grzmoty, błyskawice i trzęsienie ziemi w pewnych okolicach, długie przewlekłe i wysuszające choroby, silne wymioty, szał, epidemię, boleści i gorączkowe dreszcze oraz poronienia kobiet ciężarnych. (...) Wywołując swe skutki z wolna i nieoczekiwanie spowodowała najpierw epidemię na Morawach i Węgrzech, a potem w mieście Krakowie i położonych naokoło w jego sąsiedztwie miejscowościach i miastach".*

Taki pogląd na komety pochodzi od Arystotelesa. Pojawienie się komety w 371 roku przed naszą erą powiązał z następującymi po niej trzęsieniami ziemi i suszą, a pojawienie się komety w 341 r. p.n.e. z silną burzą na Koryncie. Pogląd ten utrzymywał się przez blisko dwa tysiące lat.

Jan Długosz uważał, że pojawienie się komety w 1024 roku zwiastowało śmierć Bolesława Chrobrego, a w 1058 koniec życia i panowania Kazimierza Odnowiciela.

W 1668 roku ukazało się trzytomowe dzieło Stanisława Lubienieckiego *„Teatrum cometicum"*, w którym to dziele — w drugim tomie — znalazł się opis 415 komet, jakie pojawiły się na niebie *„od czasu potopu do 1665 roku"*. Stanisław Lubieniecki odnotował m.in. komety obserwowane przez Mikołaja Kopernika w 1531, 1532 i 1533 roku. Kometa z 1531 roku była kometą Halleya, ale Mikołaj Kopernik nie mógł tego wówczas wiedzieć.

Stanisław Lubieniecki odnotował między innymi, że w 2312 r. p.n.e. pojawiła się kometa w gwiezdnej konstelacji Ryb i wówczas nastąpił potop. W 1949 r. p.n.e. w Chaldei obserwowano kometę w konstelacji Barana poniżej Marsa, w 1841 r. p.n.e. w Egipcie obserwowano kometę w znaku Lwa.

Gdy w 1211 roku ukazała się kometa nad Rusią zwiastowała nieszczęście dla tego kraju i wnet Ruś najechali Tatarzy. W 1468 roku drugiej, co już zwiastowało szczególne nieszczęścia.

Wiara w nieszczęścia, jakie zwiastują komety, przetrwała długie lata. W *„Panu Tadeuszu"* Adama Mickiewicza znajduje się taki oto fragment:

*Dziś oczy i myśl wszystkich pociąga do siebie*
*Nowy gość, dostrzeżony niedawno na niebie;*
*Był to k o m e t a, pierwszej wielkości i mocy,*
*Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy;*
*Krwawym okiem z ukosa na rydwan spoziera*
*Jakby chciał zająć puste miejsce Lucypera,*
*Warkocz długi w tył rzucił i część nieba trzecią*
*Obwinął nim, gwiazd krocie zagarnął jak siecią*
*I ciągnie je za sobą, a sam wyżej głową*
*Mierzy, na północ, prosto w gwiazdę biegunową.*
*Z niewymownym przeczuciem cały lud litewski*
*Poglądał każdej nocy na ten cud niebieski.*
*Biorąc złą wróżbę z niego, tudzież z innych znaków...*

W tym fragmencie *„Pana Tadeusza"* chodzi o kometę, która pojawiła się w 1811 roku, zwiastując krwawą wojnę, jaką przyniósł z sobą rok 1812: najazd Napoleona na Rosję. Ale przecież i dużo później, bo już po drugiej wojnie światowej modne było powiedzenie: — *Przyleci kometa, ogonem machnie i będzie po wszystkim.* Ale jakoś komety latają już od tysiącleci, machają ogonem i nic złego się nie stało.

## ARYSTOTELES UWAŻAŁ,

że komety powstają z wyziewów Ziemi, a więc są to zjawiska atmosferyczne, a znikają wówczas, gdy już nie docierają do nich te wyziewy. W XVII wieku teoria ta została podważona. Między innymi gdańszczanin Wawrzyniec Eichastadt opublikował w 1653 roku dzieło, w którym dowodził, że komety są ciałami planetarnymi, powstają z wyziewów planet i gwiazd. Teorię tę powtórzył w 1681 roku Stanisław Słowakowic, który w napisanej po polsku rozprawie o kometach tak pisał:

*„Utartym jest pogląd Arystotelesa, który już dawno zagnieździł się w umysłach nieuków, że komety są to świecące ciała (powstałe) z gęstych wyziewów (Ziemi), uniesione wysoko w górę; że znikają one wtedy, gdy podtrzymujące ich istnienie czynniki przestają do nich docierać. Lecz ponieważ wstydzę się tych niedorzeczności, wydaje mi się, że lepiej jest przyznać się szczerze do niewiedzy, niż równie nierozsądnie wystąpić z jakimś twierdzeniem albo przyklaskiwać najbardziej niepożądanym sądom".*

Ale tenże sam Stanisław Słowakowic na podstawie wyliczonych torów komet z 1680 i 1681 roku przepowiadał wielkie klęski dla Turcji.

Obserwacje komet zaczęły astronomom nasuwać pewne wnioski, które nie zgadzały się z arystotelesowskimi wyobrażeniami o powstawaniu i istocie komet. W 1501 roku i w 1540 roku Giralamo Frecastoro i Peter Apian zwrócili uwagę, że ogon komety zawsze jest zwrócony od Słońca. Natomiast Tycho Brahe w 1577 roku na podstawie obserwacji widocznej wówczas komety obliczył, że jest ona 4 razy dalej od Ziemi niż Księżyc, co wyraźnie obalało poglądy Arystotelesa. Thomson William Kepler, obserwował kometę w 1607 roku i doszedł do wniosku, że komety zbliżają się do Słońca z nieskończoności po linii prostej i oddalają się w nieskończoność po linii prostej. Natomiast gdańszczanin Jan Heweliusz obserwując kometę w 1664 roku doszedł do wniosku, że tor obiegu komety wokół Słońca jest zakrzywiony, a Samuel G. Dörffel stwierdził, że tor komety z 1664 roku jest parabolą. I wreszcie Izaak Newton wykazał, że komety nie świecą własnym światłem, a jedynie odbitym światłem Słońca i poruszają się za przyczyną tej samej siły, która powoduje, że Ziemia i inne planety poruszają się wokół Słońca.

Na podstawie tej wiedzy można już było obliczać tory komet. I właśnie wtedy pojawił się Edmund Halley.

## EDMUND HALLEY BYŁ ANGLIKIEM

Urodził się 29 października 1656 roku w Haggerston koło Londynu. Był absolwentem uniwersytetu w Oxfordzie. Miał szerokie zainteresowania. Został inżynierem. Jako inżynier fortyfikował Triest. Był na służbie królewskiej marynarki. W 1675 roku został pomocnikiem dyrektora obserwatorium w Greenwich-Flamsteeda. Brał udział w wyprawie na Wyspę św. Heleny. W latach 1678—1699 był sekretarzem Towarzystwa Królewskiego. W tym czasie był w Gdańsku, gdzie spotkał się z Janem Heweliuszem i dyskutował z nim o obserwacjach astronomicznych i przyrządach do tego służących. W 1720 roku został dyrektorem obserwatorium w Greenwich i astronomem królewskim. Był profesorem geometrii w Oxfordzie. Obserwował przejścia planet przez tarczę Słońca, aby obliczyć wartość jednostki astronomicznej. Jest to średnia odległość Ziemi od Słońca i wynosi 149.600.000 kilometrów.

Samuel G. Dörffel stwierdził na podstawie obserwacji komety z 1664 roku, że obiega ona Słońce po torze parabolicznym. To znaczy, że przychodzi z nieskończoności, obiega Słońce i znika w nieskończoności, bowiem ramiona paraboli rozbiegają się w nieskończoność. A więc każda kometa, która pojawia się w pobliżu Słońca jest inna i może pojawić się tylko raz. Tymczasem okazało się przy dalszych badaniach, że orbity komet są elipsami, stanowią zatem orbity zamknięte. Można więc nie tylko obliczyć orbity komet, ale również przewidzieć, kiedy powrócą w pobliże Słońca. Edmund Halley zasłynął, jako ten, który pierwszy obliczył taką orbitę komety i przewidział jej powrót w pobliże Słońca.

Edmund Halley zbadał i obliczył orbity 24 komet, które ukazały się i zostały odnotowane w latach 1337—1698. Zaczął porównywać swoje obliczenia i wtedy stwierdził, że komety z 1531 roku, 1607 i 1682 mają podobne elementy. Tak więc kometa, którą w 1531 roku obserwował Peter Apian, kometa z 1607 roku, którą obserwował Thomson William Kepler oraz kometa obserwowana przez samego Edmunda Halleya w 1682 roku, to jedna i ta sama kometa. Obliczył na tej podstawie, że kometa — dziś zwana kometą Halleya — powróci w okolice Słońca w 1758 roku. A zatem Edmund Halley obliczył eliptyczną orbitę komety po raz pierwszy.

Trzeba było więc czekać do 1757 roku, kiedy już można byłoby — jak obliczył to Edmund Halley — obserwować kometę, zbliżającą się do Słońca, aby potwierdzić prawdziwość obliczeń Edmunda Halleya, a tym samym jego hipotezę o ruchu orbitalnym komet. Tymczasem

## KOMETA SPÓŹNIŁA SIĘ

Nie dostrzeżono jej pod koniec 1757 roku. Wtedy z pomocą Edmundowi Halleyowi przyszedł matematyk francuski Alexis Claude Clairaut, który akurat pracował nad zagadnieniem trzech ciał. Jeśli na przykład kometa dokonuje obrotu wokół Słońca po określonej orbicie, to tor jej biegu może być zakłócony przez trzecie ciało — choćby przez Jowisza czy Saturna. A. C. Clairautowi pomogli J. J. Lalande i Hortensja Lapaute. Otóż obliczenia te pozwoliły stwierdzić, że kometa, na którą Edmund Halley kazał czekać w 1757 roku punkt przysłoneczny minie 13 kwietnia 1759 roku i dopuszczalny jest błąd wynoszący miesiąc.

25 grudnia 1758 roku dostrzegł kometę astronom amator spod Drezna — Jan G. Palitzsch. Punkt przysłoneczny przeszła ona 12 marca 1759 roku. Było to w ramach dopuszczalnego błędu ustalonego przez A. C. Clairauta. Kometę można było obserwować przez pół roku. Nie ulegało wątpliwości, że Edmund Halley odkrył nie tylko kometę, którą nazwano jego nazwiskiem, ale i stwierdził, że wiele komet musi obiegać Słońce po orbitach będących elipsami. Edmund Halley nie dożył tej chwili.

W 1825 r. kometa już się spóźniła. Dokonano przedtem odkrycia planety Uran i dzięki temu można było precyzyjniej ustalić czas przejścia komety przez punkt przysłoneczny. Miało to się stać 13 listopada 1835 roku, a stało się 16 listopada 1835 roku. Tak więc błąd w obliczeniach wyniósł jedynie 3 dni.

Następne spotkanie komety Halleya z mieszkańcami Ziemi wyznaczono na 1910 rok. Przez punkt przysłoneczny kometa miała przejść 19 kwietnia 1910 roku. Obliczenia dokonano już precyzyjnie, miano do dyspozycji nowe techniki wspomagające obserwacje, a także możliwość fotografowania komety.

To spotkanie z kometą Halleya miało jednak swoją sensacyjną otoczkę. Otóż okazało się, że w nocy z 18 na 19 maja 1910 roku Ziemia przejdzie przez warkocz komety. Kometa miała przejść w odległości 26 mln km od Ziemi, ale

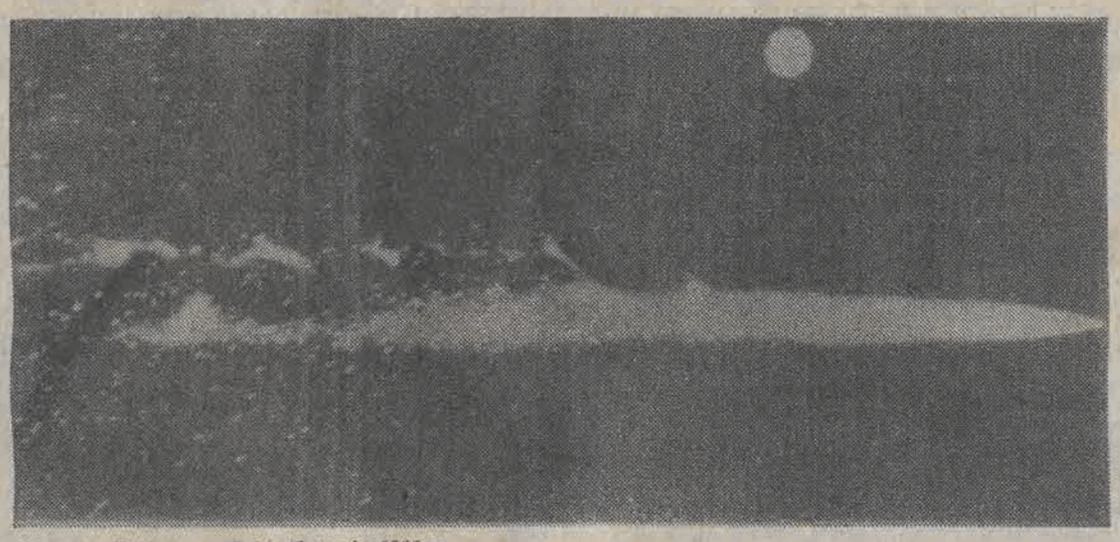

*Kometa Halleya w dniu 10 maja 1910 r.*

wiedziano już, że warkocze komet ciągną się milionami kilometrów. Powstało więc pytanie, czy warkocz komety będzie dłuższy niż 26 mln km. Zapowiadano na ten czas szereg burz magnetycznych, zakłóceń w telekomunikacji, możliwość obserwowania intensywnej zorzy polarnej i wiele innych takich zjawisk. A gdy okazało się, że w warkoczu komety Halleya dostrzeżono widmo cyjanu, to powstała obawa, że warkocz ten może zatruć atmosferę Ziemi. Kometa przeszła w pobliżu Ziemi z 18 na 19 maja 1910 roku. Ziemia znalazła się w warkoczu komety i... nic się nie stało.

Następne spotkanie z kometą Halleya wyznaczono na początek 1986 roku. Punkt przysłoneczny kometa przejdzie 9 lutego 1986 roku. Wraca ona bowiem w okolice Słońca regularnie co 76,03 lata. Obliczono już wszystkie pojawiania się komety Halleya od roku 2312 p.n.e., ale polski astronom Michał Kamieński — zmarły w 1973 roku — przesunął ten okres do 9541 roku p.n.e., kiedy to kometa Halleya przechodziła w pobliżu Ziemi na odległość Księżyca. Zakłada się, że wówczas mógł oderwać się od niej jakiś fragment i spaść na Ziemię, a było to wówczas, gdy z powierzchni Ziemi zniknęła legendarna Atlantyda. Ale jest to temat sam w sobie.

## SKĄD BIORĄ SIĘ KOMETY?

T. Zbigniew Dworak i Konrad Rudnicki w książce wydanej przez PWN w 1983 roku pt. *„Świat planet"* tak piszą o kometach:

*„Jak się czasem przypuszcza, komety stanowią ów najpierwotniejszy materiał, z którego formował się Układ Słoneczny. Materiał ten w postaci niewielkich fragmentów obłoku znajdował się na peryferiach dysku protoplanetarnego, i stąd obecnie istnieje — według hipotezy Oorta — w odległości około 100.000 j.a. od Słońca rozległy obłok komentarny. Z rejonu Obłoku Oorta komety, pod wpływem zakłócających oddziaływań sąsiednich gwiazd (i innych mas) trafiają w bezpośrednie sąsiedztwo Słońca i planet. Planety z kolei perturbują ich orbity przyczyniając się do powstawania rodzin komet".*

I tak Jowisz ma aż 87 komet, do rodziny komet Saturna należy 12, do rodziny Urana — 3, do rodziny Neptuna — 10 komet. W 1950 roku odkryto jeszcze dwie rodziny komet, jedna składająca się z 5 komet należy do Plutona, druga złożona z 8 komet musi należeć do nieznanej jeszcze kolejnej planety Układu Słonecznego.

Komety są to konglomeraty różnej wielkości brył skalnych oraz pyłu kosmicznego, spojone jest to wszystko lodem metanowym ($CH_4$) i amoniakalnym ($NH_3$). Gdy taki konglomerat zostanie wytrącony z Obłoku Oorta i zmuszony do lotu w stronę Słońca ciągle jeszcze tworzy jedną bryłę. Ale już w rejonie orbity Jowisza zaczyna topić się lód metanowy, a w rejonie planetoid — lód amoniakalny. Wówczas zimne do tej pory jądro zaczyna otrzymywać osłonę gazową i tak powstaje g ł o w a k o m e t y. W miarę zbliżania się do Słońca głowa komety tak pęcznieje, że osiąga niekiedy rozmiary planet, ale jej masa stanowi drobny ułamek masy Ziemi.

Wiatr słoneczny oraz ciśnienie promieniowania słonecznego powodują wymiatanie z głowy komety gazu i tak powstaje w a r k o c z komety. Jest on przeważnie skierowany od Słońca w przestrzeń kosmiczną. Warkocz może być jeden lub może być ich kilka. Podlegają one gwałtownym nieraz zmianom — zagięciom, zgrubieniom. Jest to materia niebywale rozrzedzona. Warkocz może mieć długość do 300 milionów kilometrów. Zdarzają się też przeciwwarkocze, czyli warkocze skierowane w stronę Słońca. Nazywa się je też anormalnymi. Powstają one z drobnych cząstek pyłu, o wymiarach 0,1 do 1 mm i siła przyciągania Słońca jest w tym wypadku większa od siły ciśnienia promieniowania Słońca.

W miarę przybliżania się do Słońca rosną siły przepływowe naszej Gwiazdy Dziennej i bywa też, że głowa komety zostaje rozerwana. Tak stało się w 1965 roku z najjaśniejszą kometą XX wieku: Ikeya-Seki, która rozpadła się na trzy części. Bywa też i tak, że komety zderzają się ze Słońcem. W 1978 roku astronomowie obserwowali takie zjawisko. Rozpadające się komety dają w rezultacie „deszcz meteorów". Odkryta w 1889 roku kometa trzy lata wcześniej przeszła tak blisko Jowisza, że rozpadła się na 4 mniejsze. Jowisz w ogóle wiele waży na orbitach komet. Znane jest 41 komet krótkookresowych, które obiegają Słońce w ciągu od 2,5 do 145 lat. Niektóre komety obserwowano kilka razy, a później gdzieś zniknęły w przestrzeni kosmicznej i więcej się nie pojawiły. Kometa Otermy odkryta w 1943 roku, obiegająca Słońce w ciągu 7,9 lat, krążyła po orbicie niemal kołowej pomiędzy orbitami Marsa i Jowisza.

Od 240 roku p.n.e. do 1960 roku zaobserwowano 840 pojawień komet. Z tego 363 komety należą do krótkookresowych, o okresie obiegu mniejszym niż 150 lat, 116 komet o okresie obiegu bardzo długim, 296 komet o orbitach parabolicznych i 65 komet o orbitach hiperbolicznych, które na zawsze uchodzą z Układu Słonecznego.

Komety otrzymują nazwy od swoich odkrywców. Wśród nich jest 13 komet odkrytych przez Polaków. Pierwszym polskim odkrywcą komet był gdańszczanin Jan Heweliusz, który w latach 1652—1677 odkrył 6 komet. Następnie Polacy odkrywali komety dopiero w latach dwudziestych i trzydziestych naszego stulecia: L. Orkich w 1925 roku i kilkakrotnie Wilk. W 1966 roku kometę odkrył K. Rudnicki.

Ostatnio na ziemskim niebie widoczne były komety: w 1957 roku Arenda-Rolanda i kometa Mrkosa, w 1970 roku kometa Bonnetta i w 1974 — Kohoutka.

Astronomowie mają opracowany

## „ROZKŁAD JAZDY" KOMETY HALLEYA

Jak podaje Hieronim Hurnik w książce *„Kometa Halleya"* w 1950 roku była ona najdalej od Słońca. Odległość wynosiła 35 jednostek astronomicznych — czyli 5.281 milionów km. Wtedy poruszała się z prędkością 0,91 km na sekundę. W styczniu 1982 roku była już w odległości 13 jednostek astronomicznych od Słońca i była między orbitami Urana i Saturna. W końcu 1983 roku przekroczyła orbitę Saturna. Kometa pędziła ku Słońcu z szybkością 2,75 km na sekundę.

Na początku października 1985 roku odległość komety od Ziemi była mniejsza od dwóch jednostek astronomicznych. 1 listopada 1985 r., kometa Halleya pędziła w stronę Słońca z szybkością 29,7 km na sekundę. W listopadzie kometa może być widoczna tylko przy pomocy przyrządów. Dopiero po 1 grudnia 1985 roku można będzie szukać komety Halleya przy pomocy lornetki czy małej lunety w gwiazdozbiorze Barana. Od Ziemi będzie ją dzieliła odległość 92,7 mln km. Będzie to najmniejsza odległość komety od Ziemi przed jej przejściem przez punkt przysłoneczny. W czasie świąt Bożego Narodzenia kometa będzie w gwiazdozbiorze Wodnika. Znajdować się będzie między orbitami Marsa i Ziemi i jej odległość od Ziemi i od Słońca wynosić będzie 1 jednostkę astronomiczną. Około godziny 22.00 powinna wówczas być dobrze widoczna przez lornetkę. Około 20 stycznia 1986 roku kometa przekroczy orbitę Wenus i będzie widoczna na horyzoncie południowo-zachodnim około godziny 17.30. Uniemożliwi to już jej obserwację. Później z Polski już nie będzie widoczna.

Po raz drugi kometa Halleya zbliży się do Ziemi w marcu i kwietniu 1986 roku, ale również nie będzie widoczna z Polski. Wtedy to zbliżą się do komety Halleya sondy kosmiczne: Wegi, Giotto — są to dwie sondy radzieckie i zachodnioniemiecka — oraz sondy amerykańska i japońska. Sondy te dokonają szeregu badań, które pozwolą nam lepiej poznać komety i odpowiedzieć na kilka pytań, które nurtują astronomów.

Ponownie kometa Halleya powróci w stronę Słońca w 2061 roku i będzie dużo lepiej widziana na naszej półkuli. Ale tym już będą się zajmowali nasi wnukowie.

Opracował:
**WITOLD BOROWY**

# „Stłuczone zwierciadła"

Mniej więcej sto lat temu zamykał swoją formalną edukację, nie ukończywszy nawet czwartej klasy orłowskiego gimnazjum, Iwan Bunin. Nie byłoby zapewne w tym fakcie nic dziwnego, gdyby nie decyzja przyznania mu Literackiej Nagrody Nobla, podjęta przez szwedzkich akademików pół wieku później. Jak to się zatem stało? Czy Bunin okazał się typowym przykładem talentu samorodnego, czy też luki w jego wykształceniu skutecznie uzupełnił, relegowany z wyższej uczelni, starszy brat? Nie sposób dzisiaj udzielić na to pytanie bezdyskusyjnej odpowiedzi, ale prawie pewne wydaje się, że w 1933 roku uhonorowano jednego z najoryginalniejszych pisarzy przemijającej epoki, obdarzonego artystycznym geniuszem, objawionym głównie w stylistyce małej formy literackiej.

A przecież Bunin debiutował jako poeta, do poezji przywiązywał dużą wagę i rościł sobie w związku z nią spore nadzieje — dodajmy gwoli ścisłości — nigdy nie spełnione, a nawet ze względu na zróżnicowany poziom liryków, dość słabo uprawomocnione. Wydany przez MAW wybór utworów poetyckich Bunina „Szalej i inne wiersze" w przekładzie i opracowaniu Adama Pomorskiego ukazuje, jak nierównej jakości produkcje popełniał autor „Antonówek". Obok wierszy znakomitych, przykuwających uwagę głęboką historiozoficzną refleksją, obok świetnych, niezwykle zmysłowych, erotyków, znalazły się w tomie także liryki słabe, rażące „brakiem intelektualnego zaplecza", „ubóstwem ideowym i światopoglądowym prymitywizmem", że posłużę się określeniami tłumacza, zaczerpniętymi z jego wartościowego posłowia.

W wyniku lektury książki otrzymujemy obraz nieostry, w którym sugestywność niektórych propozycji poetyckich została zamazana wskutek obecności mdłych kontemplacyjnych opisów, nie wnoszących do poezji niczego ponad sumę słów. Równocześnie jednak, nawet w takim kształcie, dostatecznie frapujący, aby dokonać nieco bardziej wnikliwego oglądu tego obrazu.

Pośród kluczowych pytań, jakie formułuje sztuka, znajduje się fundamentalne pytanie o celowość ludzkiej egzystencji i kierunek „wędrówki" człowieka. Bunin pozostawia je wprawdzie bez odpowiedzi, ale daje przy tym do zrozumienia, że rozwikłanie zagadki tkwi w samym życiu, dramat jednostki polega zaś na ponadindywidualnym wymiarze istnienia, jego nieskończonej ciągłości, składającej się ze skończonych i ograniczonych bytów.

W myśleniu Bunina nie ma miejsca na proces historyczny, wszystko jest bowiem uniwersalne prócz pojedynczego człowieka, jedynego zmiennego elementu w tych stałych dekoracjach. Dlatego, z punktu widzenia swojego losu, nie może on ogarnąć świata, który wydaje mu się pozbawiony racjonalnych podstaw. Ale umiejętność przeżycia gatunkowego, doznania oceanicznej jedności z przeszłymi pokoleniami pozwala mu wyzwolić się z tego błędnego koła irracjonalizmu.

Iwan Bunin wykreował swój świat z jakimś azjatyckim zmysłem okrucieństwa. Ten przedchrześcijański pierwiastek kulturowy stanowi doskonały pomost ze starotestamentową wizją Boga złego, mściwego i milczącego. Boga zazdrosnego, karzącego bezlitośnie za wszelkie przejawy ulegania wpływom potężnego i tajemniczego popędu miłosnego. Myśl tę świetnie egzemplifikuje tytułowy „Szalej". Z jego strof emanuje głęboki pesymizm i fatalizm, znamienny również dla ogólnego klimatu całego wyboru wierszy pierwszego rosyjskiego pisarza-noblisty.

Tak, jak Bunin odseparował się od modernizmu rosyjskiego w sposób całkowicie świadomy, Sergiusz Jesienin rozminął się z nim za przyczyną różnicy pokoleniowej. Obaj zatem poeci znajdowali się w pewnego rodzaju literackiej, a może bardziej czytelniczej próżni. Ale z tego faktu zdał sobie sprawę tylko, młodszy od autora „Szaleju" o piętnaście lat, współtwórca manifestu imażinistów. Doskonale uzmysławiając sobie rolę kontaktu z odbiorcą, położył szczególny nacisk na funkcję faktyczną swoich utworów i dążył w nich do maksymalnej komunikatywności przekazu. Nie zawahał się przy tym sięgnąć po banał i błahą na pozór afektację, zawsze jednak potrafił uniknąć niebezpieczeństwa popadnięcia w literacki frazes.

Na temat Jesienina namnożyło się już za jego życia wiele mitów i legend. Po części usankcjonowało je samobójstwo poety, niebagatelne znaczenie miała także długa „nieobecność" w czytelniczym krwiobiegu, spowodowana brakiem koncesji ze strony władzy. Jesienin nie stał się jednak „poetą wyklętym". Długo po swojej tragicznej śmierci, po latach niełaski powrócił na czytelniczy rynek, niemal w aureoli Tyrteusza. Wydana przez wspomniany MAW „Inonia i inne wiersze", przekładu także pióra A. Pomorskiego, ujawnia dyskusyjność takiej klasyfikacji, nikłe podstawy porównawcze do stawiania autora „Moskwy pijackiej" w jednym rzędzie z Błokiem i Majakowskim. Prawomocność powyższej tezy opiera się bowiem tylko na tytułowej „Inonii" i garstce wierszy z lat 1917—1919. Później zaznacza się stopniowa demitologizacja i odchodzenie od problematyki rewolucyjnej.

*„Świat świętości, świat mój pradawny,*
*Jak wiatr w polu zacichł i osłabł.*
*Wieś za gardło w uścisku dławi*
*Kamiennymi rękami szosa".*

Ta strofa, zaczerpnięta z pochodzącego z 1922 roku wiersza bez tytułu, obrazuje nadejście nowego jakościowo etapu w poetyckim życiorysie podmiotu lirycznego, konsekwentnie kreowanego w zgodzie z autobiografią własną Jesienina. Odnosi się zarówno do odległej przeszłości, znaczonej religijnym wychowaniem i masą wierszy pełnych ikonograficznej ornamentyki, jak i do przeszłości niedawnej, nadechowanej entuzjastycznym stosunkiem autora do sprawy przemian społecznych i politycznych.

Efektem swoistego eskapizmu poety w literacką manierę, przybrania maski „chuligana i skandalisty" staje się wbrew logice utwór znakomity — „Moskwa pijacka". Świadomość zastosowanej konwencji pozwala nam ujrzeć w nim prawdziwe arcydzieło, artystyczną perłę całego wyboru. W tej liryce, utrzymanej w tonie estetycznej prowokacji „karczemną" poetyką, jakimś metafizycznym dreszczem przejmują prorocze słowa autora:

*„Niski dom przygarbi się kuląc,*
*Stary pies dawno zdechł bez pana.*
*Wśród moskiewskich pokrętnych ulic*
*Śmierć mi widać od Boga pisana".*

Jesienin nie był wcale, mimo prostoty i niezmąconej przejrzystości swoich wierszy, poetą pozbawionym wewnętrznych napięć. Zwłaszcza pod koniec życia konflikty te nasiliły się, znajdując eksplikację w poemacie „Czarny człowiek", który zamyka omawiany wybór. Analiza własnej przeszłości, tragiczna próba jej wartościowania prowadzi tutaj do stanów schizofrenoidalnych. Dramat wewnętrzny człowieka został rozpisany na dwie osoby, będące w istocie różnymi stronami tej samej osobowości. Ostateczna konkluzja Jesienina jest chyba kluczem do zrozumienia jego poezji, liryki Bunina i powinowactwa artystycznego tych twórców, obdarzonych czy może obciążonych potężnym egotyzmem:

*„Nie ma przy mnie nikogo.*
*Stoję w cylindrze samotnie.*
*Tylko ja...*
*I stłuczone zwierciadło...".*

Zaryzykowałbym sąd, że stwierdzenie to otwiera także możliwość ogarnięcia fenomenu, jakim jest sztuka w ogóle.

**PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ**

Iwan Bunin: „Szalej i inne wiersze". Przeł. A. Pomorski. MAW. W-wa 1985.
Sergiusz Jesienin: „Inonia i inne wiersze". Przeł. A. Pomorski. MAW. W-wa 1984.

# Grun w pałacu

Wystawę prac Andrzeja Grunа eksponują w nobliwym wnętrzu Muzeum Historii Miasta Łodzi. Stary krwiopijca Israel Poznański, pierwszy właściciel i mieszkaniec tego pałacu w grobie się przewraca i trudno się temu dziwić. Wpakował w ten pałac miliony rubli, zrobił wszystko, żeby tylko sobie i swojej rodzinie zapewnić oazę spokoju i piękna w tym paskudnym mieście. Nie szczędził grosza na marmury, stiuki i boazerie, kominki, żyrandole, rzeźby i obrazy i co tam jeszcze było do zdobycia w ówczesnej Europie. Żeby tylko było pięknie, dostatnio i ujutno. A teraz mu tam Gruna wystawiają!

A o Grunie różne rzeczy można powiedzieć, tylko nie to, że jest estetą. Zresztą w ogóle z trudem daje się poukładać w teczkach, które z wielkim nakładem pracy pozakładali teoretycy i krytycy. Wystaje z teczek i szuflad, kłopotliwy jest, konwencji nie szanuje, kompozycję gwałci albo znów kolor ma za nic...

Dla przykładu: symetria jako kanon estetyczny. Andrzej Grun albo jej nie uznaje wcale, jakby powtarzał stare powiedzonko: „symetria to estetyka głupców", albo eksponuje symetrię z wyraźnym upodobaniem, demonstracyjnie wpycha ją przed oczy widza jakby mówił: patrzcie, to jest symetria. Takie zjawisko optyczne, które sam wymyśliłem któregoś popołudnia!

Z takim stosunkiem do sztuki Andrzej Grun nigdy widza nie polechcze mile ani wybrednego krytyka nie zaspokoi...

Wystawę Gruna oglądamy w ciszy, jak to zwykle w muzeum. A to jest błąd. Winny tam być głośniki, emitujące natrętnie najbardziej agresywną, hałaśliwą muzykę, jaką tylko stworzył nasz wiek. Byłaby adekwatnym komponentem Grunowej wizji świata. Niespokojnego, złego świata.

Odnosi się często wrażenie, że Andrzej Grun po prostu nie lubi rysować ani malować. Robi to na przekór sobie i na przekór widzowi. W serii dość zwykłych, niedbale naszkicowanych twarzy nagle poraża nas twarz napiętnowana cierpieniem. Jakaś kompozycja, niemal doskonała, zeszpecona brutalnym akcentem, wprowadzającym nastrój niepokoju...

Wystawy Andrzeja Gruna bez wątpienia nie ogląda się z przyjemnością. No cóż, jest tyle wystaw spokojnych, pięknych, dusze kojących... Grun nie musi być do lubienia.

**ANDRZEJ KAROLCZAK**

Foto: Grzegorz Gałasiński

*Eugeniusz Jewtuszenko*

# Mama i bomba neutronowa

## (fragment poematu)

Mamo,
przeglądam dzisiejsze gazety,
jakbym je czytał przez przezroczyste z głodu dzieci Leningradu,
które przyszły na światową choinkę poległych dzieci.
Piskariowskie wyschnięte rączęta
wyciągają się do żółtych lampionów
choinkowych mandarynek,
a kiedy je zerwą,
nie wiedzą, co z nimi począć.
Dzieci Oświęcimia
o wykrzywionych i sinych twarzyczkach,
krztusząc się gazem;
proszą Dziadka Mroza, by im dał z choinki
szklaną kulkę,
wewnątrz której
zachowała się odrobina tlenu.
Wypatroszone z łon matek
nie urodzone niemowlęta Songme
pełzną
do rozpaczającego Szarego Wilka.
Czerwony Kapturek
próbuje złożyć ze szczątków
rozerwane przez bomby
dzieci Belfastu i Bejrutu.
Salwadorskie dzieci
zmiażdżone przez czołg oprawców
w przerażeniu zakrywają oczy
przed czołgiem-zabawką.
Nieskończony korowód
poległych dzieci
wokół ich światowej choinki.
A jeśli wybuchnie neutronowa bomba,
wtedy w ogóle nie będzie dzieci:
pozostaną tylko przedszkola,
w których zawyją pluszowe misie,
pluszową pierś
rozszarpujące plastykowymi pazurami
do trocin
zatrąbią nadmuchiwane słonie
na spóźniony alarm...
Dzięki ci, Samuelu Kohen,
dzięki wam, pozostali humaniści,
za waszą nową amerykańską „zabawkę" —
nie tę, którą bawią się dzieci,
a tę, która bawi się dziećmi,
aż do ostatniego, ostatniego dziecka...
Za to, że znikną kolejki w „Dziecięcym Świecie",
za to, że przestanie brakować papierowych pieluszek,
za Disneyland,
w którym teraz
nikt
niczego nie zepsuje,
za lalki,
którym nie grozi okrutne wyrwanie warkoczy,
za okna,
których nie rozbiją
niegrzeczne piłki,
za koniki na karuzeli
zawsze teraz wolne,
poskrzypujące w wielkiej pustce świata
za starannie rozwieszone na bieliźnianych sznurach
dziecięce rajstopy,
których nigdy nie postrzępi
zabawa w chowanego pośród kolców...
Nadejdzie ostatnia wszechświatowa zabawa w chowanego.
Nie będzie dzieci.
Dorosłych nie będzie.
Na ocalałych ulicach
walać się będą ocalałe zegarki
z zapiętymi bransoletami i paskami,
które zachowały jeszcze kształt
nie istniejących rąk.
opadłe z palców ślubne obrączki,
opadłe z kobiecych uszu
turkusowe i inne kolczyki
I tylko ocalałe puste rękawiczki będą się zaciskać
na ocalałych kierownicach ocalałych samochodów.
Cała międzynarodowa wystawa nóg w Perugii
wyparuje:
zostaną tylko opustoszałe pantofelki
z garstkami popiołu na wytłoczonej w złoty wzór skórze,
a między tymi zamszowymi i lakierowanymi urnami
pełzać będzie,
obwąchując obcasy,
na wpół roztopiony łańcuszek
z kostki Peruwianki,
która wyparowała.
Mamy również nie będzie.
Pozostanie tylko kiosk,
w którym atomowy wiatr kartkuje
antykwaryczne, pleśniejące już czasopisma:
tygodnik „Futbol — Hokej",
miesięcznik „Ameryka" i „Zdrowie".
I tylko widmo zamienionego w parę
rzeźnika
z przyzwyczajenia odłoży widmu mojej mamy
widmo mrożonej kury —
rodaczki Maupassanta
z kraju,
gdzie na półkach księgarni ocalał Maupassant
i gdzie nie ocalał żaden jego rodak.
I, naciskając odpowiedni guzik, ujrzy
nowy major Firby,
jak Europa zamieni się
w martwą Eurosimę,
lecz major nie zdąży postradać zmysłów,
ponieważ sam zamieni się
w widmo.
Mama rzadko wypowiada się o polityce,
ale oto powiedziała kiedyś,
wracając ze sklepu z tapetami
położonego na Gwiezdnym Bulwarze,
gdzie oberwano jej w tłoku guziki:
„Boże,
do czego prowadzi pazerność na rzeczy.
Pewnie właśnie dlatego
wymyślili neutronową bombę..."
I wtedy wyobraziłem sobie miliony sklepów świata,
wypełnionych tapetami,
futrami z norek,
brylantami,
włoskimi butami,
japońskimi adapterami,
duńskim piwem w puszkach,
będzie w nich wszystko,
lecz zniknie jedno —
klient.
Poduszki zaczną wykradać z muzeów
czaszki neandertalczyków.
Koszule
same wpełzną
na posągi i szkielety.
Wózki dziecięce będą kołysać
zachowane w spirytusie niemowlęta
z uczelni medycznych.
Żyletki
podetną sobie gardła
z samotności.
Krawaty popełnią masowe
samobójstwo przez powieszenie na drzewach.
Książki same się spalą na stosie
z tęsknoty za oczami i palcami.
Możliwe, że rzeczy się zaadaptują
Zaczną same chodzić do sklepów
i zapewne wdadzą się we wszechświatową bójkę,
gdy rozejdzie się niesprawdzona wieść,
że w jakimś sklepie na peryferiach
jest na sprzedaż człowiek.
Rzeczy na pewno poróżnią się z politycznych powodów
i niewykluczone, że jakaś porywcza lodówka
wymyśli nową neutronową bombę,
unicestwiającą wyłącznie rzeczy,
natomiast nieszkodliwą dla człowieka...
Ale co pozostanie,
jeśli nie pozostał nikt z ludzi?
Kto mieczem atomowym wojnie
sam od niego zginie!

Przełożył:
**ALEKSANDER WARDA**

# Bigos hultajski

## Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

### OFICERSKA FANTAZJA

Na placu boju pod Łuckiem na Wołyniu podczas wojny 1919 r., pewien młody oficer z francuskiej misji wojskowej demonstrował przed gen. Wacławem Iwaszkiewiczem celność szybkostrzelnej armaty nowego typu.

Oficer zapala się w swych pochwałach dla działa, z którym zżył się tak bardzo na licznych polach bitew i twierdzi, że przy odpowiednim obliczeniu można trafić pociskiem trzymaną w ręku czapkę.

Słysząc to, generał uśmiechnął się i żartobliwie dodaje:

— *No tak, ja jednak nie trzymałbym tej czapki.*

Tę żartobliwą odpowiedź generała odnotował Stanisław Zachariasiewicz w barwnej, na gorąco spisanej relacji „Krwią i orężem" (Lwów 1920).

### MARYSIA PRZYSZŁA

Do wcześniej już opublikowanych anegdot o Wojciechu Dzieduszyckim, ministrze do spraw Galicji w latach 1906—1907, dorzucam kolejną, zaczerpniętą z czasopisma „Liberum veto" (1903 nr 12):

Pewnego razu hr. Wojciech Dzieduszycki, który jak wiadomo, jest spirytystą, urządzał seans. Nie wszyscy jednak byli wtajemniczeni w nauki okultyzmu, a najmniej nowy lokaj Jurek. Mistrz i uczniowie trzymają dłonie na stole i w skupieniu czekają rezultatów. Światło przyćmione. Nagle odzywa się stuknięcie... drugie... trzecie...

Niezwykłe powodzenie, oczywisty dowód obecności ducha. Dreszcz przejmuje obecnych.

— *Kto to?* — pyta grobowym głosem mistrz.

— *To Marysia przyszła już, proszę jaśnie pana, i czeka* — mówi niewtajemniczony Jurek.

### WÓZ KUPIDYNA

Wśród XVII-wiecznych tekstów poetyckich zwraca uwagę „Wiersz o pewnej damie, czterech kawalerów mającej, od piątego napisany", w którym to wierszu niefortunny zalotnik zarzuca płochej kochance, że łaskawymi względami obdarza czterech jego konkurentów. Zarówno list kawalera, jak i odpowiedź damy są echem jakiejś autentycznej romansowej przygody, w której uczestniczyli obok bliżej nie znanego Drapieńskiego głośni przedstawiciele magnaterii: Krzysztof Opaliński (1609—1655), starszy odeń Jerzy Ossoliński (1595—1650) i któryś z braci Sapiehów Kazimierz (1609—1656) lub Krzysztof (1607—1631):

*Prześliczna damo, żal mi twej urody,*
*Że bez korzyści chcesz odprawić gody:*
*Pierwszy albowiem koło ciebie sapał (Sapieha),*
*Drugi, jako ryś, pazurami drapał (Drapieński),*
*Trzeci osolił, co miał ocukrować (Ossoliński),*
*Czwarty opalił, co miał pocałować (Opaliński).*

Piękna nieznajoma, nazwiska której dyskretna historia nie przekazała potomnym, odpowiada na ten ekskurs nad wyraz frywolnie, co było zresztą celem dworskiego poety:

*Nie żałuj, proszę, mej pięknej urody,*
*Że bez korzyści chcę odprawić gody.*
*Cztery wyrażasz koła szczęścia mego,*
*Które nie będą bez dyszla piątego,*
*A gdy Kupido wóz cały osiędzie,*
*Sap, drap, sól i pal — przecież miło będzie.*

### CESARZ CONTRA KASZANKA

Podobno jeden z cesarzy bizantyjskich wydał pod koniec IX w. zakaz produkcji kaszanki. Tekst owego dokumentu podaję na podstawie publikacji w książce „Panopticum Zbiór dziwów świata i życia" (Warszawa, 1935):

*Doniesiono nam, że ludzi taki napadł narów, iż w części dla obżarstwa zamieniają krew na potrawę celem jej spożycia. Doniesiono nam zatem, że są tacy, którzy krew w pomieszaniu z innymi jadalnymi produktami, kładą w trzewia zwierzęce, niby w worki i w ten sposób spożywają. Dłużej tego nie ścierpimy i nie pozwolimy, aby honor naszego rządu był znieważany tak ohydnym wynalazkiem, jedynie dla dogadzania obżarstwu żarłocznych ludzi. Kto krew miesza z potrawami czy sprzedaje, ciężko ma być karany, a na znak utraty czci ma być golony na głowie, aż do samej skóry. Także i zarządców miast surowo karać będziemy, albowiem oni przez nieudolność w zarządzie doprowadzają do takiego nadużycia wstrętnego. Za opieszałość tę winni płacić będą po 10 funtów złota.*

### ROZUM

Rozum — rzecz, o którą ludzie tak samo się ubiegają, jak o szczęście, czym dają dowód głupoty, ponieważ obie te rzeczy rzadko chodzą ze sobą w parze i jest dowiedzionym, że tylko głupi bywa zupełnie szczęśliwy. Wielu ludzi się chwali, że „poszli po rozum do głowy", ale rzadko który może się pochwalić, że udała mu się ta wyprawa.

*Kazimierz Bartoszewicz*

**Opracował:**
**ANDRZEJ KEMPA**

*Na zdjęciu: Katerina Machaćkova — gra rolę Anusi; Karel Urbanek i Jan Novotny.*

# Mili goście znad Wełtawy

Bliska współpraca łączy od dwudziestu dwu lat zespoły Teatru im. S.K. Neumanna w Pradze i Teatru Powszechnego w Łodzi. Niedawny trzydniowy pobyt u nas czeskich gości był już jedenastą naprzemienną wymianą przedstawień, która zapoznała nas z kolejnymi trzema sztukami wystawianymi przez ten zespół na swojej macierzystej scenie.

Obecna relacja dotyczy co prawda tylko dwóch pierwszych wieczorów, ale wydaje się, że już te dwa przedstawienia, różniące się między sobą pod wieloma względami, składają się w sumie na dość reprezentatywny obraz umiejętności i możliwości zaprzyjaźnionego zespołu.

Najpierw pokazano nam w foyer teatru, w warunkach półkameralnych, podobno niemal identycznych z tymi, jakie stworzono tej sztuce we własnym gmachu, głośną przed niewielu laty w wielu krajach sztukę Reginalda Rose „Dwunastu gniewnych ludzi", znaną dość powszechnie dzięki filmowi pod tym samym tytułem. Już samo wejście dwunastu przysięgłych, ich zróżnicowane sylwetki (świetnie podkreślone szczegółami kostiumu) i silnie zindywidualizowany sposób zachowania, nim jeszcze padły pierwsze kwestie, zdało znakomicie swój egzamin jako metoda przedstawienia widzowi dwunastu odrębnych osobowości, od których predyspozycji intelektualnych i moralnych może zależeć ludzkie życie.

Z chwilą kiedy każdy z przysięgłych zaczął uzasadniać swoje racje dała się oczywiście odczuć bariera językowa, dzięki której jednak tym czujniej obserwowaliśmy mimikę, gest, ruch, a także intonację głosu poszczególnych postaci, i te właśnie elementy warsztatu aktorskiego, przyporządkowane często w zwykłych warunkach interpretacji tekstu, tutaj obnażały się z ogromną wyrazistością. Okazało się, że ten „negliż", w sumie dla aktorów z Pragi bardzo korzystny, stanowił sukces aktorstwa budującego spójny wizerunek postaci z wnikliwie podpatrzonej prawdy szczegółu. I choć może się to wydać mało prawdopodobne, to dzięki wspomnianym zaletom i doskonale poprowadzonym przez reżysera sytuacjom między partnerami, obcojęzyczne przecież przedstawienie utrzymywało widza w niesłabnącym napięciu, nawet tego widza, który pamiętał jaki będzie finał i w dodatku, że będzie on pomyślny. Świadczy on zresztą chlubnie o niezachwianej wierze autora w podatność przeciętnego człowieka na logikę argumentów i wyższe racje moralne. Pozazdrościć optymizmu...

Znacznie mniej percepcyjnych trudności powinno wiązać się z przedstawieniem „Szkoły żon", której polski tekst stosunkowo łatwo dostępny, mógł sobie każdy teatroman przypomnieć bezpośrednio przed spektaklem (choć nie wiem, ilu widzów hołduje w rzeczywistości tak chwalebnym zwyczajom). Ta właśnie sztuka Moliera nie gości zbyt często na polskich scenach i może wskutek tego nie tak bardzo zatarło się w pamięci starszych widzów znakomite przedstawienie tej sztuki w Polsce w kilka lat po wojnie przez paryski teatr (Athenee?), kierowany przez Luisa Jouveta, który kreował wówczas rolę Arnolfa.

Jeśli wolno, zwłaszcza po latach, czynić jakieś porównania, zaryzykowałbym opinię, że rola KAREL URBANKA (mimo współczesnego kostiumu, czy może dzięki niemu?) jest chyba silniej ukierunkowana na stworzenie prawdopodobieństwa psychologicznego niż tamto ujęcie, jakby delektujące się w demonstrowaniu widowni uświęconych tradycją sposobów grania klasyki kiedy np. Arnolf i Horacy, nie widząc się wzajemnie, cofają się ku sobie w niemal tanecznym rytmie, by zgodnie z oczekiwaniem zderzyć się plecami). Otóż Urbanek, którego grę podziwialiśmy w przeddzień w roli Dziesiątego (jakby chronicznie zakatarzonego) i tym razem rozwinął wielką skalę środków, panując mistrzowsko nad techniką aktorską.

Rolę **Anusi** finezyjnie odegrała KATERINA MACHAĆKOVA, która była, jak mi się zdaje, bardziej współcześnie przebiegła niż rozgrywająca osobiste wdzięki i uroki młodości Dominique Blanchard. Wyraźnie też na współczesną modłę zbudował postać **Horacego** JAN NOVOTNY, nonszalancki, pokrywający cynizmem swoje uczucia miłosne i po dzisiejszemu też bezceremonialnie poufały wobec znacznie starszego wiekiem wuja. Te właśnie interpretacje niejako korespondowały z wymową współczesnego kostiumu. Nosił go także (w amerykańskim stylu) MILAN REIHS jako CHRYZALD, jowialny i znający życie (poprzedniego dnia występował jako przewodniczący sądu). Niezbyt uzasadnione wydało mi się powierzenie temuż aktorowi (bez zmiany charakteryzacji) kwestii wygłaszanych przez skreślonego tutaj Oronta (jeśli miała to być oszczędność, to chyba przesadna). Gdy jeszcze dodamy, że w dzisiejszym roboczym kombinezonie wystąpił sługa Arnolfa zmusza to wreszcie do odpowiedzi, czy postacie sztuki odarte z kostiumu epoki sprawdzają się w dzisiejszych realiach, odpowiedź wypadnie korzystnie dla Moliera. Byłbym przeoczył z krzywdą dla ZDENKA KUTILA, że arcydowcipnie, ale w tradycyjnej konwencji odegrał doskonale dopracowany epizod z **Notariuszem.**

Dobrze wypełniła swoje zadania pomysłowa scenografia, ukazująca po rozsunięciu się frontowej ściany domu wewnętrzne schody i ganki, bardzo pomocne w rozgrywaniu akcji.

Tak więc oba wspomniane wieczory dostarczyły miłośnikom teatru wiele artystycznej satysfakcji, sporo momentów wysokiego lotu, podtrzymując jak najlepszą renomę, jaką cieszy się u nas i w swoim kraju Divadlo im. S.K. Neumanna. Zobowiązuje to nasz Powszechny do pokazania w rewizycie swoich najlepszych możliwości.

**JERZY KWIECIŃSKI**

**Reginald Rose:** „Dwunastu gniewnych ludzi". Reżyseria — **Oto Ševčik**, scenografia Jan Dušek, kostiumy **Irena Greifova.**

**Moliere.** „Szkoła żon". Reżyseria **Jan Grossman**, scenografia **Vaclav Vozab**, muzyka **Peter Mandel**, kostiumy **Irena Greifova.**

Przedstawienie w Teatrze Powszechnym w dniach 16 i 17 października 85 r.

# Kronika kulturalna

**W WARSZAWIE** odbył się kolejny festiwal muzyki jazzowej Jazz Jamboree. Impreza ta co rok prezentowana jest z większym rozmachem: coraz więcej solistów, koncertów, nocnych jam-session. Od pewnego czasu także daje się zaobserwować jak rośnie międzynarodowa ranga imprezy. Zaświadcza o tym udział gwiazd jazzu — gwiazd najpierwszej wielkości. W tegorocznym Jazz-Jamboree odnotować należy przede wszystkim występ Keitha Jarreta, któremu towarzyszyli Jack de Johnette i Gary Peacock. Koncert tego znakomitego pianisty odbył się — i słusznie — w atmosferze wielkiego skupienia, atmosferze tak nietypowej dla koncertów jazzowych.

Trudną w odbiorze, ale niezwykle interesującą muzykę „komputerową" zaprezentował publiczności warszawskiej Joe Zawinul, również niekwestionowana wielkość współczesnego jazzu. Z gorącym przyjęciem spotkał się występ — dawno nie słyszanej w Polsce — Urszuli Dudziak. Wielką sympatię publiczności zdobył towarzyszący wokalistce Bobby McFerrin — śpiewający, tańczący, wykonujący pantomimiczne scenki.

Niewątpliwie wartościową nowością tegorocznej imprezy były koncerty dla dzieci — nie od dziś wiadomo, że konkurencją dla prymitywnej muzyki rockowej może być właśnie jazz — równie ekspresyjny i pociągający młodzieżową widownię, jak rock, a jednocześnie o niebo szlachetniejszy gatunek muzyki współczesnej.

Coś z Jazz-Jamboree mieli także łodzianie: wystąpił w naszym mieście Joe Zawinul. Dobre, ale mało...

**PROJEKCJĄ** pięknego filmu Eldora Riazanowa „Gorzki romans" w kinie „Iwanowo" zainaugurowano, 5 listopada b. tegoroczne Dni Filmu Radzieckiego. Inauguracyjne imprezy odbyły się również w Sieradzu (7 listopada) i Piotrkowie (8 listopada). Przeglądy filmów radzieckich trwać będą do końca miesiąca. Zestaw filmów premierowych jest w tegorocznych Dniach szczególnie interesujący. Oprócz wymienionego „Gorzkiego romansu" (ekranizacja „Panny bez posagu" Aleksandra Ostrowskiego), który zobaczyć można w kinie „Iwanowo" oraz w „Wolności" i „Zachęcie", warto zwrócić uwagę na litewski film „Kobieta i jej czterech mężczyzn" Algimantasa Pujpy, (kino „Iwanowo", „Polesie" i „Przedwiośnie").

W kinie „Wolność" można zobaczyć film „Niech trwa oczarowanie" w reżyserii Jaropołka Łapszyna. W filmie tym, którego treścią jest miłość dwojga emerytów, w głównych rolach występują znani aktorzy Ija Sawwina i Oleg Jefremow.

Fragment z dziejów Pierwszej Konnej Armii, dowodzonej przez sławnego Siemiona Budionnego prezentuje, w iście westernowej konwencji, reżyser Władimir Lubomudrow. Film nosi tytuł „Pierwsza Konna" i można go zobaczyć w kinach „Przedwiośnie" i „Zachęta".

W „Iwanowie" będzie też prezentowany interesujący film dokumentalny „Defilada zwycięstwa" — obraz wielkiej defilady, jak odbyła się w Moskwie na Placu Czerwonym w dniu 24 czerwca 1945 r.

Dzieło Jewgienija Matwiejewa „Wielkie zwycięstwo" — ukazuje kulisy dwóch konferencji — poczdamskiej i helsińskiej. Dla widowni młodzieżowej i dziecięcej przeznaczony jest film „Strzeż się dziewiątego syna", którego scenariusz oparty jest na motywach ludowych bajek kazachskich. Reżyseria: Wiktor Pusurmanow i Wiktor Czugunow (kina: „Przedwiośnie" i „Zachęta").

**DZIENNIK ŁÓDZKI** wydał, jako dodatek do przedostatniego październikowego numeru, łódzki „Informator Kulturalny". Informator przynosi repertuar teatralny na listopad z krótkim omówieniem premier, infomacje o repertuarze kinowym, nowościach filharmonii, estrady i o wystawach sztuk plastycznych. Jest nawet omówienie programu telewizyjnego (niestety, nie na cały miesiąc) i co nieco o nowościach wydawniczych.

Szkoda, że redakcja zastrzega się, iż — być może — nie będzie mogła kontynuować regularnego wydawania tego dodatku. Wydziałowi Kultury Urzędu M. Łodzi nieśmiało przypominamy, że wychodził kiedyś w Łodzi taki informator pt. „Kalejdoskop". Kalejdoskopu nie ma, jest natomiast Ośrodek Informacji Kulturalnej. Nie sugerujemy żadnego związku między tymi dwoma faktami!

**DNI KULTURY POLSKIEJ** odbyły się w Salzburgu (Austria). Zaprezentowano siedem polskich filmów oraz wystawę współczesnego portretu polskiego, odbyły się odczyty i wieczory poświęcone polskiej sztuce i kulturze.

Szczególnie atrakcyjny był muzyczny program Dni: z recitalem utworów Henryka Wieniawskiego wystąpił skrzypek Krzysztof Jakowicz, a końcowym akcentem Dni był występ orkiestry Filharmonii Narodowej pod dyrekcją Kazimierza Korda. Koncert był przyjęty owacyjnie przez publiczność.

**ŁÓDŹ** — rodzinne miasto Mariana Piechala — uczciła osiemdziesiątą rocznicę urodzin poety. W siedzibie Stowarzyszenia Twórców Kultury odbyło się spotkanie z jubilatem, zorganizowane przez Klub Pisarzy.

O twórczości Mariana Piechala mówili: dr Jerzy Poradecki i dr Ziemowit Skibiński, poezje recytował aktor Teatru im. Juliana Tuwima — Cezary Nowak.

Spotkanie z Marianem Piechalem odbyło się również w Bibliotece Uniwersyteckiej, z okazji otwarcia wystawy „Marian Piechal w 80 rocznicę urodzin".

**MIĘDZYNARODOWY** Rok Witkacego dobiega końca. Ciekawym akcentem końcowym Roku jest przedstawienie Teatru Lalki i Aktora w Gdańsku. Spektakl nazywa się „Szarańcze" i jest montażem dziecięcych utworów Stanisława Witkiewicza. Twórcą przedstawienia jest nowy dyrektor Teatru L I A „Miniatura" — Zbigniew Wilkoński. Spektakl adresowany jest do młodzieżowej i dorosłej widowni.

**MIŁOSNA** historia Anny i Stanisława Oświęcimów nie przestała fascynować twórców: pisał o niej Mikołaj Bołcz-Antoniewicz i Miron Białoszewski, malowali kochanków Artur Grottger i Stanisław Bergman. W Łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych powstaje film o dziejach miłości rodzeństwa Oświęcimów pt. „Preludia do wieczności" wg. scenariusza Pawła Choynowskiego i Kazimierza Konrada. Reżyserują Kazimierz Konrad i Piotr Stefaniak. W roli Anny wystąpi Anna Kaźmierczak, a Stanisława Oświęcima zagra Waldemar Kownacki.

MARINA CWIETAJEWA

# Opowieść o Sonieczce

## (fragmenty)

Sonieczka żyła w fotelu. Głębokim, sennym, zielonym. W ogromnym zielonym fotelu, okrążającym, otaczającym, obejmującym ją, jak las. Sonieczka żyła w zielonym krzaku fotela. Fotel stał przy oknie, nad rzeką Moskwą, okrążony pustaciami-przestworami.

W nim pocieszała się po Jurze, w nim czytała moje liściki, w nim pisała mi swoje, w nim uczyła się swoich monologów, w nim nieoczekiwanie, po wszystkich łzach i liścikach — zasypiała, przesypiała w nim wszystkich Jurijów, i Wachtangów, i Wachtangowów...

C'était son lit, son nid, sa niche.

Do Sonieczki szło się nieco z górki, w szumie zapory, koło krzywego płotu, z jeszcze bardziej krzywym od jego desek napisem: „Doskonalę charakter pisma"... (W 1919 roku! Jakby nie było innych kłopotów! W dodatku — takimi gryzmołami!).

Jest dom. W domu — fotel. W fotelu — Sonieczka. Podkurczywszy nogi, jak przed wzbierającą wodą przypływu. (Jeszcze chwila — zaleje.). Nóżki zeskakują na spotkanie:

— Marina! Co za szczęście!

Troskliwie uwalnia mnie od koszyka i torebki z paskiem na ramię. Sonieczki nie trzeba przekonywać, żeby nie zapraszała mnie na fotel: zna moje niezłomne obyczaje i nawyki. Siadam na oknie. Parapet jest szeroki i niski. Za nim — wolność. Za plecami — wolność, przed oczami — miłość.

— Marina! Byłam dzisiaj na sumie i znowu tak płakałam. — Rzeczowo, zaginając w dłoń paluszki: — Jura mnie nie kocha, Wachtang Lewanowicz mnie nie kocha, Eugeniusz Bagrationowicz mnie nie kocha... A mógłby! chociażby jak córkę, bo przecież mój ojciec był — Eugeniusz — w Studio mnie nie lubią...

— A ja?!

— Och! Pani! Marino, Pani zawsze będzie mnie kochać, nie dlatego, że jestem taka dobra, a dlatego, że nie zdąży mnie Pani przestać kochać... A Jura — już zdążył, bo ja sama nie zdążyłam... umrzeć.

(Kochać, kochać... Co myślała, gdy tak ciągle mówiła: kochać, kochać?...).

To przypomina mi pewne pytanie, moje własne, zadane żołnierzowi byłego pułku następcy tronu, opowiadającemu, jak ratował sztandar:

— Co Pan czuł, kiedy ratował Pan sztandar?

— A — nic nie czułem: jest sztandar — jest pułk, nie ma sztandaru — nie ma pułku.

Jest miłość — jest życie, nie ma miłości...

Jej: kochać było: być; nie być w czym innym: spełnić.

Zwinęła się w kłębuszek, malutka, twarzy nie widać przez włosy, ręce, łzy, chowa się sama w siebie — przed wszystkim — tak włodzimierska niańka Nadia o mojej córce Irinie: zagnieżdża się... A wokół i nad i pod — las, sklepienie, przypływ fotela.

Z tego, jak wgrzebywała się, wciskała, widać było, jak bardzo by się przydało, żeby ktoś trzymał ją w silnych, szerokich, kochających starych rękach. (Przecież fotel — jest zawsze staruszkiem.).

Pojęłam: ona po prostu siedziała mu na kolanach!

Żeby trochę rozerwać ją, oderwać od Jury, opowiadałam, naopowiadałam, jak to wczoraj szłyśmy z Alą pieszo na Worobjowe Wzgórza, jak pośrodku mostu kolejowego, ujrzawszy pomiędzy żelaznymi szynami wodę ze strachu — usiadłam, jak Ala zamawiała mojemu strachowi zęby na poczekaniu wymyśloną historią: jak most w jednej chwili rozstąpił się i razem z nią wpadłyśmy do wody, ale nie utonęłyśmy, bo w ostatniej chwili podtrzymały nas anioły, a podtrzymały nas — bo w ostatniej chwili dowiedziały się, że „ta dama z żołnierską raportówką na ramieniu" jest poetką, a ta dziewczynka z wojskowymi guzikami — jej córką, i jak anioły na rękach zaniosły nas na jarmark i potem kręciły się z nami na karuzeli („Ty, Marino, ze swoim aniołem na lwie, a ja ze swoim na baranie..."), i jak potem te anioły odniosły nas w zaułek Borysoglebski, i już zostały z nami, i paliły nam pod blachą, i kradły dla nas drwa („...bo te anioły to wcale nie były anioły, a... sama wiesz, Marino, co to były za a n i o ł y..."),

I jak to z Aliną i anielską pomocą rzeczywiście przeszłyśmy przez most i rzeczywiście kręciłyśmy się na karuzeli — ja na lwie, ona — na baranie... i jak zaraz kupiłam jej w ulicznym kramie za pomyślne przeprowadzenie przez most jakąś malinową żelatynową trzęsiątkę, i jak ją żarliwie, niczym opłatek je, i jak potem przewoża nas przez rzekę nie anioły, a dwaj chłopi w czerwonych koszulach, w jednym z których rozpoznaje swojego uwielbianego Przewodnika z „Córki kapitana" — i tak dalej — i tak dalej... — do przejaśnienia się Sonieczki — potem śmiania się — potem jarzenia się...

---

O, fotelu historii, spowiedzi, wyznań, męczarni, ukojeń...

Drugą występującą osobą Sonieczkowego pokoju był — kufer, rudy, skórzany jeszcze z tych czasów, kiedy ojciec Sonieczki był nadwornym muzykiem.

— Sonieczko, co w nim jest?

— Mój posag. (Jaki — dowiemy się później.). Dlatego, że ja potem kiedyś niewątpliwie wyjdę za mąż. Najpoważniej: (jej słowa): z oświadczynami, z odmową, ze zgodą, z białą suknią, z kwiatami pomarańczy, z welonem... Nienawidzę brać ślub... po cywilnemu. Tak sobie wziąć i wpaść, tylko zęby w pośpiechu wymyć przedtem, a za miesiąc oświadczyć: już rok, jak się pobraliśmy. To niezręczne. Dlatego, że — i wstydzić się trzeba, i trącać się kieliszkami, i przelewać szampana, i chcę, żeby mi składano życzenia, i żeby prezenty były, a najważniejsze — żeby płakano! Och, jak ja będę płakać, Marino! Po moim Juroczce, po Eugeniuszu Bagrationowiczu, po teatrze, po t a m t y m, tamtym wszystkim, dlatego, że wtedy już — koniec: będę kochać tylko jego.

Trzecią występującą osobą Sonieczkowego pokoju był — porządek. Niewyobrażalny, nieosiągalny w rewolucji. Jakby tu trzy pokojówki pracowały, czyszcząc i zdmuchując. Ani jednego pyłka, ani źdźbła brudu, niczego na nie swoim miejscu. Ani jednego (mojego albo Jury) liściku. Albo wszystko pod poduszką! To był pokój pensjonarki na wakacjach, guwernantki na kondycji, pokój — sprzed stu, dwustu lat. Albo jeszcze prościej — marynarska kajuta: porządek nie jako nieobecność, ale jak obecność. W tym pokoju mieszka porządek. Tak kadet marynarki wypręża się na baczność.

I nikt na nią nie pracował. Mariuszka okrągły dzień stała w kolejkach za wobłą i olejem (i jeszcze za pewną rzeczą, o której — potem!). A po powrocie tę wobłę — o ścianę — biła. Wszystko — Sonieczka, osobiście, własnoręcznie.

Dlatego szczególnie cieszyła mnie jej przyjaźń, jej szczery zachwyt dla mojego dziwnego i nawet strasznego domu, gdzie wszystko było poprzestawiane — raz na zawsze, to znaczy nieustannie i niepowstrzymanie przesuwało się coraz dalej i dalej — aż wyszło za obręb ścian: darowane? ukradzione? sprzedane?

Ale dodam, że wszystkim dzieciom, szczególnie z dobrych domów, zawsze podobał się mój dom (zawsze taki sam, po dzień dzisiejszy), jego bezmierna swoboda i... niespodziankowość: oto już bolte à surprises z wyskakującymi spod nóg cudami — gigantyczne bolte z dziurą zamiast dna, nieustannie podającą coraz to nowe i nowe przedmioty, jakże często — sans nom...

---

Była u nas aktorka Sonieczka Hollyday. Siedziałyśmy w kuchni. Było ciemno. Powiedziała mi:

— Wiesz, Alusiu, Jura przysłał mi liścik: „Miła dziewczynko Sonieczko! Bardzo się cieszę, że mnie nie kochasz. Jestem podły. Nie wolno mnie kochać. Niech Pani mnie nie kocha". A ja pomyślałam, że to pisze specjalnie, żeby go bardziej kochano. A nie gardzono nim.

Ale nic jej nie odrzekłam. Sonieczka Hollyday ma małą różową twarz i ciemne oczy. Jest niskiego wzrostu i ma delikatne ręce. Cały czas myślałam i myślałam o nim. „On wzywa tę kobietę, żeby go kochała. Specjalnie pisze do niej te liściki. Jeśliby naprawdę był podły, nie pisałby jej tego".

---

...Nie był podły. Tylko — słaby. Beznamiętny. Bez żadnej namiętności, oprócz próżności, tak obficie — i krzywdząco — podsycanej jego urodą. Co pamiętam z jego wypowiedzi? Na każde moje pytanie o predylekcję, o taki czy inny wybór — „Nie wiem... To wszystko jest takie złożone..." (Wariant: „To bynajmniej nie jest proste..."). W istocie zaś — „tak mi to obojętne...". Zapalał się tylko do teatru, pamiętam, kiedyś ponad godzinę opowiadał mi o tym, jak to by zrobił (rękami zrobił?) maleńki teatr i podzieliłby go na niezliczoną ilość klatek, a w każdej — ludziki, bohaterowie własnej sztuki i międzyklatkowej — ogólnej...

— A co to byłaby za sztuka... O co, właściwie miałoby chodzić?...

On, tajemniczo:

— Nie wiem... Tego jeszcze na razie nie wiem... Ale wszystko to dokładnie widzę... — Z błogością: — Takie maleńkie, że prawie nie widać...

Czasem — nieokreślone marzenia o Włoszech:

— Wiesz, pojedziemy z Pawlikiem do Włoch... będziemy chodzić po florenckich wzgórzach, jeść słony, pleciony chleb, pić chianti, rwać z drzew mandarynki...

Ja, jak echo:

— I wspominać — Marinę.

On, echo echa:

— I wspominać — Marinę...

Ale i Włochy były z Goldoniego, a nie z głębi tęsknoty.

Kiedyś Pawlik — do mnie:

— Marino! Jura postanowił wystawić Szekspira.

---

Kiedyś zaszłam do niego z kolejnym darem. Nie zastałam go, była tylko niańka.

— Książeczkę przyniosła Pani Jurze do poczytania — i dzięki za to. Niech czyta, rozerwie się. A mało jest takich, moja kochana, co przynoszą. Dużo tu przychodzi, od rana do nocy przychodzą, jeszcze oczu nie otworzy — dzwonią, i ledwo oczy przymknie — dzwonią. I najwięcej — to z pustymi rękami i całowaniem. Nie mówię, żeby tym panienkom przyganiać — młodziuśkie jeszcze! a Juroczka — śliczny jak malowanie, zawsze był śliczny, jak się urodził był śliczny, jeszcze w powijakach, a już wszystkie panny go kochały, aż mówię mu nieraz: „Czegoś, ty Juroczka, taki śliczny? Niemęska to rzecz". „Ależ, nianiu, co ja jestem winny?". Pewnie, że nie winny, ale mnie biegać do otwierania drzwi od tego wcale nie lekcej... A niech tam i całują (i tak niczego nie wycałują), ale powiem: całujesz, to i zatroszcz się, żeby a to ryżu, a to jagły, a to chociaby i placuszka — Pani widzi, jaka to chudzina, siostra Wieroczka już który rok w berkulozie, czas niepewny, i on: jedna postać, jedna krew — nie jemu, wiadomo, on taki nieśmiały — nie weźmie — a do mnie do kuchni: — „weź, powiedzieć, nianiu, nakarm swojego kochaneczka". Nie, gdzie tam! Jak już do mnie do kuchni — to, aby wypłakać się — że nie kocha. I głowa pusta, i ręce puste. Za to gębusia pełna: — głupstwa i całowania. (Mam dwie takie, co noszą, tylko jedna — sroga taka, jakby guwernantka, i nosek mająca przyduży troszki, tak to teraz ja nie o nich...). Panienkę Hallidę zna Pani? Przyjdzie: „Juroczka w domu?". Najpierw po ojcu nazywała, no a potem to już obzwyczaiła się, wstydzić się mnie przestała. — W domu, powiadam, śliczności moje, tylko śpi. Ale nie budźcie, nie budźcie, ja i zachodzić nie chciałam, tylko widzicie — przyniosłam coś, tylko nie mówcie mu, nianiu..." — i paczuszkę wyciąga, a w paczuszce — nie to, żeby jagła albo razowiec, ale zawsze bułeczka biała, bielutka... I skąd ona je bierze?!... Albo i skarpetki usiądzie cerować. „Dajcie mi, nianiusiu, skarpetki Juroczki". — „Oj, co też panienka, czy to dla panienki młodych rączek robota? To dla staruchy robota". — „Ależ nianiu!". I tak gorąco — gorąco, przymilnie — przymilnie w oczy patrzy. „Wy mnie panienką nie nazywajcie, tylko mówcie — Sonia, a ja do was — niania". No i zaczęłam ją nazywać — Sonieczka, jak malutką. Oj, jak też ona go kocha — słowo nie wypowie! Skarpetki poceruje, koszulkę wyprasuje (a nasz-ci śpi twardo, nic nie wie!), pocałuje mnie w policzek: „kłaniajcie się, nianiu, Juroczce" — i pójdzie. Ile razy to ja swojemu kochaneczkowi mówiłam: „Długo nie myśl, i tak lepszej nie znajdziesz: i urodna, i rozumna, i robotna, i na tejatrze przedstawia — i nie zawiedzie; w najczarniejszą, choć oko wykol noc po dochtora poleci, całe miasto na nogi podniesie — a dochtora sprowadzi — przy takiej żonie chorować można! A i matką dla twoich dzieci dobrą będzie, kiedy tobą, tyką grochową, jak dzieckiem się opiekuje. I według wzrostu pasujecie do siebie: ty ta-aki wielki, a ona — taka maleńka". (Do mnie: „Draby to zawsze lubią takie kruszyny"). Bo złocisz mały — w sercu stały.

— A on?

— Stoi, uśmiecha się, nic nie mówi. Nie kocha — i tyle.

— Kocha inną?

— Ech, miła moja, on nikogo nie kocha, od urodzenia nie kocha, aby siostrę Wieroczkę i mnie, niańkę.

(Ja, w myśli: „I siebie w lustrze").

— To o tej Sonieczce, żeby dokończyć. Nie zastanie — wesoła odchodzi, a zastanie — zawsze ze łzami. Oj, zimny ten nasz Jura.

— Oj, zimny ten Wasz Jura.

Lustro też jest zimne.

---

Sonieczka też miała niańkę — Mariuszkę. „Za mąż będę szła z żółtą skrzynią w wianie". Nie niańka — stara służąca, ale stara służąca długo w domu — to jak niańka. Tej Mariuszki ani razu przez cały czas mojej przyjaźni z Sonieczką na oczy nie widziałam — dlatego, że zawsze stała w ogonku: za wobłą, za olejem. I jeszcze za pewną rzeczą. Ale ciągle o niej słyszałam, i coraz więcej, że „Mariuszka znowu będzie się gniewać" (o Jurę, o bezsenne noce, o wyjedzoną przez kogoś kaszę jaglaną...).

Pewnego razu stukanie do drzwi. Otwieram. Czarna, od oczu, twarz — i już od progu!

— Marino! Stała się rzecz straszna! W moim pokoju zamieszkała trumna.

— Co-o-o?

— Więc proszę posłuchać. Moja Mariuszka gdzieś zasłyszała, że wydają trumny — najprawdziwsze trumny... (pauza) — no, dla nieboszczyków — bo to przecież teraz — luksus. Przecież Pani wie, że dla Aleksieja Aleksandrowicza zrobili w Studio — niby to wszędzie już wydawali, a u nas nie wydają. No i chodziła codziennie, chodziła, wydeptywała — aż subiekt w końcu stracił cierpliwość: „Ach, żebyś ty już, babko, prędzej umarła, żeby do nas za trumną nie przychodzić! Wcześniej, babko umrzesz, jak ci trumnę wydamy!" — i tym podobne uprzejmości, no, ale ona jest twarda: „Co obiecane, to obiecane, od swojego nie odstąpię". I chodzi, i chodzi. I w końcu przyszła dzisiaj — jest! „No co, doczekałaś się, babko, swojego szczęścia? — I stawia pośrodku sklepiku — niebieską. — No, weź przymierz, czy zmieścisz się w niej ze wszystkimi swoimi kosteczkami!". — „A jakże, zmieścić się zmieszczę — ino nie w tej". — „A to niby jak — nie w tej?". — „A tak, powiadam, a bo ta — niebieska, znaczy się — męska, a ja panna jestem, mnie się różowa należy. Tak już wy mnie z uprzejmości swojej różową dajcie, bo mi niebieska do niczego niepotrzebna". — „Co-o, — mówi — stara miotło, mało żeś mi jeszcze krwi napsuła, aż w końcu — p a n n ą się okazała, w różowym pieścić ci się zachciewa! Nie dostaniesz, diabelska babko, różowej, bo ich u nas na fabryce nie ma". „No to już niech będzie, wasza szanowność, choćby bielusia — mówię mu; zestrachałam się mocno, coby całkiem bez trumienki nie przegonił — boć to w męskiej niebieskiej leżeć dla panienki — bezeceństwo, a ja przez całe życie od niemowlęcych pieluszek część ustrzegłam, aż do koszuli śmiertelnej". Wtedy on na mnie jak nie zatupie nogami: „Bierz, diabelska dziewico, co ci dają — i zgiń, przepadnij, bo ciężką ci krzywdę zrobię! Teraz, wrzeszczy, rewolucja, wielkie wstrząsy, mężczyznów od pannów nie rozróżniajom, w szczególności nieboszczyków... Zabieraj, zabieraj mówię, a nie — to tym zakatrupię!" — i jak-ci się nie zamachnie na mnie wieczkiem od trumienki! Wstyd — hańba, żołdaty naokoło — rechoczą, palcami pokazują... No, widzę, nie ma co — to załadowałam na plecy swoje wieczne odpoczywanie i poszłam sobie, i taka mi, panienko, krzywda, ile się za nią nałaziłam, ile się nawyśmiewali ze mnie, a przyjdzie mi rozstać się ze światem w męskiej niebieskiej". I teraz, Marino, mam ją w pokoju. Pani widziała nad drzwiami taką głęboką półkę — na walizki? Wprost mnie ubłagała, żeby pod nogami się nie plątała i co najważniejsze — żeby jej oczu kolorem nie raniła. „Bo co na nią popatrzę, panienko, to aż mnie całą krzywda zalewa". No i tak stoi. (Pauza). Na pewno kiedyś przecież przyzwyczaję się do niej!

(Było to we Wniebowstąpienie 1919 roku.).

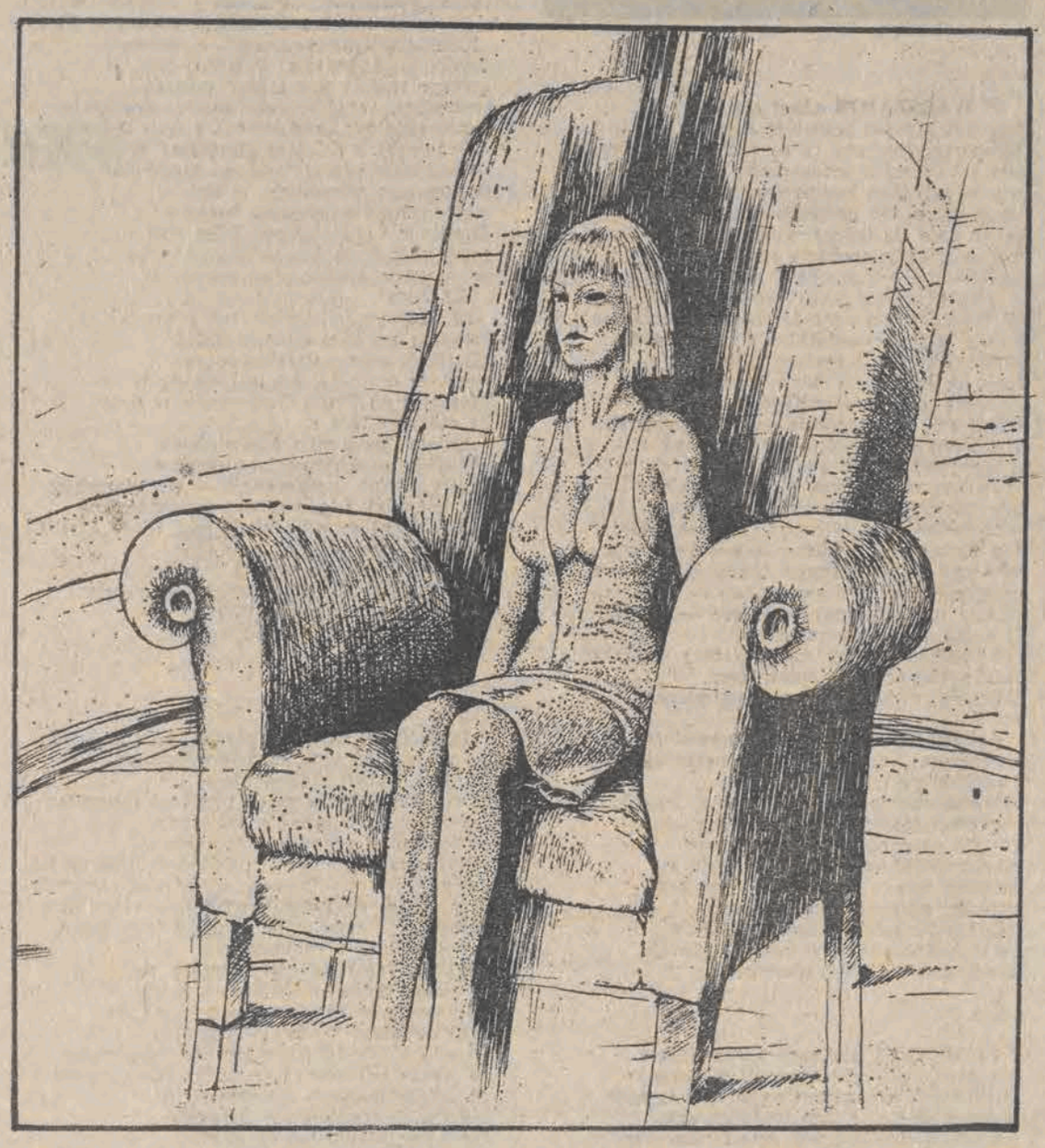

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

**Przełożyła:**
**EWA KATARZYNA NOWAK**

# Polemiki • Listy • Opinie

## KILKA UWAG O DZIEJACH ŁODZI POD OKUPACJĄ

W artykule pt. „Hitlerowski wrzesień w Łodzi" w nr 37 „Odgłosów" z 14.09.85 r., p. Paweł Dzieciński wspominając te tragiczne dla całego narodu polskiego lata, pisze „Niezwykle istotną rolę w działalności V Kolumny przed wybuchem wojny odgrywały przygotowania do prowadzenia akcji wojskowej. Wiosną i latem 1939 roku rozpoczął się przemyt broni i materiałów wybuchowych z Niemiec, które następnie były umieszczane w zakonspirowanych skrytkach". Pragnę i ja dorzucić trochę wiarygodniejszych danych o takich zakonspirowanych skrytkach broni w Łodzi.

Oto co na ten temat mówi mój mąż, mgr inż. arch. Kazimierz Sobocki:

— Pracowałem w Budownictwie Wojskowym przy DOK nr IV w Łodzi od 1936 do 1939 r. W ostatnim miesiącu przed wojną w 1939 r. władze wojskowe przystąpiły do przyspieszonych robót budowlanych w przystosowaniu szkół na szpitale wojskowe. Roboty polegały na budowie trzonów kuchennych, usunięciu ławek szkolnych. Należało zorganizować firmę budowlaną, zakupić kotły kuchenne, sprawdzić instalację sanitarną itp. Mnie przydzielono dwie szkoły w Łodzi. Jedną z nich było niemieckie gimnazjum męskie przy ul. Zamenhofa róg al. Kościuszki. Budynek ten znajduje się w tym miejscu do dzisiejszego dnia. Gdy zgłosiłem się do szkoły i zameldowałem intendentowi tegoż gimnazjum o mających się odbyć tu pracach — ten odmówił stanowczo wydania nam kluczy od pomieszczeń i zapowiedział arogancko, że nie pozwoli na żadne roboty budowlane czy porządkowe. Po interwencji władz wojskowych przekazał nam klucze, ale do sali na poddaszu znów nie mogliśmy się dostać. Dopiero po zagrożeniu, że będzie aresztowany, salę otworzył i uciekł. Okazało się, że sala ta była jednym wielkim magazynem różnych mundurów ze swastykami, krótką bronią, granatami, sztandarami organizacji partyjnych i związków młodzieżowych Hitlerjugend, czapek, pasów i wszelkiego rodzaju emblematów hitlerowskich.

Przystąpiliśmy do robót, które przebiegały w szybkim tempie, ale z chwilą pokazania się nad Łodzią pierwszych samolotów i bomb spadających na miasto, bojówki ze zorganizowanej już dobrze młodzieży niemieckiej urządziły demonstracje szantażując robotników, którzy musieli przerwać pracę. Do Łodzi wkraczała już armia hitlerowska.

Tyle wspomnień z tych tragicznych dni, których nie wolno nam zapomnieć. Ciągle musimy o nich mówić młodemu pokoleniu, które wyrosło już w wolnej Polsce. Oświęcim, Majdanek, Dachau, Gusen i wiele, wiele innych obozów koncentracyjnych i miejsca okrutnych kaźni nie pozwalają Polakom stępić ich czujności.

Gdy po odzyskaniu niepodległości Druga Rzeczpospolita w ciężkim dwudziestoleciu budowała szkoły, szpitale, drogi, organizowała zniszczony przemysł, cały system polityczny, społeczny i gospodarczy — Niemcy już rysowali w swoich wojskowych pracowniach mapę Warszawy, jaką widzieli po nowym „Drang nach Osten". Wytyczali nowe dla siebie granice na naszych ziemiach Śląska, Wielkopolski i Pomorza. I zbroili się. Za te lata braku czujności i niedojrzałości politycznej zapłaciliśmy zbyt wielką cenę i nie tylko my musimy być czujni. Całe szczęście, że dziś nie jesteśmy osamotnieni w tym czuwaniu i wsłuchiwaniu się, co po czterdziestu latach pokoju znów mówią Niemcy w RFN, przeróżni „Ziomkowie" z Czają i Hupką na czele.

Przeżyłam w Łodzi całą okupację i chciałabym tu jednocześnie wyjaśnić sprawę istnienia w Łodzi urzędu tzw. Leistungsamt. Wspomina o tym Jerzy Kwieciński w swoim artykule w 26 numerze „Odgłosów" z 29 czerwca 1985 r. pt. „O Łodzi pod okupacją" — przyznając, że „nie wie nic bliższego" o istnieniu kategorii Polaków (może w Łodzi nieznanej) pod nazwą Leistungspole, o której też nic nie wspomniał w swej książce pt. „Pod herbem Wandalów" Ryszard Małecki, opisujący życie Polaków w Łodzi.

Otóż taki urząd istniał i okupant umieścił go w pałacu biskupim na ulicy św. Stanisława przy placu Katedralnym (dziś ulica Worcella). W miarę niepowodzeń na froncie wschodnim Niemcy usiłowali zjednać Polaków różnymi przywilejami należnymi obywatelom Reichu, jako że Łódź — kraj Warty (Wartegan) stanowiła obszar Rzeszy i podlegała jej administracji. Podpisywanie takiej listy „lojalnego obywatela" odbywało się oczywiście pod przymusem, po zakładach pracy, po fabrykach czy biurach, w których jeszcze pracowali nieliczni Polacy znający język niemiecki. Opornych wywożono najczęściej na przymusowe roboty w głąb Reichu lub do obozów koncentracyjnych.

Osobiście nie znałam przypadku, aby wśród moich znajomych bliższych czy dalszych ktoś z Polaków listę taką podpisywał, za to wywózki na roboty były coraz częstsze a aresztowania stałe. Polacy w Łodzi opierali się narastającemu terrorowi. Nikt nie wątpił w koniec wojny, który przyniesie klęskę Wandalom i mordercom milionów niewinnych ludzi, zarówno dorosłych, jak i dzieci, co było najstraszniejszą chyba ze zbrodni w tej okrutnej wojnie.

**MARTA SOBOCKA**

## HARCERZ POD NARWIKIEM

Tadeusz Kolin wstąpił do 18 Łódzkiej Drużyny Harcerzy im. króla Władysława Jagiełły działającej w Szkole Powszechnej nr 1 przy ul. Sterlinga, jednej z najstarszych szkół łódzkich. W drużynie przeszedł niemal wszystkie funkcje organizacyjne od szeregowego członka zastępu do przybocznego.

31 sierpnia 1939 roku 18 ŁDH powraca do Łodzi z letniego obozu zorganizowanego w miejscowości Trosty Rządowe. W mieście trwa już intensywna praca przy kopaniu rowów przeciwlotniczych. Ci z członków 18 ŁDH, którzy nie uczestniczyli w obozie letnim pracują już kilka dni przy kopaniu tych rowów w parku im. Staszica wraz z harcerkami 20 ŁDH działającej przy gimnazjum żeńskim Heleny Miklaszewskiej, robotnikami łódzkich fabryk, żydowskimi kupcami, wyrobnikami i rzemieślnikami.

W ostatnim dniu pokoju drużynowy 18 ŁDH phm. Wacław Przygocki dostaje kartę powołania do wojska. Jego miejsce zajmuje Tadek Kolin. Był to okres, kiedy drużyna ma dużo pracy, zaangażowawszy się do działania na rzecz wojska. Tadek Kolin, na którego spadły obowiązki pełnienia funkcji drużynowego ma dużo roboty. Dwoi się i troi, wyznacza harcerzy do pomocy w mobilizacji zaprzęgów konnych.

Inni harcerze 18 ŁDH z rozkazu Tadeusza Kolina penetrowali okolice ul. Pomorskiej obserwując zachowanie się zamieszkujących tam Niemców. Jeszcze inne grupy harcerzy z 18 ŁDH brały czynny udział w Służbie Obrony Przeciwlotniczej dyżurując w gazowni łódzkiej, elektrowni i różnych blokach obrony terytorialne m.in w bloku przy ul. Pomorskiej 127, gdzie komendantką była Władysława Jaśniewicz, matka członków drużyny, trzech braci Jaśniewiczów — Zbigniewa, Zygmunta i Witolda.

Najodpowiedzialniejszą była jednak służba łącznikowa w Starostwie Grodzkim, skąd harcerze rozwozili meldunki i informacje po całym mieście. W archiwach drużyny zachowały się jeszcze niektóre strzępy tych meldunków.

W niedzielę, 3 września 1939 r. nalot na Łódź. Kamienica przy ul. Bandurskiego (obecnie Mickiewicza) rozpruta od góry do dołu, pod gruzami ranni i zabici. W akcji ratowniczej biorą udział harcerze. Ładują rannych na napotkany samochód i odwożą do szpitala wojskowego.

Ofiarna praca harcerzy z 18 ŁDH kierowanej przez Tadeusza Kolina przekracza nieraz ich młodzieńcze siły. Czterdziestu chłopców nie może sprostać coraz cięższym zadaniom. 4 września 1939 r. przez swojego łącznika Janka Szymczaka prosi Tadek Komendę Chorągwi o przysłanie choć paru chłopaków z 20 ŁDH, którzy zmieniliby na posterunku zmęczonych i wyczerpanych chłopców z 18 ŁDH. Ale sytuacja jest wszędzie jednakowo poważna. Dochodzą wieści o ciężkich walkach nad Wartą i Widawką. Szykuje się ewakuacja Łodzi.

O świcie 6 września harcerze z 18 ŁDH rozwożą ostatnie meldunki. To już ewakuacja. Przyjaciel Tadka Kolina — Zbyszek Jaśniewicz otrzymuje od starszego przodownika Policji Państwowej, Kazimierza Jarnowskiego meldunek, który ma wręczyć w sztabie armii „Łódź", mieszczącym się w dawnym pałacyku fabrykanta Heinzla przy ul. Zgierskiej 133 na Julianowie. Do dyspozycji pełniących służbę łącznikową harcerzy pozostał już tylko jeden samochód. Kierowca — żołnierz ma chęć ewakuować się, ale twardy rozkaz powstrzymuje go jeszcze od tego zamiaru. Na ulicach miasta pełno ludzi z podręcznym bagażem. Zdążają w kierunku szosy prowadzącej do Warszawy. Żołnierze idą zwartym szykiem plutonami lub kompaniami. Jest sporo mężczyzn — rezerwistów, członków gimnazjalnego Przysposobienia Wojskowego (PW) i innych. Obok bramy pałacu Heinzla przy ul. Zgierskiej dużo samochodów i żołnierzy. Stoją ukryci pod drzewami parku. Są przygotowani do ewakuacji. Widać nawet za stawem działka przeciwlotnicze zdjęte z lawet, gotowe do odjazdu. Jest to moment, kiedy sztab Armii „Łódź" pozbawiony jest praktycznie obrony przeciwlotniczej.

Siedem niemieckich Dornierów wyprysnęło nagle ze wschodu od strony ul. Łagiewnickiej. Pikują nad pałacykiem. Posypały się bomby, wielkie, pięćsetkilogramowe. Poleciała w górę ziemia, runęły kiukunastoletnie drzewa. Pałac Heinzla w kurzu i dymie, ale stoi nadal. W powietrzu unosi się przeraźliwy huk wybuchów. Asfalt ulicy leci w powietrze. Z wieżyczki pałacyku strzela nieustannie karabin maszynowy. Poniżej zjazdu do pałacu palą się samochody terenowe. Słychać krzyki. Z pobliskiego cmentarza polscy żołnierze strzelają z ręcznych i maszynowych karabinów. Samoloty zawracają. Tym razem bomby padają w staw. Także niecelnie, po drugiej stronie ulicy.

Skoro tylko przebrzmiał ostatni huk wybuchów bomb i opadły kurzawy piasku na terenie bombardowanego sztabu pojawili się harcerze z 18 i 16 ŁDH, a wśród nich Tadek Kolin. Biegli na ratunek polscy mieszkańcy okolicznych domów, przeklinając pastora pobliskiego cmentarza ewangelickiego, uważając go za sprawcę nadania Niemcom miejsca postoju sztabu Armii „Łódź". Dowódca tej Armii gen. dyw. Juliusz Rommel w poszarpanym mundurze, z krzyżem „Virtuti Militari" na piersi klęczy przy martwym oficerze. Jest to podpułkownik Zdzisław Chrząstowski — oficer do zadań specjalnych Armii. Otrzymał odłamki bomb w plecy i serce. Niedaleko leży sierżant Jan Buss z 31 pułku Strzelców Kaniowskich z Łodzi, dalej kapral Franciszek Grzeszuk i szeregowiec o nie ustalonym nazwisku. Jest siedemnastu rannych, przeważnie z ochrony sztabu. Jęczą i proszą o pomoc. Służba sanitarna z pobliskiego szpitala nie dobiegła jeszcze. Wśród rannych jest sierżant Borendziak z 10 batalionu pancernego w Zgierzu. Jest ranny w głowę. Harcerze pierwsi przystępują do działań ratunkowych. Opatrują rannych używając ich opatrunków osobistych, a nawet podartych koszul. Zwłoki podpułkownika Zdzisława Chrząstowskiego zostają zawinięte w koc i pochowane w prostym, żołnierskim grobie na skraju parku od strony ul. Biegańskiego (po wojnie ekshumpwane i pochowane na cmentarzu w Radogoszczu we wspólnej mogile poległych podczas nalotu).

Tadeusz Kolin i Zbigniew Jaśniewicz meldują się u gen. Juliusza Rómmla po dalsze rozkazy. Po wojnie jeden z łódzkich plastyków utrwala ten moment na obrazie. Jest to jedyna zachowana sylwetka Tadeusza Kolina. Rozkazów jednak nie ma. Sztab Armii „Łódź" ewakuuje się do Mszczonowa.

Wieczorem harcerze łódzcy postanawiają opuścić miasto, aby dostać się do stolicy i bronić jej przed nawałą niemiecką. Maszerują grupkami, w sumie ponad 100 osób. Jedną z takich grup prowadzi Tadek. Po dwóch dniach pełnych przygód docierają do Warszawy. Przy ul. Łazienkowskiej, gdzie znajduje się główny punkt zborny Chorągwi Warszawskiej poznają Tadeusza Zawadzkiego, późniejszego legendarnego „Zośkę", podporucznika Armii Krajowej, jednego z wybitnych dowódców warszawskich „Szarych Szeregów".

Tadek Kolin wraz z ponad 80 łódzkimi harcerzami i harcerkami bierze udział w obronie stolicy. Bronią fortu czerniakowskiego, pełnią ciężką służbę łączników przenoszących rozkazy pod gradem bomb i pocisków artyleryjskich, działają w służbie sanitarnej i przeciwpożarowej.

Po kapitulacji stolicy Tadek Kolin na krótko wraca do Łodzi. Ale działalność konspiracyjna powstających komórek harcerskich nie bardzo mu odpowiada. Zwierza się swoim przyjaciołom, że pragnie nadal otwarcie walczyć o wolność swojej ojczyzny. Z dalekiej Francji dochodzą do Polski wieści, że pod wodzą gen. Władysława Sikorskiego tworzy się tam armia polska. Po kilku tygodniach Tadek Kolin znika nagle z Łodzi, przechodzi granicę węgierską, słabo jeszcze wówczas obsadzoną przez Niemców i wraz z setkami Polaków pojawia się we Francji wstępując w szeregi 1 Polskiej Dywizji Grenadierów.

Wczesną wiosną, kiedy z poszczególnych oddziałów 1 Polskiej Dywizji Grenadierów formowane są bataliony Samodzielnej Brygady Podhalańskiej Tadeusz Kolin jest już w jej szeregach. Brygada zostaje przewieziona na północ do Norwegii. Tam w walkach z hitlerowskimi oddziałami ginie młody, 19-letni łódzki harcerz, który wychowywał swoich chłopców z 18 ŁDH w duchu głębokiej miłości ojczyzny i patriotyzmie. Został pochowany na jednym z trzech cmentarzy koło Narwiku, gdzie spoczywają zwłoki polskich żołnierzy Brygady Podhalańskiej.

Nie jest on jedynym harcerzem z 18 ŁDH, który poświęcił swoje młode życie dla Polski. Inny członek drużyny, Czesław Rajpold przedostaje się do Wielkiej Brytanii i jako lotnik-radiotelegrafista w stopniu sierżanta walczy w polskiej załodze bombowca RAF. Bierze udział w wielu wyprawach bombowych na Niemcy. Ginie podczas bombardowania Berlina w roku 1943. Został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Walecznych.

Dzisiaj pamięć Tadeusza Kolina odżywa jedynie we wspomnieniach dawnych przyjaciół, starych instruktorów i harcerzy. Żadna z drużyn, tak w Łodzi, jak i w kraju, nie nosi jego imienia. A szkoda! Czyżby imię tego bohaterskiego harcerza — żołnierza tułacza miało ulec zapomnieniu?

**MIECZYSŁAW KOZAK**

## TURNIEJ WIEDZY FILOZOFICZNEJ

Zarząd Łódzki Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, Łódzka Komenda Chorągwi ZHP oraz Kuratorium Oświaty i Wychowania informują, że organizowany jest VIII Młodzieżowy Turniej Wiedzy Filozoficznej. Celem MTWF jest upowszechnianie wśród młodzieży wiedzy filozoficznej, inspirowanie i rozwijanie zainteresowań młodzieży zagadnieniami filozoficznymi, światopoglądowymi, etyczno-moralnymi: kształtowanie naukowej postawy młodzieży wobec świata oraz tolerancji wobec innych postaw i przekonań światopoglądowych.

Turniej przeznaczony jest dla uczniów szkół średnich. Etap wstępny trwa do 15 stycznia 1986 r. Uczniowie, którzy chcą uczestniczyć w Turnieju, opracowują na piśmie jeden dowolnie wybrany temat spośród podanych i przekazują pracę do **ZŁ. TKKŚ Łódź, ul. Piotrkowska 99.**

Tematy prac pisemnych:

1. Wkład polskich uczonych i myślicieli w filozofię epoki Odrodzenia.
2. Myśl filozoficzna i społeczna Edwarda Dembowskiego.
3. Współczesne wartości polskiej tradycji tolerancji i kultury świeckiej.
4. Pojęcie i wartości światopoglądu świeckiego.
5. Moralne problemy współczesnego świata.
6. Moralne problemy współczesnego społeczeństwa polskiego.
7. Humanizm i współczesne jego odmiany.
8. Moralność a wojna.
9. Pojęcie pokoju i podstawowe jego znaczenie.

Dokładnych informacji udziela **Zarząd Łódzki Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, Łódź, ul. Piotrkowska 99, tel. 32-99-96 lub 33-55-42.**

## V OGÓLNOPOLSKI KONKURS POETYCKI IM. ZBIGNIEWA KRUPOWIESA — SŁUPSK, 1986

**ORGANIZATORZY:** Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Słupsku (główny organizator), Rada Krajowa Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy w Warszawie, Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże" w Słupsku, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Słupsku, redakcja tygodnika „Zbliżenia" w Słupsku, redakcja miesięcznika społeczno-literackiego „Okolice" w Warszawie, Urząd Morski w Słupsku.

Celem konkursu jest popularyzacja młodej literatury współczesnej, zaangażowanej w kształtowanie pożądanych postaw społecznych. Oczekiwana jest twórczość o szczególnych walorach humanistycznych, będąca artystycznym wyrazem żywotnych problemów młodego pokolenia.

**ZAŁOŻENIA REGULAMINOWE:** W konkursie mogą wziąć udział tylko twórcy nie zrzeszeni w Związku Literatów Polskich (niezależnie od miejsca zamieszkania) i posiadający nie więcej niż dwie książki poetyckie opublikowane w wydawnictwach profesjonalnych. Na konkurs należy nadsyłać wyłącznie utwory, które dotąd nigdzie nie były publikowane i nagradzane w konkursach literackich.

Prace o tematyce dowolnej i opatrzone godłem winny zawierać cykl bądź zestaw wierszy (maksymalnie pięć utworów) w 4 egzemplarzach. Każdy autor ma prawo nadesłania najwyżej trzech prac. Do prac opatrzonych godłem należy dołączyć zalakowaną kopertę (opatrzoną tym samym godłem), zawierającą w środku imię i nazwisko autora, dokładny adres zamieszkania, telefon itp. Prace należy nadsyłać do **15 marca 1986 r.** (decyduje data stempla pocztowego) pod adresem: **Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, al. Sienkiewicza 21, 76-200 Słupsk z dopiskiem: „Konkurs poetycki im. Zb. Krupowiesa".**

Jury (powołane przez głównego organizatora) po rozpatrzeniu i ocenie prac przyzna następujące nagrody:

I — 12.000 zł
II — 8.000 zł
III — 5.000 zł

oraz trzy wyróżnienia po trzy tysiące złotych każde.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału ogólnej sumy przeznaczonej na nagrody.

Ponadto przyznana zostanie **nagroda specjalna w wysokości 3 tys. zł** za najlepszy wiersz o tematyce marynistycznej.

O terminie i miejscu uroczystego podsumowania konkursu laureaci zostaną powiadomieni i zaproszeni na koszt organizatora.

Nagrodzone prace będą drukowane na łamach tygodnika „Zbliżenia" i miesięcznika „Okolice".

Organizatorzy nie zwracają nadesłanych na konkurs prac.

Wszelkich dodatkowych informacji udziela sekretarz konkursu, **Stefan Miler — Słupsk, tel. 223-62, 260-80, 260-89.**

## JAK ŻYĆ GODNIE?

**1. Organizatorzy konkursu:** Zarząd Główny Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury. **Współorganizatorzy:** Ministerstwo Oświaty i Wychowania, Młodzieżowe Centrum Kultury Świeckiej ZG ZSMP i ZG TKKŚ, Główna Kwatera Związku Harcerstwa Polskiego, Zarząd Krajowy Związku Młodzieży Wiejskiej oraz odpowiednie ogniwa szczebla wojewódzkiego.

**2. Cele konkursu:**

— pobudzenie twórczych postaw młodzieży, eksponowanie własnych przeżyć i przemyśleń na temat „co należy uczynić, aby życie przeżyć pięknie i godnie"

— uczenie refleksyjnej postawy wobec świata i uznanych wartości w rozwoju osobowości współczesnej młodzieży

— stwarzanie klimatu do organizowania przez młodzież i dla młodzieży form samokształcenia, jak np. warsztatów literackich, zespołów recytatorskich, teatrów poezji i innych.

3. Uczestnikami konkursu mogą być uczniowie szkół ponadpodstawowych wszystkich typów oraz młodzież pracująca do lat trzydziestu.

4. Warunkiem udziału w konkursie jest napisanie przez uczestnika zestawu trzech wierszy albo opowiadania na 10 stron maszynopisu o tematyce dotyczącej dróg poszukiwania sensu własnego życia i nadesłanie ich do oceny Ogólnopolskiemu Sądowi Konkursowemu. Do konkursu należy zgłaszać utwory dotychczas nie publikowane opatrzone godłem wraz z dołączoną kopertą oznaczoną tym samym godłem i zawierająca następujące dane: imię i nazwisko, wiek, adres i nazwę szkoły lub zakładu pracy, adres prywatny autora.

5. Uczestnicy nadsyłają prace w nieprzekraczalnym terminie do **31 stycznia 1986 roku** do sekretariatu Ogólnopolskiego Sądu Konkursowego, którego siedzibą jest **Zarząd Główny Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, 00-901 Warszawa, Pałac Kultury i Nauki, XI p. p. 1120.**

Ogólnopolski Sąd Konkursowy dokona oceny nadesłanych prac do końca kwietnia 1986 r. Ogłoszenie wyników, wręczenie nagród i wyróżnień nastąpi w maju 1986 r.

**Jury**, powołane przez organizatorów, oceni prace konkursowe między innymi wg następujących kryteriów:

— problemowość ujęcia tematu,
— zgodność treści z założeniami konkursu,
— refleksyjność i indywidualność środków wyrazu artystycznego, poprawność stylu i języka,
— ogólny wyraz artystyczny.

6. Organizatorzy przeznaczają na nagrody i wyróżnienia łączną kwotę w wysokości ok. 100 tys. zł. O rodzaju i wysokości nagród zadecyduje jakość prac. Prace nagrodzone będą publikowane w czasopismach młodzieżowych. Istnieje możliwość opublikowania prac w wydaniu zbiorowym.

Zatem: nawet jeśli nie czujesz do handlu specjalnego powołania, a to z tego prostego powodu, iż jesteś szalenie wykształcony i wspiąłeś się prawie na sam szczyt drabiny społecznej w dużym mieście, powinieneś zaopatrzyć się przed wyjazdem z kraju w papierosy (nie pal!), w alkohol i kawę (nie pij!) oraz w prezerwatywy (...!), które wśród naszych południowych przyjaciół budzą sprawiedliwą radość i emocję.

Nie musisz częstować tym obcych celników. Dobrze natomiast, jeśli schowasz to na czarną chwilę, z której nie wyciągnie cię żadna legitymacja, żadna karta campingowa i żadne dokonane w Polsce ubezpieczenie.

Nie życzę nikomu takich chwil. A już szczególnie nie życzę ich kierowcom.

## PLOWDIW

Jeszcze w Turcji, nim przekroczyliśmy granicę bułgarską wraz z dwoma tysiącami pojazdów odprawionych byle jak w dwie godziny, Łukasz wskazał otwory wentylacyjne pod szybą czołową i powiedział:

— *Dymi się coś.*

Głos dziecka został zakrzyczany, dziecko bowiem na tym świecie nie ma nic do powiedzenia ani w kwestii dymu z otworów wentylacyjnych, ani w żadnej innej zapalnej kwestii, takiej dajmy na to, jak zabawa w wojnę termojądrową.

Żaden dym! To tak tylko świeci słońce i wirują w nim pyłki kurzu, więc nie strasz, nie kracz, popatrz sobie lepiej na kapitalistów...

ANDRZEJ MAKOWIECKI

# Dwa razy groza

## (RAPORT TRANZYTOWY)

Drogą waliły z szybkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę zachodnie wozy o rejestracji niemieckiej, austriackiej, szwedzkiej, szwajcarskiej i belgijskiej. Przypominały do złudzenia osobowe i półciężarowe wozy cygańskie z bazaru Wiśniewskiego. W każdym siedziało od kilku do kilkunastu osób stłoczonych jak sardynki w puszce. Przez uchylone szyby wiatr wywlekał na widok publiczny jakieś pieluchy, jakieś falbanki, jakieś ni zupełnie czyste prześcieradła. Na bagażnikach kipiały poobdzierane tekturowe walizy, kufry, kuchenki gazowe oraz worki z czosnkiem i papryką. Tu i ówdzie widać było zakwefioną twarz kobiety, gdzie indziej starca w turbanie, który zdawał się dochodzić kresu swojej ziemskiej mordęgi, a tam znowu wrzeszczał noworodek przeżywający w mercedesie pierwszy szampański romans z wielkim światem.

Nie byli to więc Europejczycy w ścisłym tego słowa znaczeniu. Było to, jak sami o sobie mówią, Zachodnie Mahmudztwo — przeważnie Turcy, i Syryjczycy, którzy po krótkich wakacjach w ojczyźnie wracali z całymi rodzinami do pracy w raju.

— *Dymi* — mówił Łukasz.

— Nie wygłupiaj się!

Grzało słońce. Tranzytowa co się zowie droga oddzielona była od pól rowami i zasiekami drutu, aby Mahmudztwo nie zechciało stanąć gdzieś na popas albo zboczyć do najbliższego miasteczka w celach biznesowych. Bułgarzy są narodem czystym i praworządnym — zezwalają tureckim Niemcom i syryjskim Austriakom na tranzyt przez terytorium swojego kraju, ale popędzają ich niemiłosiernie. Szosa, bezsprzecznie wygodna i szeroka, wymija wszelkie większe osiedla i okrąża śmiałym łukiem Sofię, w związku z czym nie ma w stolicy żadnych podejrzanych elementów. Stojący na poboczach milicjanci wymachują rękami:

— *Szybciej!*

— *Prędzej!*

— *Nie zwalniać!*

— *Nie zatrzymywać się!*

Jdnym słowem: a sio! Zostawcie w spokoju nasze winogrona i gruszki. Przestańcie zaśmiecać nasze pola.

Austriackie i niemieckie Mahmudztwo (skądinąd bardzo sympatyczne) biwakuje więc chyłkiem, gdzie się da, je, co popadnie i zmyka byle szybciej do Jugosławii, gdzie wolno mu rozsiewać brud bez żadnych ograniczeń.

— *Dymi* — powiedział Łukasz.

— Nie dymi — odparłem.

Ale dymiło. Dwanaście kilometrów przed Plowdiw dymiło do tego stopnia, że zatrzymaliśmy wóz na poboczu. Milicjant, który przeganiał Mahmudztwo, był niezadowolony, że tarasujemy drogę. Ale braterstwo idei zobowiązuje. Zaczął dłubać w silniku i orzekł, że mamy do czynienia z awarią systemu ogrzewania.

— *Żarko, Parno. Musicie jechać do Plowdiw i poszukać mechanika.*

Ale jak jechać, skoro wrze w silniku. Może nastąpić wybuch i wyleci my w powietrze.

Przytaknął i wrócił na posterunek, aby przepędzić paru opieszałych kapitalistów. Potem znowu zajął się naszym silnikiem. Widać było, że chce pomóc. Miał dobre serce.

— *Trzeba wziąć samochód na hol.*

— Właśnie!

— *Zadzwońcie do Pogotowia Drogowego.*

— A jest tu gdzieś telefon?

— *Jest, ale osiem kilometrów stąd.*

— Śmierć — powiedziała pani E.M.

— *Jak będziecie dolewali co kilkaset metrów trochę zimnej wody do chłodnicy, dojedziecie.*

Wzięliśmy zatem wodę do pustych kanistrów. W godzinę później nie znalazłszy telefonu stanęliśmy w tumanach pary przed bramą Stacji Obsługi Samochodów. Zapadał zmierzch i brama była już zamknięta, ale wyszedł do nas jakiś miły mężczyzna.

Przedstawiliśmy mu całą grozę sytuacji. Źle z benzyną, nie mamy lewa, czas tranzytu kończy się, a tu jak na złość jeszcze ta awaria. Gdyby był w Plowdiw konsulat polski, można by ewentualnie liczyć na wsparcie, ale...

Gość zakasał rękawy i zabrał się ostro do dzieła. Było to godne podziwu ze względu na fakt, iż brakło mu jakichkolwiek przekonywających bodźców. Powtarzał słowa milicjanta:

— *Żarko. Parno.* — Nagle poddał się stwierdzając, iż defekt wymaga interwencji specjalistów ze Stacji Obsługi Polskiego Fiata i Poloneza. — *Faceci znają wasze samochody, no i mają części zamienne. Musicie skręcić w lewo, potem w prawo, następnie wykonać manewr na jednokierunkowej ulicy i zapytać kogoś o dalszą drogę do tej polskiej w pewnym sensie stacji.*

Był naprawdę miłym człowiekiem. Nie chciał żadnych obcych pieniędzy. Ubrudził się bezinteresownie i spocił. Z troską patrzył na małego Łukasza i żonę, a ja z troską patrzyłem na samochód. Wyciągnąłem komplet kluczy francuskich i wręczyłem Bułgarowi na pamiątkę.

Był to punkt zwrotny w naszym nieszczęściu. Gość wziął nas na hol i przetransportował do stacji obsługi polskich samochodów. Wprawdzie dawno już została zamknięta, lecz o siódmej rano miała wznowić działalność. Czekaliśmy jako pierwsi w niewidocznej jeszcze kolejce.

Nie wiem, czy ktoś spędził kiedyś noc pod namiotem w samym środku wielkiego miasta. Dziwne uczucie. Słyszysz samochody przetaczające się ulicami i kroki spóźnionych przechodniów. Każdy samochód wydaje się karetką milicyjną wysłaną po ciebie w wyniku czyjegoś telefonu, a groźnie brzmiące kroki zmierzają wprost do twojego namiotu. W nocy ludzie powinni spać, a nie jeździć samochodami i wałęsać się po ulicach. Tak myślałem, oni jednak dalej jeździli i spacerowali — słyszałem jakieś szepty i narady, nieraz jakby śmiech. Kroki, dużo kroków. Czyjeś paznokcie drapały ścianę namiotu, czyjaś ręka dotykała drzwi, ktoś poruszył klamką w samochodzie, gdzie spało pod alarmem dziecko. I znowu kroki. Czułem na policzkach łunę wstydu. Podejrzewałem, że zbliża się siódma i ludzie ciągną już ze wszystkich stron do pracy. Poruszyłem się ostrożnie. Usłyszano mnie widać, bo momentalnie zagrzmiał bas mężczyzny:

— *Wstawać, wychodzić!*

— Kto jest? — zapytałem.

— *Milicja.*

— No, jak milicja, to w porządku — powiedziałem wesoło. — Już idę.

Zobaczyłem dwóch funkcjonariuszy i pięciu cywilów. Funkcjonariusze przybyli służbowo, cywile, utworzywszy na poboczu osobną grupę, kibicowali po prostu. Był wśród nich portier z pobliskiej fabryki, nie miałem więc wątpliwości, że to właśnie on wezwał milicjantów.

Drżałem z chłodu i poprawiając pidżamę mówiłem o naszej przygodzie. Musieliśmy rozbić namiot. Trudno. Wiem, że to obraza obyczaju, ale samochód nie ciągnie, na hotel nie mamy, a do campingu dalej niż na cmentarz. Proszę bardzo, możemy zwinąć budę.

Przejrzeli nasze paszporty. Spisali nas przykładnie, pokiwali głowami nad dzieckiem, które spało w zepsutym samochodzie i bez kontaktowania się z przełożonymi podjęli wstrząsającą słuszną decyzję.

— *Nie musicie zwijać budy* — powiedzieli. — *Niech pan się kładzie.*

— Która godzina?

— *Czwarta.*

— Dobra, kładę się — powiedziałem wzruszony. — O szóstej zlikwidujemy namiot.

— *Wystarczy, jeśli zlikwidujecie go o siódmej.*

— Jesteście wspaniali, panowie.

Podałem im rękę i wróciłem na materac w budzie, która stała pośrodku miasta.

Nie powinienem oczywiście o tym pisać. Robię to, aby oddać sprawiedliwość Bułgarom. W innych krajach gonią nas ostatnio straszliwie — nie wolno przystanąć, nie wolno parkować, nie wolno wjechać do lasu ani na podwórko. Jesteśmy zadżumieni, ale w Bułgarii nie traktują nas źle nawet w hańbiących sytuacjach.

Nazajutrz zreperowano jako tako znużony upałami samochód. Mieliśmy książeczkę Międzynarodowej Pomocy wystawioną przez PZM z opłaconymi wcześniej listami kredytowymi i listem polecającym, ale Bułgarzy nie wiedzieli, co z tym zrobić. Nawiasem mówiąc — wcześniej Grecy nie wiedzieli co zrobić z kartą uprawniającą rzekomo do zniżki campingowej, a w innych krajach kwestionowano polskie talony benzynowe. Polak więc podróżuje zazwyczaj z duszą na ramieniu i ze świadomością, iż w razie czego będzie musiał płacić w twardej walucie lub w innej subtelnej postaci.

Bułgarzy ze stacji obsługi polskich samochodów w Plowdiw byli wspaniali i wystawili symboliczny doprawdy rachunek.

## DEBRECZYN

Za nocleg w Debreczynie zapłaciliśmy automatycznym parasolem męskim. Obydwie strony były zadowolone, przy czym Węgrzy, do których miałem przed laty pretensje, okazali się tego roku prawdziwymi przyjaciółmi. Kiedyśmy opuszczali Debreczyn, samochód zaprotestował ponownie — tym razem hamulec, nie odbijało serwo, koła grzały się niebezpiecznie.

Byliśmy na dalekich przedmieściach w drodze ku granicy radzieckiej. Nie mogło być nawet mowy o kontynuowaniu podróży z uszkodzonym hamulcem, który zresztą nie puszczał samochodu z miejsca. Pani E.M., zdenerwowana okropnie pobiegła szukać pomocy, a ja zostałem z Łukaszem w aucie. W godzinę później wyłonił się przed nami jakiś pojazd z napisem Automobil Klub, a z pojazdu wysiadł Węgier i moja żona.

Książka międzynarodowej pomocy drogowej wraz z listem polecającym i listami kredytowymi znowu okazała się bezużyteczna. Owszem, można zaholować samochód na stację obsługi, ale będzie kosztowało to co najmniej 800—1000 forintów w gotówce, żadne tam kredyty.

— Temu panu będziemy płacić?

— *Nie. Tego pana zatrzymałam na ulicy w śródmieściu i zawiózł mnie właśnie na stację.*

Młody Węgier nie znał żadnego obcego języka, ale jakoś się z nami dogadał. Wypróbował hamulec, potem usiłował bez skutku usunąć awarię, wreszcie podciągnął serwo, wziął nas na hol i zawiózł do centrum. Kiedyśmy byli u celu i hamulcem zajęło się dwóch sympatycznych mechaników, próbowałem wcisnąć temu, co nas holował, pięć dolarów, odmówił jednak z godnością.

— Ale butelkę pan przyjmie?

— *Owszem.*

Dałem mu flaszkę Poloneza. Stwierdziłem, że jest zadowolony. Mechanicy, którzy pracowali nad hamulcem, aby zagwarantować nam w miarę bezpieczny powrót do domu, również nie chcieli pieniędzy, nie pogniewali się jednak na butelkę greckiego ouzo.

Powtarzam: nie powinienem o tym wszystkim pisać, żaden to bowiem splendor dla mnie, a jeszcze mniejszy dla tych, którzy pobrawszy od nas w kraju pieniądze, wyposażyli nas na drogę w pakiet bezwartościowych papierów.

Z mojej opowieści wynika jednak morał, aby brać ze sobą w podróż parę drobiazgów, które, sprezentowane w porę, mogą zmniejszyć w nas trochę ciężar wdzięczności. Wynika również z mojej opowieści pokrzepiający fakt, że przynajmniej w sercach Węgrów i Bułgarów tlą się jeszcze dla polskiego turysty serdeczne uczucia.

P.S. W czasie, gdy ten numer „Odgłosów" przygotowywany jest do druku Andrzej Makowiecki jest w kolejnej podróży. Następny reportaż z Kuby.

# Walki klasztoru Shaolin

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

# Taki pomysł na życie

**PAWEŁ TOMASZEWSKI**

Nie wyróżniająca się niczym szczególnym sudecka wioska na stokach Grzbietu Kamienickiego. Sto kilkadziesiąt domostw, kościół, szkoła, remiza OSP, sklep spożywczy, kiosk, dwa przystanki autobusowe. Jadąc z Jeleniej Góry, wysiadam na tym drugim, przy krzyżówce. Dalej już trzeba iść pieszo pod górę. Po kilkuset metrach ktoś pokazuje mi dom. To ten stary zielony, mówi, uśmiechając się przy tym zagadkowo jakby chciał coś jeszcze dodać, wyjaśnić, zapytać. Ja też uśmiecham się, ale inaczej. Że znalazłem, że poznam wreszcie Magdę, Joannę, Ewę, Jurka oraz dzieci, które już w chwilę później witają mnie jako pierwsze. Jedno siedzi w korytarzu na nocniku, drugie obok bawi się lalką. Gdzieś z głębi dobiegają głosy pięciorga pozostałych. Są beztroskie i wesołe. Mieszają się ze wschodnią muzyką, jaka płynie z dużych zestawów głośnikowych, co w surowym wnętrzu wiejskiej chałupy robi dziwne dosyć wrażenie. Podobnie jak porozwieszane obrazy, tchnące jakimś mistycyzmem i — dla przybysza z zewnątrz — niezbyt czytelną symboliką. Ale szybko przekonuję się, że takich niezwykłości jest tu znacznie więcej i trzeba się do nich po prostu przyzwyczaić, tradycyjne schematy myślowe zostawiając za progiem, który świadomie przecież przekroczyłem. Z pewnością nie każdemu przychodzić to musi z łatwością, chociaż spróbować, przynajmniej spróbować — nie mam wątpliwości — warto.

Joannę odnajduję w kuchni. Zajęta jest gotowaniem, sprzątaniem ze stołu, karmieniem dzieci. Ktoś to przecież musi robić, prawda? Jak w każdym innym domu. Proponuje mi obiad, zielona herbatę (wybieram zwykłą), odpoczynek po podróży. Zaraz przyjdzie Ewa. Myje naczynia w pobliskim potoku, bo z kranu ledwo ciurka. To dlatego, że w studni nie ma pompy, woda jest pod swym naturalnym ciśnieniem — dzięki spadkowi terenu, ale różnie z tym bywa. A Jurek pojechał do Jeleniej. Musieliśmy się chyba minąć w drodze, bo niedawno wyszedł. Wróci wieczorem, to sobie porozmawiamy. Natomiast Magda jest, niestety, w Warszawie. Po pieniądze, żeby zapłacić drugą ratę. Trochę szkoda, gdyż to ona jest tu właściwie gospodynią. Chociaż jeśli zamierzam zostać dłużej... No, w każdym razie ze spaniem na pewno nie będzie kłopotu. Na razie mogę w pokoju Magdy na drewnianych skrzyniach, które tak bardzo pomogły podczas przeprowadzki. I dobrze, że zabrałem śpiwór.

Na sudecką wieś Magda przeniosła się z Warszawy całkiem niedawno, parę miesięcy temu, a ten dom kupiła... To znaczy, jeszcze go nie kupiła. Na razie zapłaciła dopiero pierwszą ratę, bo choć sprzedała za granicą trochę swoich obrazów, to jednak 800 tysięcy złotych, to jak dla niej, całkiem niemała suma. Notarialnie dom należy więc nadal do poprzedniego właściciela — też facet ze stolicy — który nabył go kilka lat temu za bezcen, by po wyremontowaniu zamieszkać w nim na stałe z rodziną. Warunki zmusiły go jednak do odwrotu ze wsi i choć to i owo zaczął już przerabiać, naprawiać, niczego nie skończywszy, postanowił pozbyć się go jak najszybciej. Dlatego ten bałagan, nieład, prowizorka. Wszystko na wierzchu. Byle jak. Na razie. Na później. Bo to miało być zupełnie inaczej.

Ewa, Joanna i Jurek również starali się kupić jakąś chałupę w tej samej wsi. Upatrzyli już sobie nawet jedną, uzgodnili wszystko z właścicielem, że na pewno, że razem z meblami, tego i tego dnia. Kiedy jednak zjawili się, by sfinalizować transakcję, okazało się, że gość chałupę właśnie sprzedał, wziął forsę i nie ma o czym mówić. Chcąc nie chcąc, zamieszkali więc u Magdy, bo przecież zamieszkać gdzieś musieli.

Poprzednie trzy lata przesiedzieli też na wsi, niedaleko stąd, pod Karpaczem. Mieli tam do dyspozycji cały budynek starej karczmy, który dziś zapewne należałby już do nich, gdyby udało się jakoś dogadać z jego siedmioma współwłaścicielami. Niestety... Ale przecież nie są tym wszystkim zrażeni, załamani. Przeciwnie, coraz bardziej utwierdzają się w przekonaniu, że to, jak żyją, odpowiada im, że tego właśnie chcieli, potrzebowali, że taki pomysł na życie jest dobry.

Joanna i Ewa urodziły się w mieście. Pierwsza w Głubczycach, druga w Katowicach. Poznały się na studiach plastycznych w Uniwersytecie Śląskim. Już wtedy, a może nawet jeszcze wcześniej, w szkole wiedziały, że nie chcą żyć tak, jak ich rodzice. Przerażone były perspektywą „normalności". Myślały, że każdy sam powinien kształtować swoje życie, szukać swojego miejsca, swojej drogi do szczęścia — niezależnie, czy jest to przetarty już szlak, czy też trzeba go dopiero samemu wytyczyć, odnaleźć w dżungli otaczającej nas rzeczywistości. Na przykład Jurek mieszkał w Krakowie i Warszawie, ożenił się, rozwiódł, prowadził gospodarstwo rolne na Opolszczyźnie, żył z malowania, otarł się o Grotowskiego i Kantora, był w Bieszczadach... Szukał. Ewę i Joannę poznał na jakimś koncercie jazzowym. Szybko doszli do wniosku, że podobnie myślą, używają podobnego języka, podobne mają odczucia. Zaczęli rozumieć się bez słów, jakby stapiać w jedną całość i — zostali już razem. Najpierw w Warszawie i okolicach, potem — na Dolnym Śląsku.

Cały czas utrzymują się wspólnie z szycia i ręcznego malowania jedwabnych sukienek. Kupują kupony gładkiego jedwabiu, kroją, szyją, malują we wzory. Każdy taki ciuch jest niepowtarzalnym dziełem sztuki i bez większego trudu można go sprzedać w galerii, czy w butiku. Prawdopodobnie mogliby na tym zrobić duże pieniądze, ale nie o to im przecież chodzi. Ludzie gotowi są dla pieniędzy poświęcić prawie wszystko — i co? Czy naprawdę są dzięki temu szczęśliwsi? Czy daje się otworzyć pieniędzmi duszę drugiego człowieka? Czy bez pieniędzy nie można dobrze, ciekawie żyć? Dlatego nie chcą za nimi gonić, wyrzekać się dla nich siebie. Wystarczy, ile zarabiają. A żałują. Nie śpieszą się. Pracują, kiedy chcą i kiedy pozwalają im na to dzieci. Bo co by nie powiedzieć, są jednak absorbujące.

Dzieci jest sześcioro: Ania, Gucio, Ignaś, Ewunia, Antoś i Michaś. Pierwszą trójkę urodziła Joanna, następną — Ewa. No i jest jeszcze Jachu, którego matką jest Magda. Wszystkie wychowywane są razem jak przykładne rodzeństwo. I tak też się wzajemnie traktują. Bez żadnych oporów. Zupełnie naturalnie. Jak w rodzinie.

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

Ludzie nieraz dziwią się: jak to właściwie jest? Tyle dzieci, dwie matki, jeden ojciec... Co to za dom! A to zupełnie nie tak. Po pierwsze Jurek nie jest ich ojcem. Jurek, to po prostu Jurek. Tak zresztą do niego mówią. Jak były mniejsze, mówiły mu czasem: mamo. A dom... No, właśnie — co to jest w ogóle dom? Bo od tego chyba trzeba by zacząć.

Ludzie mówią: **mam** dom, **mam** żonę, męża, **mam** dzieci... Choć nieświadomie, podkreślają swój stan posiadania. Zupełnie jakby mówili o rzeczach, a nie kimś bliskim, z kim się powinno **być**. Niby nic takiego, a różnica — ogromna. Nie można więc na przykład powiedzieć, że Jurek ma dwie żony: Ewę i Joannę. On z nimi po prostu jest. Kto tego nie rozumie, nie zrozumie nic więcej. I nie warto mu nawet wyjaśniać, słyszę. To trzeba czuć w sobie, jak czuje się właśnie dom. Nie — budynek, mieszkanie, zgromadzone w nim sprzęty. Dom, prawdziwy dom.

Pewnego dnia wybrali się wszyscy do lasu, gdzie wieczorem mieli rozpalić ognisko. Niestety, zabrakło zapałek i dzieci były bardzo zawiedzione. Zmęczywszy się bieganiem, chciały koniecznie wracać do domu. Ale zapytane, co to jest ten dom, nie bardzo potrafiły powiedzieć. Kiedy następnym razem mimo padającego deszczu udało się jednak ognisko rozpalić i usiedli wokół niego, dzieci szybko uznały, że dom, to ogień, to bijące od niego ciepło. Usłyszały też wtedy, że dom, to nie żaden konkretny budynek, czy miejsce, że dom każdy nosi w sobie. I — chyba — zrozumiały.

W ogóle z dziećmi jest łatwiej niż z dorosłymi. Są szczere, spontaniczne, naturalne. Przyjmują wszystko wprost, nie doszukują się w niczym żadnych podtekstów, aluzji. Nie dziwią się, że Jurek nosi włosy splecione w długi warkocz, chodzi w długich butach, długo śpi. Że razem z Ewą i Joanną — w wolnych chwilach — malują wspólnie jeden obraz. Że nie używa zegarka; choć „ma w domu" dwie kobiety, często sam przygotowuje sobie posiłki; choć gotuje też dla wszystkich; lubi nocą chodzić po lesie. Że jest, jaki jest. Można dowolnie je kształtować jak bryłę gliny, którą rzeźbiarz przeobraża w dzieło sztuki.

Dorośli już tego nie potrafią. Brak im ufności, otwartości. Wszystko zdążyli już sobie poszufladkować i jeśli coś nie pasuje do żadnej z szufladek, odrzucają to, odpychają od siebie, wyszydzają, niszczą. Jakby „inny" znaczyło: „gorszy", „bezwartościowy", „nieprzyzwoity". Nieraz nawet — bliscy znajomi, zdawałoby się, przyjaciele. Nie umieją zrozumieć najprostszych rzeczy. Mijają się z życiem. Przekazują fałszywe wiadomości.

Dlaczego ludziom tak trudno porozumieć się z sobą? Dlaczego wciąż oddalają się od siebie? Zwłaszcza ci z dużych miast. Bo na wsi jest trochę inaczej. Tu znacznie łatwiej o bezpośredni kontakt z naturą, z drugim człowiekiem. Tu także łatwiej zajrzeć do własnego wnętrza, poznać samego siebie, a to jest przecież sprawa pierwszorzędna. Nauczyć się żyć w zgodzie ze sobą. Mówią o tym wszystkie chyba religie i systemy filozoficzne Wschodu. Tradycyjnie wychowani w kręgu kultury śródziemnomorskiej, częstokroć w ogóle nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo jest to ważne. Nie korzystamy ze wschodnich mądrości, nie znamy ich, a jeśli już, to w minimalnym stopniu. Szkoda, naprawdę szkoda. Ewa, Joanna i Jurek nie mają co do tego żadnych wątpliwości.

Nieraz pytano ich, dlaczego wybrali wieś, sugerując, iż życie w mieście jest łatwiejsze. Oczywiście, miasto stwarza może więcej różnych możliwości, ale w sumie, jak się głębiej zastanowić, dla nich, dla dzieci... To przecież na wsi wszystko jest prostsze, bardziej autentyczne, pełniejsze. Bliskość przyrody, bliskość drugiego człowieka, bliskość prawdy. Przez ostatnie lata przekonali się o tym aż nadto. I dlatego pozostaną w Sudetach, dalej szukając swego miejsca.

Najchętniej kupiliby konia, cygański wóz, jeździli z wioski do wioski, jak dawne trupy wędrowne, dając przedstawienia. Taki teatr plastyki, muzyki, ognia. Niepowtarzalne wydarzenia artystyczne, w których dziełem sztuki byliby przede wszystkim oni sami, ich słowa, czyny — ich życie. W tym celu to się jeszcze nie udało, ale w przyszłym... Niestety, już tylko w czasie wakacji, gdyż Ania musiała pójść do szkoły. Myśleli o tym od dawna i, mówią mi, zrobią tak, zrobią na pewno. A na razie trzeba się jakoś przygotować do zimy. Choć pogoda jeszcze ładna, coraz bardziej jednak dmucha.

■

# Oaza

**JACEK BINKOWSKI**

## MIEJSCE

Właściwie bardzo konkretne. Kilkanaście kilometrów od Rzeszowa. Zabajka koło Głogowa Małopolskiego. Ośrodek Jeździecki. Konie. Las. I oni, w kilku domkach kampingowych. Bardzo zimno, czasami w nocy musieli spać w ubraniach przykryci kilkoma kocami. Bywało i tak, że w czasie deszczu woda przeciekała przez nieszczelne ściany nowiutkich, pachnących jeszcze żywicą kampingów. Prymitywna kuchnia i stołówka, w której przyrządzają sobie śniadania i kolacje. Bardzo wytworne i urozmaicone, a tak naprawdę szalenie proste. Z pomysłem.

Gdyby spytać ich inaczej o miejsce, w którym się znaleźli, określiłaby je oaza poczucia bezpieczeństwa, miłości i przyjaźni. Poczucie bezpieczeństwa, to znaczy świadomość tego że jest się akceptowanym, otoczonym opieką. O nie, nie taka ciepła, domową; ale pełną wrażliwości. Prawdziwe poczucie bezpieczeństwa jest albowiem wtedy, jeżeli w człowieku rodzi się świadomość, że ma prawo prosić o to, co mu jest naprawdę potrzebne. Kiedy się tego nie wstydzi.

Natomiast prawdziwa miłość i przyjaźń między ludźmi jest wtedy, kiedy przebywa ze sobą pewna grupa o różnych poglądach o różnych filozofiach i różnym stosunku do życia, a jednak wszyscy potrafią się porozumieć i wzajemnie sobie coś dawać, jeżeli akceptuje się człowieka takim, jakim jest.

Tak mówi Monika. Tutaj jest jej dobrze, ponieważ nie czuje się samotna. W świecie, w którym żyje na co dzień; w Łodzi chociażby; ludzie nie potrafią okazywać sobie miłości. Owszem, jedni są bardziej dobrzy, drudzy mniej, ale to wszystko jest bardzo zewnętrzne, to przeważnie zwykłe gesty. Tutaj natomiast Monika czuje że wszystkie odruchy są spontaniczne i naturalne. Może dlatego, że każdy robi to na co ma ochotę. Owszem, podporządkowują się pewnym prawom i zasadom współżycia, ale mogą wartościować. To bardzo ważne.

Monika czuje się więc dobrze, bo jest przekonana że w jakimś sensie nauczyła się żyć. Uważa, że w miejscu, w którym się znajduje można nauczyć się nie bać ludzi. Można nauczyć się dawać miłość i przestać się bać ją brać.

Dorota poza tym, że nauczyła się kochania i sprawiania sobie i innym przyjemności, twierdzi, że człowiek przebywający przez jakiś czas w takiej jak ta grupie przeżywa wspaniały moment poznawania samego siebie.

Przez dwa tygodnie byli jakby zamknięci w rezerwacie, a jednak wolni i nie samotni.

## CZAREK

Prowadzi już po raz trzeci tego typu obóz. Przez trzy lata starał się zrozumieć, czego potrzeba ludziom, żeby mogli być sobą. Obserwował; co im potrzeba, żeby funkcjonowali bez narzucania czyjejś woli.

Powie:

— *Wszyscy musimy nauczyć się akceptować człowieka takim jakim on jest. Jeżeli ktoś jest złośliwy, to nie musi wcale udawać, że jest dobry i opanowany. Jeżeli ktoś jest leniwy, to niech nie udaje, że jest pracowity. Najpierw trzeba więc odblokować swoje zahamowania i strach przed prawdą. Z doświadczenia wiem, że dopiero wtedy każdy będzie mógł wybrać to co będzie chciał; wtedy dopiero każdy może znaleźć swoje miejsce i robić to, czego najbardziej potrzebuje. Może pójść do lasu, pograć w brydża, albo w piłkę, pojeździć konno. Nie było u nas takiej sytuacji, że ten, kto nie był z grupą był sam.*

Czarek nauczył się, że nie wolno ludzi do niczego zmuszać. Jeżeli chcą brać udział w zajęciach i treningach — to biorą, jeżeli nie — robią co innego. Przymus pozbawia sensu każde ćwiczenie, każdy trening.

Czarek twierdzi, że nie ma zamiaru nikomu pomagać i tego nie robi. Zawsze zajmuje się samym sobą. Jeżeli ktoś ma ochotę skorzystać z tego co on robi — to korzysta. Ale nie ma to nic wspólnego z zamierzoną pomocą. To tylko interpretacja kogoś z zewnątrz.

Bardzo często w czasie dwutygodniowego pobytu zdarzało się tak, że tylko Czarek o świecie brał udział w medytacji w ruchu. I dobrze. Jeżeli oprócz niego ktoś chciał jeszcze pozbyć się agresji — to mógł ćwiczyć razem z nim. Jeżeli nikt z uczestników obozu nie miał takiej potrzeby — to również w porządku.

— *Nie chcemy również poddawać się jakimkolwiek schematom* — powiada Czarek. — *Z reguły nie jadamy mięsa kiedy jednak zrobiliśmy sobie, ze względów zdrowotnych, trzydniową głodówkę, to po tych trzech dniach, żeby nie popaść w żaden schemat postanowiliśmy zjeść kurczaka. Akurat w tamtej chwili mieliśmy na to ochotę...*

## KONIE

Zdecydowali się na naukę jazdy konnej po rozważeniu innych propozycji. W grę wchodziły jeszcze skoki spadochronowe oraz pływanie. Okazało się jednak, że spadochroniarstwo jest uzależnione od stanu zdrowia, pływanie natomiast jest za łatwe.

Okazało się, że nauka jazdy w siodle jest szalenie ważna przy poznawaniu samego siebie.

— *Ludzie mają bardzo różne wyobrażenie o sobie, wydaje im się, że są odważni i bardzo sprawni. I nagle spotykają się z sytuacją, kiedy muszą to natychmiast pokazać* — mówi Czarek. — *Obserwując innych ludzi w siodle można bardzo dużo się o nich dowiedzieć. Już po pięciu minutach jazdy zapomina się o swojej masce, zostaje ona natychmiast zrzucona i widzi się człowieka, takim jakim jest naprawdę. Na koniach można idealnie sprawdzić całą psychikę; przekonać się czy ktoś jest łagodny, czy agresywny, czy się boi, jakie ma kompleksy.*

Dorota, dzięki konnej jeździe, zrozumiała, że jej możliwości nigdy nie były odkryte do końca. Nigdy nie doceniała swojej energii, swojego potencjału, który zmuszona była tutaj wykorzystać. Przełamując swój strach przed jazdą konną, a właściwie przed perspektywą upadku, pozbyła się jednej ze swoich słabości.

— *Jest jeszcze we mnie sporo lęku, ale zdaję sobie już sprawę z czego on wynika. Dlatego to wszystko jest bardzo wspaniałe* — konkluduje Dorota.

Dla Marioli jazda konna jest doskonałą nauką koncentracji.

— *Człowiek jest owładnięty straszną ilością różnych myśli, które go rozpraszają. Jazda konna ukierunkowuje myśli. Będąc na koniu najważniejszą dla mnie sprawą jest myślenie, żeby z niego nie spaść, mogę więc wyzwolić się od innych problemów. Żeby żyć spokojnie, bez stresów — konieczne jest pozbawienie się natłoku myśli.*

Przemek porównuje jazdę konną do sztuki walki. Można mieć doskonale opanowaną technikę, można znać wiele metod i sposobów ataku i obrony, ale to za mało. Zrozumiał to, kiedy po raz pierwszy spadł z konia pędzącego w galopie.

— *Najważniejszą sprawą jest myśleć tylko o jednym. W czasie walki też przychodzą różne myśli do głowy; żeby chwilę odpocząć, żeby coś zjeść albo się napić. Jazda konna świetnie to odbrązuje, kiedy przez moment przestaje się myśleć o koniu i umysł się dekoncentruje — spadamy na ziemię, pod kopyta...*

Obok reebertingu, medytacji i treningów polegających na przepływie energii uczyli się więc poznawać samego siebie, wyzwalania od stresów i odblokowywania napięć — jeżdżąc konno. Po dwóch tygodniach każdy potrafił już utrzymać się na koniu pędzącym w galopie.

## POWRÓT

Dorota, co prawda, nie czuje strachu przed powrotem, ale ma pewne obawy. Nie jest do końca przekonana czy to czego się tutaj nauczyła zostanie właściwie przyjęte przez innych ludzi, przez środowisko, do którego wraca. Być może inni będą odczytywać jej potrzebę robienia tego, na co ma ochotę, jako atak. Ona jednak jest przekonana, że to co było tutaj najpełniejsze, najwartościowsze i najpiękniejsze przeniesie w inną rzeczywistość. W tę, w której żyje na co dzień.

Tak samo Monika:

— *Jestem prawie pewna, że po powrocie, bo jest to właściwe określenie, będę w stanie przenieść układy, jakie się tutaj wytworzyły między ludźmi w swój świat, do swojego środowiska. Myślę, że będę potrafiła być dobra również w „tamtym świecie"; myślę, że będę potrafiła dawać miłość ludziom, których tam spotkam, podobnie jak to robiłam tutaj. Myślę wreszcie, że będę lepiej rozumiała ludzi, nie będę się „jeżyła" na widok pewnych gestów i zachowań.*

Monika nauczyła się bowiem cierpliwości i tolerancji. To jej na pewno pomoże wrócić.

■

PS. Materiał zebrałem na obozie taoistów — członków Klubu Miłośników Dalekiego Wschodu z Łodzi.

# Anastasis

JACEK SAWASZKIEWICZ

(9)

**XI** *»Tam, gdzie zawodzi sumienność kronikarza, tam fortunnie przychodzi mi z pomocą moja pamięć. Z ostatnich dni pobytu w Zakładzie Rewalidacji Psychicznej przypominam sobie dwa zdarzenia. W jednym z nich uczestniczyłem biernie: leżałem słuchając opowieści Heinza Vogla, przy czym słowo „leżałem" wypada tu uściślić, aby nie stwarzać obrazu faceta wygodnie spoczywającego na tapczanie — ja się kuliłem na spoconej pościeli, ujając w apatycznym otępieniu, że jakieś litościwe siły wydobędą spode mnie skłębione fałdy pledu, które uciskały mi żebra. Heinz snuł swą opowieść przez głośnik w stoliku nocnym, choć nie uruchomiłem radiofonii wewnętrznej. Opowiadał o genezie projektu pierwszej podróży międzygwiezdnej, o licznych wariantach tego projektu, o nieudanych próbach skompletowania załogi.*

*— Starzy piloci przechodzili w stan spoczynku — mówił — natomiast Ośrodek Kosmicznych Statków Załogowych opuszczali młodzi i natychmiast ich karty włączaliśmy do programu „Syriusz". Centrala Analityczna niezmiennie odpowiadała, że z zarejestrowanych nazwisk nie da się wyłonić składu osobowego o współczynniku 0,95, który uznano za optymal-*

*ny. W najlepszych latach wynosił on 0,83, 0,84, raz nawet osiągnął 0,86, ale nigdy nie przekroczył 0,90. Tymczasem „Radix" krążył po orbicie okołosłonecznej i czekał na swoją załogę. Był ciągle modernizowany, konserwowany, pucowany. I tak ten projekt to zdejmowano z półki, to go na nią odkładano, żeby po paru miesiącach znów po niego sięgnąć...*

*„Człowiek pracując w kosmosie rozwija jedne zdolności, zaniedbuje inne, zmienia się... Wszystko to nanosiliśmy na karty personalne, żeby komputery na bieżąco znały stan naszych sił. Pięć lat temu, kiedy ty, twoja obecna żona, Jurg Hoeström i Fred von Neheim wróciliście z „Titanii" Centrala Analityczna skreśliła wasze nazwiska, oprócz nazwiska Leslie, z listy czynnych pilotów. Ale ta sama Centrala Analityczna prowadziła drugą listę, tajną, sygnowaną kryptonimem „Syriusz". I z tej listy waszych nazwisk nie skreśliła, przeciwnie, opatrzyła je symbolem „rp": „rokowanie pomyślne". Mike, ten symbol pojawił się wtedy na wydrukach komputerowych po raz pierwszy. Wyobrażasz sobie ekscytację w Departamencie? I co dziwniejsze, na tej drugiej liście, przy symbolu „rp", znalazło się zalecenie: „wydać zakaz dalszych lotów". Z tym nie miano kłopotów, zwłaszcza że ty i Jurg Hoeström paliliście się do emerytury, a Freda von Neheima trzeba było oddać pod opiekę psychiatrów. Jedyny kłopot mogła nam sprawić Leslie; no, ale szczęśliwym trafem postanowiła zostać przykładną panią domu... zgodnie zresztą z przewidywaniem naszej Centrali Analitycznej...*

*...Potem nastąpił okres wyczekiwania. Jurg Hoeström jeździł po świecie jako czołowy piewca idei głoszonych przez sektę „Zjednoczonych z Kosmosem". Fred von Neheim przebywał na leczeniu zamkniętym, a Leslie i ty... sam wiesz. My ze swej strony... No cóż, stawka była wysoka, więc roztoczyliśmy nad wami dyskretną opiekę.*

*...Ta sytuacja trwała do śmierci Nevella i Epsteina na Trytonie. Po zebraniu danych i wepchnięciu ich w komputer, kiedy przyszło do typowania członków wyprawy ratunkowej, Centrala Analityczna wśród piętnastu zestawów nazwisk podała nazwisko twoje i twojej żony. A na osobnym tajnym wydruku cofnęła dla was obojga zakaz lotów zalecając wyznaczenie was do udziału w tej wyprawie. Niewtajemniczeni pracownicy Ośrodka Kosmicznych Statków Załogowych protestowali przeciwko waszym kandydaturom, w końcu jednak udało nam się przeforsować sprawę. I wiesz co, Mike? Po waszym powrocie z Trytona Centrala Analityczna zaproponowała pierwszy optymalny skład osobowy załogi „Radixu". Pięćdziesiąt dwoje ludzi, przy współczynniku 0,95...*

*...Ta propozycja była obwarowana kilkoma zastrzeżeniami. Zastrzeżeniami w rodzaju... No, ujmijmy to w ten sposób, że musieliśmy trochę pokierować waszym losem Twoim, Leslie, Jurga Hoeströma, Freda von Neheima i sześcioro innych pilotów. Dla Freda von Neheima Centrala Analityczna przygotowała indywidualną metodę leczenia, do pracy nad tobą komandor Bragg wciągnął Reinharda Metternicha, Emmelinę i tak dalej, i tak dalej. Po roku z tych pięćdziesięciu dwojga ludzi odpadło ośmioro, ale w sumie skład osobowy przyszłej załogi „Radixu" powiększył się do pięćdziesięciu pięciu osób o różnej specjalności, a współczynnik osiągnął wartość 0,958...*

*...Potem znowu musieliśmy czekać i wnosić poprawki... To była mrówcza, mozolna robota i często budziła w nas wątpliwości natury etycznej, ale stawka, jak powiedziałem, była wysoka. Jeżeli będziesz miał ochotę, dostaniesz od nas do wglądu wszystkie raporty i protokoły związane z programem „Syriusz". W każdym razie kiedy Centrala Analityczna sporządziła ostateczną listę członków załogi „Radixu", znalazło się na niej sześćdziesiąt osób i jedno zastrzeżenie, jeden jedyny warunek, Mike...«*

**XII** *»Drugą rzeczą, którą sobie przypominam, były pasma tapety zwisające ze ścian, zdemolowane meble, pościel rozrzucona po podłodze i to, jak chodziłem po swym lokalu siejąc zniszczenie i wzywając gnomy, aby wylazły z kryjówek i stawiły mi czoła. Klątem i przysięgałem, że całą załogę statku wyprawię do piekła.*

*— A później — wrzasnąłem — oderwę od tego pudła lustro paraboliczne, wrócę na Ziemię i wsadzę je w dupę szefowi Departamentu!*

*Właśnie wtedy zajodłowały syreny alarmowe.*

*Coś w nas, pilotach, jest z tresowanych zwierząt. W chwilach zagrożenia działamy instynktownie. Nasze reakcje trudno nazwać rutynowymi, są one raczej odruchowe. Psu Pawłowa na dźwięk dzwonka ciekła ślina, pilot na sygnał syreny alarmowej sprawdza szczelność ubioru kompensacyjnego i biegnie na wyznaczone miejsce.*

*Ale ja nie miałem na sobie ubioru kompensacyjnego.*

*Rozejrzałem się, mój wzrok padł na nocny stolik. To, co brałem za przycisk radiofonii wewnętrznej i co pełniło tę funkcję, było także kontrolką, która migotała teraz czerwonym światłem. Półsekundowe impulsy w półsekundowych odstępach i to znamienne jodłowanie syren oznaczało alarm główny.*

*Nie mogłem zahamować swych reakcji.*

*Pilot, oprócz zasadniczego ubioru kompensacyjnego, ma jeszcze rezerwowy. Przechowuje go z reguły w specjalnym pojemniku pod koją. Upadłem na kolana, zajrzałem pod tapczan i znalazłem tam ten pojemnik. Po niespełna trzech minutach zapinałem ostatnie zatrzaski. Nie było to konieczne, w trakcie alarmu nie praktykuje się tego nawet w bazach treningowych, lecz ubzdurałem sobie, że tutaj obowiązują takie przepisy, więc nacisnąłem pulsujący czerwonym światłem guzik na stoliku nocnym i powiedziałem:*

*— Pilot Mike Cesara melduje swoją gotowość.*

*Drzwi stanęły przede mną otworem. Wybiegłem przez nie w jasność świetlówek, nabierając tempa tylko po to, by krok po kroku je zwolnić i w końcu się zatrzymać, ponieważ tam, u wylotu korytarza stali oni, zdenerwowani, z niepewnymi uśmiechami na twarzach — wszyscy: Leslie, Myrna Saunders, Joseph Bragg ze swoją żoną, doktor Rettman, Reinhard Metternich i Heinz Vogel.*

*Nazajutrz pojechałem wraz z Leslie do sanatorium, skąd po sześciu tygodniach wróciliśmy do Zakładu Rewalidacji Psychicznej, aby tutaj, na tym tarasie spotkać się z przyjaciółmi przed odprawą wstępno-zapoznawczą w hotelu OKSZ, gdzie już oczekiwali nas inni członkowie załogi „Radixu" oraz przedstawiciele Departamentu.«*

**XIII** *»— Komu? — zapytał Heinz Vogel. — Komu tak współczujesz? Mike'owi? Czeka cię przykre rozczarowanie, Fred, jeśli myślałeś, że całą tę podróż odbębnisz w błogiej drzemce. Dowództwo nominalne obejmie Mike, ale w istocie dowodzić „Radixem" będziecie we czworo.*

*Fred von Neheim przeniósł posępne spojrzenie z Heinza na mnie.*

*— Wobec tego już teraz rezerwuję dla siebie miejsce po drugiej stronie twojego grobu, Mike — powiedział.*

*I uśmiechnął się. Niebywałe! W tym jego uśmiechu było mniej wdzięku aniżeli w uśmiechu maszkarona, lecz przecież zdobył się na coś, co — jak sądziłem — jest dla niego zadaniem niewykonalnym.*

*— Wiesz, Fred — odrzekłem — może byś jednak wstawił sobie te zęby.*

*— Chyba tak zrobię. Wolałbym po śmierci nie straszyć swoją gębą tych poczciwców na tamtym świecie.*

*— Nie rozumiem — odezwała się Leslie spod mojego ramienia, a jej głos zabrzmiał głucho, jak zza grobu, ponieważ przez chwilę mówiła znad szklanki właśnie opróżnionej. — Nie rozumiem, czemu wybrano akurat nas czworo. Ja zupełnie nie nadaję się do tej roli.*

*— Fred i Mike to najbardziej doświadczeni piloci z naszej kadry — odpowiedział doktor Rettman. — Ale przede wszystkim dopiero wy razem, w grupie, stanowicie naprawdę doświadczony zespół. Wasze zdolności ujawnią się już na początku podróży. Będziecie potrafili przewidzieć każde zdarzenie na wiele dni naprzód.*

*— Takie jest zdanie Centrali... — zaczęła uroczo pogodnie Myrna Saunders.*

*— Zdanie Centrali Analitycznej jest takie — przerwała jej Anneliese Bragg wstając z leżaka — że powinniśmy wreszcie pójść na ten obiad. — Szturchnęła swego męża w ramię. — Winduj się, urnie!*

*Posłusznie, choć bez pośpiechu opuszczaliśmy taras. Po raz ostatni rzuciłem okiem na park. Przypominał werdiurę — tak samo spłowiałą jak tapiserie w salonach Joan Vince.«*

*»Zakład Rewalidacji Psychicznej — „Radix"«*

KONIEC

# Występ

PIOTR KOŚCIŃSKI

Jeffrey Hamilton siedział za swoim podniszczonym biurkiem, wpatrując się bezmyślnie w przestrzeń. Do licha, od trzech dni żadnego klienta, ostatnie pięć stów wydał wczoraj. Na whisky. W prawej, dolnej szufladzie biurka leżała jeszcze opróżniona do połowy butelka. Jeffrey zastanawiał się, czy ją wyjąć; wyobrażał sobie, jak nalewa złocisty płyn do szklaneczki, połowę... no, może trzy czwarte. A potem łyk, następny i przyjemne ciepło rozchodzące się po całym ciele...

Dzwonek! A właściwie cichutki brzęczyk — Jeffrey kazał go zainstalować, gdy przypadkiem wpadła mu w ręce większa gotówka.

Nacisnął na guzik i z lewej strony biurka pojawił się trójwymiarowy obraz: piękna, blondwłosa dziewczyna, ubrana w modny, szkarłatno-czarny kombinezon. Klientka?

Pośpiesznie zdjął nogi z blatu, poprawił lekko rozwichrzone włosy i rozłożył przed sobą papiery. Pukanie.

— Proszę wejść — odchrząknął, oblizawszy spierzchnięte wargi.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu weszła jasnowłosa piękność. Jeffrey uważnie studiował rozłożone przed nim na biurku dokumenty, wreszcie podniósł wzrok. Dziewczyna rozglądała się dokoła, oglądając staroświeckie, prawie antyczne meble, które kupił za bezcen od handlarza rupieciami i sam doprowadził do jakiego takiego wyglądu.

— Pan Hamilton? — spytała.

— Tak. Słucham panią?

Dziewczyna najwyraźniej spodziewała się innego wnętrza i innego przyjęcia. Ale miał doświadczenie; wygląd jego biurka zawsze działał na klientów. Przynajmniej dawniej, w czasach prosperity.

— Pan jest... śledzio?

— Jestem prywatnym dziennikarzem — wskazał na oprawioną w ramki fotokopię licencji, wiszącą za nim na ścianie. — Proszę usiąść.

Jasnowłosa jakby wahała się jeszcze. Posłał ku niej swój uśmiech numer trzy kiedyś starannie wystudiowany przed lustrem. Miły, uprzejmy, budzący zaufanie. Dobrze, że rano się ogolił!

Usiadła.

— Przychodzę do pana w nietypowej sprawie — powiedziała niepewnie.

— Ja zajmuję się wyłącznie nietypowymi sprawami — rzekł Jeffrey z przekonaniem. — Proszę powiedzieć, o co chodzi...

— Chodzi o mojego męża, Lionela Thurstone'a — opowiadała. — Już trzeci raz przedłużyliśmy naszą umowę małżeńską, tym razem na dwa lata. Dłużej chyba ze sobą nie wytrzymamy... No więc, on zniknął. Po prostu zniknął. Wyszedł któregoś dnia rano po papierosy i nie wrócił. Wieczorem poszłam do WPDS, żeby sprawdzili... ale to nic nie dało. Nigdzie nie pojechał, nigdzie nie płacił kartą kredytową, a gotówki nie miał zbyt wiele...

— Czemu pani nie poszła do State News Police, czy chociażby do New York Times Investigation International?

Dziewczyna zawahała się.

— Wiele o panu słyszałam...

— Słucham? — dziwił się Jeffrey.

— No... jest pan świetnym fachowcem...

— Miło mi słyszeć — odparł suchym głosem Jeffrey Hamilton, przyzwyczajony, że nikt nigdy za darmo nie prawił mu komplementów. — Skoro jednak upiera się pani przy swoim zdaniu, to proszę bardzo — Nacisnął guzik na niewielkiej konsolecie i z przekaźnika ucharakteryzowanego na stary kałamarz, wysunęła się karteczka. — Sekunda programu na ogólnych kosztuje dwadzieścia. Normalnie robię najwyżej siedem... no, dziesięć minut dziennie. Cała sprawa może trwać nie dłużej, niż pięć dni. Pani płaci mi za dwa dni z góry.. plus koszty. Dwa siedemset, powiedzmy...

• • •

Pierwszy program trwał całe trzy minuty i był naprawdę świetny. Jeffreyowi udało się go wepchnąć między najlepsze reklamy SPACE PRODUCTS i - MARTIAN DRY. Jego klientka okazała się niezrównana. Tak dobra, że aż zanadto.

— Trzeba się nieco dostosować do wymogów holowizji — powiedział na pożegnaniu pani Evelyn Bishop, tak bowiem nazywała się jego klientka. — Nie jestem policjantem, a dziennikarzem. Płacę za emisję mojego programu i jeśli sprawa się uda — dostaję premię. A na to trzeba zapracować.

Jego stary kumpel Pete Gooseboy był emerytowanym dziennikarzem z NYTII. Najlepiej pracował po dwóch szklaneczkach szkockiej. Po pierwszej nie miał jeszcze ochoty, a po trzeciej potrafił najpiękniejszą dziewczynę zamienić w odrażającą ohydę. Albo na odwrót. Ot, tak sobie.

Tym razem wyszło w sam raz.

Była wspaniała. Ubrana skromnie, w ciemną sukienkę z prawdziwego materiału; w kącikach jej oczu, leciutko podmalowanych, błyszczały najprawdziwsze łzy. Pete prawie się popłakał ze wzruszenia.

„Gdzie jest mąż tej nieszczęśliwej kobiety..." — zbliżenie samych oczu, błyszczących od łez. Ostrożnie, by nie było widać całej twarzy. „Ze względu na dobro śledztwa nie możemy podać nazwiska...". Potem ulice, po których chadzał (lub mógł chadzać) Thurston; jego mieszkanie, fotel, w którym lubił siadać po pracy, wystygła fajka. Książka, otwarta na stronie w miejscu, w którym przerwał czytanie. Zbliżenie na znak zapytania...

— Premia prawie w kieszeni — myślał Jeffrey. — Byle tylko złapać tego drania.

• • •

Jeffrey Hamilton nie miał do swej dyspozycji tysięcy śledczych dziennikarzy, jak duże instytucje prywatne czy państwowe. Miał jednak sporo dobrych znajomych, jak on pracujących na własny rachunek. Przy okazji załatwiania własnych spraw szukali i Thurstona, mając nadzieję na procent od ewentualnej premii. Jeffrey niejednokrotnie sam mógł jako tako egzystować dzięki tym właśnie procentom.

Tym razem wszystko szło jak najgorzej. Bo sprawa była diabelnie trudna, choć ciekawa. Świetna była jego pięćdziesięciosekundowa wstawka o tajemniczym zniknięciu kontraktu ślubnego Bishop-Thurston z lokalnego oddziału WPDS. Po prostu tak, jakby kontraktu nigdy nie było. Urzędnik WPDS tłumaczył się mętnie, mówiąc, że to niemożliwe, że takie rzeczy się nie zdarzają. Ba, groził konsekwencjami za „podawanie nieprawdziwych faktów" w razie opublikowania zarzutu o zaginięciu dokumentów.

Mimo trudności Jeffrey odnalazł wreszcie ślad zaginionych papierów. Mógł je mieć szeryf z miasta Buckham, w którym Bishop i Thurston się pobrali. Ale biuro szeryfa spłonęło rok temu...

— No, nieźle, chłopie! — powiedział Harry Forest, szef programu prywatnego ogólnego kanału HV. — Tu coś ginie, tam się pali... Jeżeli szybko złapiesz tego faceta, to będziesz miał kupę forsy!

Tak. Tylko że... „tego faceta" Jeffrey za nic nie mógł znaleźć.

• • •

Czwartego dnia rano pani Evelyn Bishop powitała go w jego własnym biurze. Siedziała w foteliku i płakała. Jeffrey dotknął ostrożnie jej ręki.

— Pani Bishop...

— Panie Hamilton... ja już nie mogę!... — wyszlochała dziewczyna. — Mam już tego dosyć! — Łzy ciekły jej ciurkiem. — Nie mam już siły! Rezygnuję... — wyciągnęła chusteczkę z torebki.

— Rezygnuje pani z poszukiwań? — spytał Jeffrey.

— Tak... To wszystko ponad moje nerwy... Ta holowizja, po prostu nie do wytrzymania... — Rozłożyła ręce, chusteczka spadła jej na podłogę. Jeffrey poderwał się zza biurka, podniósł prostokątny kawałek materiału. Na ziemi pozostał skrawek papieru. Jeffrey machinalnie zgniótł go w palcach.

— Zwrócę panu wszystkie koszty... — wyciągnęła książeczkę czekową.

Po jej wyjściu Jeffrey Hamilton siedział przez chwilę za biurkiem, mieląc w ustach przekleństwa. Wszystko na nic! Przepadła premia, nie mówiąc o rozgłosie i ewentualnych nowych klientach...

Ze złością miął papierek, który wypadł z torebki pani Bishop. Zmiął, a potem machinalnie go rozwinął... Czerwone literki, najpierw płaskie, zrobiły się trójwymiarowe, zmieniły odcień na pomarańczowy, lekko migocący.

**LACRIMEX**

Tabletki powodujące płacz.
Uwaga! Wyłącznie dla upoważnionych!
Niżej, mniejszymi literkami:
Ośrodek Medyczny Związku Aktorów Zawodowych.

• • •

Jeffrey Hamilton spojrzał na zegarek. Staroświecki, z okrągłym cyferblatem i trzema wskazówkami. Była dziewiętnasta pięć.

Położył nogi na biurku i podniósł do ust szklankę napełnioną złocistym płynem. W biurku stały dwie pełne butelki. Miał przy tym miłą świadomość, że już następnego dnia będzie mógł kupić cały karton.

Nacisnął na guzik i zza drzwiczek dwudziestowiecznej szafki ukazał się ekran holowizora. Na ekranie widać było płynącą w przestworzach wannę, otoczoną obłokami piany i napis: **„NAJLEPSZY SPOSÓB NA UMYCIE SIĘ W KOSMOSIE..** zaopatrz swój statek kosmiczny w nową **WANNĘ** wytwarzaną przez **SPACE PRODUCTS!**

A potem postać spikera na tle olbrzymich, kolorowych liter:

**WIADOMOŚCI CO GODZINA**

„Co się stało z Lionelem Thurstonem? Pamiętają państwo sensacyjne poszukiwania zaginionego prowadzone przez słynnego Jeffreya Hamiltona. (Jeffrey skrzywił się. Za „słynnego" policzą mu ze 3 proc. premii). Dziś sąd skazał niejaką EVELYN BISHOP na pół roku aresztu w Mars Penitentiary Colony za wprowadzanie w błąd urzędnika państwowego. Zgodnie z ustawą Minckle-Crowforda, prywatny dziennikarz w trakcie swej pracy ma uprawnienia urzędnika państwowego. Evelyn Bishop ukończyła szkołę aktorską i poprzez to oszustwo chciała zyskać co najmniej dwadzieścia minut występów w holowizji, co uprawniałoby ją do ubiegania się o wielką rolę w filmie „Kapitan Zoom na planecie Hoyttyhx". — Jak wiadomo, o występy w telewizji dla młodych aktorek niełatwo — powiedział spytany przez nas prezes Związku Aktorów Zawodowych, Harry Crant — ale to nie upoważnia nikogo do działalności niezgodnej z prawem".

— Po co aktorzy — mruknął Jeffrey. — Prawdziwych historii wystarczy dla wszystkich. Jak trzeba, znajdę i prawdziwego kapitana Zooma...

## 1 Nagle zastępstwo

# Producent makulatury

Ekonomistę — cybernetyka Jacka A. spotkałem tym razem w księgarni: notował coś w notesiku nic jednak nie kupował.

— Rozumiem — zaczepiłem go — do księgarni chodzi się nie tylko, żeby kupić książkę. Wpada się też, żeby po prostu popatrzeć po półkach. Ale co ty notujesz?

— Notuję, jak długo niektóre książki zalegają półki. Ponieważ książki są drogie, opracowałem taką metodę — kupuję je dopiero wtedy, kiedy zostaną przecenione. Oczywiście taka metoda zawodzi, gdy chce się kupić bestseller. Ale ja kupuję także sporo takich właśnie, które leżą sobie na półkach. Wykorzystuje fakt, że książkami handluje się u nas jak pietruszką. Za to pietruszką — jak książkami!

— ?

— Tak, książki się przecenia tak gdzieś po roku, choć przecież nic nie straciły ze swej wartości. Natomiast pietruszki kierownik państwowego sklepu nie może przecenić samowolnie. Toteż zdarza się, że warzywa więdną...

A propos. Czy słyszałeś, że nareszcie dokonaliśmy wielkiego skoku w dziedzinie skupu i wykorzystania makulatury? Tak, tak, mój drogi, jak tak dalej pójdzie to może nawet zbliżymy się do rozwiązania największego problemu ekonomicznego czterdziestolecia. Jest to problem skupu opakowań szklanych, prawdziwy węzeł gordyjski!

— Wydaje się, że jednak mamy większe problemy...

— Słusznie mówisz, wydaje się. W rzeczywistości sprawa skupu butelek jest o tyle ważniejsza, że jest problematem modelowym. Jak w soczewce skupia się w nim wszystko, co jest typowe dla naszego systemu cen, operatywności handlu itd. To prawdziwy model funkcjonowania obrotu towarowego. Mało tego. System skupu butelek ewoluował także w łatwej do uchwycenia zależności od przełomów politycznych. Doskonale pamiętam, że po raz pierwszy butelki zdrożały po roku 1956. Wtedy także skup prowadził każdy sklep spożywczy. Po jakimś czasie wprowadzono ograniczenia, specjalne punkty skupu itp. Do nowej odwilży...

— A ostatnio znów odsyłają do punktów skupu!

— Ja tego nie powiedziałem. Zresztą, nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Jestem zdania, że reforma gospodarcza jest w stanie udźwignąć ten problem. Poczekajmy. Wróćmy raczej do makulatury. Otóż jestem zdania że nie tyle formy skupu się poprawiły ile nastąpiła zdecydowana zmiana na lepsze w dziedzinie produkcji makulatury. Dobre i to. Pierwszy z brzegu przykład: Coraz rzadziej kupujesz bilet kolejowy w formie małego kartonika. Zastępuje go solidny kawał papieru, wypełniony przez kasjera. Albo na przykład w sferze usług. Spółdzielnia „Elektromont" w Łodzi zajmuje się między innymi naprawą domowego sprzętu elektrycznego. Jeszcze parę miesięcy temu kiedy odniosłem do reperacji odkurzacz, dostałem mały świstek z pieczątką, a przyjmujący tę naprawę pan elektryk zanotował moje nazwisko w zeszycie. A przed miesiącem zaniosłem do punktu usługowego żelazko. Pan elektryk zasiadł za biurkiem, wyciągnął dwie płachty papieru formatu A-4 i spisał ze mną formalną umowę w dwóch egzemplarzach! Spółdzielnia „Elektromont" stara się jak może i już odnotowała poważne sukcesy w produkcji makulatury, która tak jest nam potrzebna i stanowi naszą nadzieję na przełamanie kryzysu papierowego!

— Ależ to absurd!

— Pozornie tylko. Makulatura jest nam potrzebna? Jest, nawet bardzo potrzebna. „Elektromont" produkuje ten deficytowy artykuł? Produkuje. I chwała mu za to. Im większy format druków, im większa ilość kopii, tym więcej makulatury, tym więcej surowca dla naszych papierni, tym więcej książek i zeszytów dla naszej młodzieży, która przyszłością narodu jest!

Słowa mego przyjaciela nie dawały mi spokoju. Tak czy inaczej, nie można im odmówić logiki. Oczywiście! Spółdzielnia Pracy „Elektromont" jest dobroczyńcą naszych milusińskich, ani słowa!

Na wszelki wypadek podaję adres zarządu Spółdzielni: Łódź, ul. Świerczewskiego 70. Może jakaś szkoła, ot choćby najbliższa, Szkoła Podstawowa nr 150 przy ul. Żwirki zechce wyrazić osobiście wdzięczność Zarządowi Spółdzielni „Elektromont". Pana prezesa na pewno wzruszy delegacja dzieciaków z kwiatkami...

ANDRZEJ KAROL

## 2 Lewym okiem

# Czy otwierać tę furtkę?

Dzień, poświęcony pamięci o zmarłych, kieruje naszą myśl w stronę spraw ostatecznych, z natury smutnych, a jednocześnie nieuniknionych. Stąd również uwagi tego felietonu — niewesołe, ale drażące mnie już od dawna.

Od dłuższego czasu czytuje się tu i ówdzie głosy o tym, czy trzeba i warto żyć za wszelką cenę, a także — czy trzeba i warto za każdą cenę każde życie ludzkie podtrzymywać w każdej jego formie, choćby najbardziej szczątkowej.

Znakomity uczony, Tadeusz Kotarbiński, pisze w swych pięknych „Medytacjach o życiu godziwym" tak: „Dojrzewa od lat problem eutanazji w ogóle, a eutanazji dobrowolnej w szczególności. Nie tylko nie przeszkadzać bezwzględnie i wszelkimi sposobami osobom, które po rozumnym namyśle chcą przyśpieszyć koniec własnego bytu i wyzwolić się z nieuchronnej udręki, lecz przeciwnie, okazać im w tej mierze życzliwą pomoc prawną i techniczną. Niechże nauczy nas wszystkich medycyna, jak to robić, a pono można to robić nie tylko bez męczarni, lecz nawet z poczuciem euforii. Dojrzewa również przeświadczenie, że dobrowolne umyślne zakończenie własnego życia w warunkach eutanazji zdobędzie sobie uznanie jako forma końca najbardziej godna ludzi rozumnych..."

Medytacje profesora Tadeusza Kotarbińskiego, u którego na wykładach siedzieliśmy nie raz na podłodze, bo normalnych miejsc było zawsze za mało, nazwałem pięknymi, a przecież myśli zawarte w cytowanych wyżej zdaniach nawet jeśli je uznać za filozoficznie konsekwetne i kryjące cień jakiejś ostatniej nadziei uwolnienia się od nadmiernych cierpień — budzą wiele sprzeciwów i napawają grozą. Profesor uważa za pożądane „okazać życzliwą pomoc prawną i techniczną osobom, które po rozumnym namyśle chcą przyśpieszyć koniec własnego bytu." Taka osoba musiałaby więc chcieć i zawiadomić „życzliwych" o swoim chceniu. Jak to zawiadomienie miałoby wyglądać? Kto i w jaki sposób mógłby ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, że wyrażona chęć samozagłady jest lub była naprawdę dobrowolną, własną chęcią, nie zasugerowaną przez nikogo, nie wymanipulowaną przewrotnymi działaniami otoczenia, nie wymuszoną przez niecierpliwych spadkobierców? Dalej: jak sprawdzić czy decyzja samozagłady podjęta została „po rozumnym namyśle"? Przecież w stanie silnego afektu człowiek podejmuje nieobliczalne decyzje, których za moment żałuje, za które nawet nie odpowiada. Przecież chęć samozagłady byłaby równie groźna jak chęć morderstwa, o którym nigdy do końca nie wiadomo, czy zostało dokonane w afekcie", czy po „rozumnym namyśle" Obie te decyzje — morderstwa i samobójstwa — są jednako nieodwołalne, czy zatem jednej z nich pomagać „prawnie i technicznie"?

Oprócz afektu wiele jeszcze innych czynników wpływa na to, że „rozumny namysł staje się kategorią wielce niepewną: silny ból fizyczny zażycie niektórych leków, alkohol, niewyspanie, reakcja po wielkim zmęczeniu lub emocji, a także tysiące różnych upośledzeń fizycznych i psychicznych, nie stanowiących przeszkody w życiu społecznym, a przecież stymulujących jakoś procesy myślowe człowieka. Strach pomyśleć, że na jeden głos z głębi tej dżungi, jaką jest świadomość i podświadomość ludzka, ktoś „życzliwy" prędko podbiegł i ułatwił „technicznie" zejście człowieka ze świata, czyli po prostu uśmiercił go „z poczuciem euforii".

Jeszcze większa groza ogarnia mnie, gdy pomyślę, że samobójstwo (także takie przy pomocy „życzliwych") miałoby być uznane za „koniec najbardziej godny ludzi rozumnych". W atmosferze społecznej, cechującej się takim uznaniem, każdy człowiek słaby, chory i stary musiałby czuć się jednostką nierozumną, pasożytem, wredną plamą na radosnym obrazie świata. Współczucie musiałoby ustąpić miejsca pogardzie dla tych, co zwlekają z położeniem kresu swej marnej egzystencji. Bardzo łatwo byłoby grać na ambicji niepożądanej (bo nieproduktywnej, przeszkadzającej w czymś lub po prostu nie lubianej) osoby: przynaglać, zachęcać do podjęcia owej „rozumnej" decyzji, naciskać moralnie i przymuszać. Mogę sobie łatwo wyobrazić taki terror psychiczny i jestem pewien, że zamiast wzywać pogotowie do chorej babci, wnuczek mówiłby po prostu: jesteś przecież mądra, babuniu, umrzyj i już.

Nie ulega wątpliwości, że otwarcie jednej malutkiej furtki w fundamentalnej zasadzie nadrzędności życia jednostki ludzkiej otworzyłoby drogę do masowych nadużyć, do masowego pozbywania się jednostek niepożądanych, takich, których istnienie komuś się „nie opłaca". Zalążki takiego „ekonomicznego" myślenia tu i ówdzie już się odczuwa, a praktyczne skutki widzieliśmy w hitlerowskiej Rzeszy.

Boję się, tak jak wszyscy, nadmiernych cierpień i życia niewartego tej nazwy. Nie chciałbym jednak, żeby ktoś w jakimś bardzo złym momencie przyszedł i „życzliwie" mi szepnął: Powieśże się wreszcie, człowieku! Ja ci pomogę! Wszyscy cię będziemy podziwiać...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

## 3 U fryzjera Nieregularnik felietonopodobny

# Regulamin

Tak się pechowo złożyło, że w zeszłą środę w zakładzie pana Franciszka nie zastałem ani Inżyniera, ani Literata, ani Starszego Referenta, ani Działacza, ani Dyrektora... Słowem, nikogo, do kogo można by otworzyć gębę. A że mistrz tego dnia też był jakoś dziwnie małomówny i kłapał prawie wyłącznie swoimi nożyczkami, siedząc w kolejce, zacząłem z nudów czytać informacje z serii „Co klient wiedzieć powinien", wypisane na niewielkich tabliczkach umieszczonych w dobrze widocznym miejscu, aby każdy mógł się bez trudu zapoznać z ich treścią.

Pierwsza tabliczka informowała mnie, że „Zakład świadczy usługi dla ludności".

Druga — że „Kredytu nie udziela się".

Następne zaś:

„Oszczędzaj światło".

„Wchodzenie z lodami zabronione".

„Fryzjerzy oraz członkowie ich rodzin obsługiwani są poza kolejnością".

„Farbowania włosów dokonuje zakład specjalistyczny przy ulicy Odległej 1849".

„Uprasza się o wycieranie obuwia"

„Choroby »W« atakują".

„Plucie na podłogę surowo zabronione".

„Peruk nie czeszemy".

„Szatnia obowiązkowa. Za rzeczy pozostawione na wieszaku zakład nie odpowiada".

„Palenie tytoniu dozwolone tylko w wydzielonych miejscach".

„Chcesz być ostrzyżony taniej — wykup roczny abonament uprawniający do 30 proc. zniżki".

„Toaleta w bramie".

„Po zejściu z fotela reklamacje nie będą uwzględniane".

„Dbając o swój wygląd, dajesz dowód obywatelskiej postawy".

„Strzyżenie za waluty wymienialne tylko w placówkach Pewexu".

„Pamiętaj, że włosy są cennym surowcem wtórnym!".

„Młodzież do lat 18 golimy do gołej skóry tylko na podstawie pisemnego zezwolenia rodziców".

„Proszę zamykać drzwi."

„Na żądanie personelu klient powinien okazać aktualne zaświadczenie lekarskie mówiące, że nie ma on wszawicy".

„Golimy brzytwą".

„Zabrania się wnosić do zakładu broni palnej, materiałów wybuchowych, przedmiotów cuchnących oraz mogących wzbudzać odrazę".

„Na pół godziny przed zamknięciem zakładu personel ma prawo odmówić wykonania usługi".

„Dzieci do lat 5 strzyże specjalistyczny zakład przy ulicy Infantylnej 12".

„Zamówień na usługi w domu klienta nie przyjmujemy"

„Emeryci i renciści za okazaniem ważnego odcinka mają prawo być obsłużeni poza kolejnością w co drugi piątek miesiąca do godz 13".

„Przerwa śniadaniowa w godz. 10,15 — 10,30".

„Zachować ciszę".

„Zajęcie fotela tylko na wyraźne polecenie personelu".

„Usługi według aktualnego cennika".

„Klient ma obowiązek odliczyć dokładną należność za usługę".

„Rachunków nie wydajemy".

„Wprowadzanie psów, kotów i świnek morskich wzbronione".

„Łysi uprawnieni są do 50 proc. zniżki".

„Skargi i zażalenia zgłaszać w terminie 3 dni od wykonania usługi w Cechu Rzemiosł Różnych, ulica Stolarska 33, pok. 94, w każdy wtorek od 8,30 do 10,30".

„W czasie okresowych trudności z nabyciem szamponu klient zobowiązany jest przynieść własny".

„Tu się pracuje".

„W wolne soboty zakład nieczynny".

„Przyjmujemy czeki".

„Uprawnieni do obsługi poza kolejnością strzyżeni są na przemian z osobami z kolejki".

„Alkohol może być przyczyną wielu groźnych chorób — minister handlu wewnętrznego i usług".

„Twoje włosy świadczą o Tobie".

„Naturystom polecamy Koedukacyjny Salon Fryzjerski przy ulicy Swobodnej 100".

„Bądź uprzejmy na co dzień".

„Klient nasz pan!".

PAWEŁ TOMASZEWSKI

## 4 Racje i relacje

Towarzyską sensacją tej jesieni — wczesnej zresztą — był ślub 2 polskich bliźniaczek z dwoma francuskimi braćmi. 12 października 1985 roku — jak podała prasa i radio — w Grenoble, w tamtejszym merostwie Dorota i Małgorzata Tlałkówny zmieniły stan i nazwisko, wychodząc za braci Christiana i Christophera Magore. Tak więc polskie Tlałkówny z Zakopanego stały się teraz paniami Magore z Grenoble. Ponoć — jak doniósł katowicki „Sport" — obie panie zamieniły krakowską Akademię Wychowania Fizycznego na Uniwersytet w Grenoble. Teraz oczekuje się, że zmienią również obywatelstwo i barwy tak klubu, jak i państwa. Zamiast reprezentować Polskę w narciarstwie będą reprezentowały Francję. I tak towarzyska sensacja stała się również sensacją sportową. A niektórzy wykrzykują nawet gromko: Skandal!!!

Lech Drapiński przy tej okazji przypomniał w katowickim „Sporcie" Stanisławę Walasiewiczównę, która przed wojną wyemigrowała wraz z rodzicami z Polski, ale paszportu się nie zrzekła i nadal reprezentowała barwy polskie, choć naciskano na nią, aby zaczęła reprezentować barwy USA. Można by też z tej okazji przypomnieć Wandę, która nie chciała Niemca, ale — jak to niektórzy powiadają — jest to legenda i nie bardzo wiadomo, czy tak było naprawdę. Dziś w każdym razie Wandy nie gardzą Niemcami oraz panami innych narodowości. Wręcz przeciwnie. Ot, i mamy nowy problem.

Wspomniany Lech Drapiński wypomniał paniom Dorocie i Małgorzacie Magore wysiłek, jaki w Polsce włożono, aby je wychować, nauczyć, wykształcić, przygotować, wypieścić, a one niewdzięczne wypięły się na to wszystko, zakochały się i wyszły za mąż za Francuzów, jakby w Polsce mało było godnych ich mężczyzn. Ba! Lech Drapiński nawet powątpiewa w miłość, sugerując niedwuznacznie, że obie panie zmieniły stan i obywatelstwo tylko i wyłącznie po to, aby reprezentować francuskie barwy i zbierać z tego powodu większe profity niż dawała im reprezentacja barw polskich. A ja sądzę, że bardzo brzydko jest powątpiewać w czyjeś uczucia, nawet jeśli czyni się to wyłącznie z pobudek patriotycznych i umiłowania polskiego sportu. A poza tym...

Niecały rok temu wysłuchałam w radio porannej rozmowy z — pannami wówczas — Dorotą i Małgorzatą Tlałkównami. Wygadywały oburzające bzdury, dając tym świadectwo swojej zarozumiałości i lekceważenia bliźnich. Dziennikarz był zachwycony. Słuchacze mniej. Jakoś nikogo z dziennikarzy nie raziła wówczas postawa polskich zawodniczek, były raczej pieszczoszkami prasy, nie tylko sportowej. I oto pieszczochy nasze kochane dały dyla do Francji, więc teraz huzia na dziewczyny. Jak śmiały?!

A tymczasem wielu polskich trenerów i to nie tylko piłkarskich pracuje w zagranicznych klubach. Wielu polskich piłkarzy emigrowało czasowo, aby zarobić sobie na późniejsze dostatnie życie w kraj. Na emigrację zarobkową wyjeżdżają na jakiś czas z kraju sportowcy innych dyscyplin, jeżdżą inżynierowie, docenci, technicy, lekarze i tak dalej. Jak wykazują badania socjologiczne wielu młodych marzy o tym, aby w ogóle wyjechać z Polski. No, i co? Zamiast więc wydziwiać z powodu ujawnienia się kolejnego skutku, porozmawiajmy o przyczynach i pamiętajmy, że nie wszyscy są jednacy. Oto w „Przeglądzie Sportowym" trener meksykańskich chodziarzy Jerzy Hausleber powiada: „Polakiem jest się raz i do śmierci. Szczerze powiem: chociaż bardzo polubiłem ten kraj i nauczyłem się go cenić po tylu latach spędzonych na obczyźnie stęskniłem się już za Bałtykiem i Wisłą... Powrót opóźnia jedynie mój syn. Czekam kiedy skończy studia medyczne, a nastąpi to w przyszłym roku". A więc są i tacy. Rozumiem, że wielu Polaków korzysta z szansy popracowania na Zachodzie, ale też traktują tę pracę jako okresową i nie mają zamiaru wynosić się znad Wisły na stałe. Skąd więc się to bierze u młodych? A może my w ogóle jesteśmy zbyt bezkrytyczni wobec Zachodu, zamiast ukazywać panujące tam warunki w pełni, mimo woli wyrabiamy u młodych przekonanie, że panuje tam raj i wszyscy czekają na wspaniałych Polaków, których przyjmują z otwartymi rękoma. Czyżby była to odwrotna strona polskiej megalomanii? I skutek naszej dziennikarskiej nieporadności?

Właśnie w „Życiu Literackim" Andrzej Sabatowski napisał parę przykrych słów o dziennikarstwie sportowym. Odpowiedział mu... dużym cytatem z Macieja Wierzyńskiego w „Przeglądzie Sportowym" Łukasz Jedliński. Cytat jest bronią bezpieczną i mocno rażącą. Cytuje się na ogół autorytety i wówczas, gdy nie bardzo ma się pod ręką własne argumenty. I odsuwa się meritum sporu na bezpieczną odległość. Jestem daleka od generalnego potępiania dziennikarstwa sportowego, bo i to pozasportowe nie jest bez grzechu, ale warto chyba podyskutować o tym, jak piszemy i mówimy o sporcie i co by tu zmienić i poprawić?

BOGDA MADEJ

# Wielki las

(19)

ZBIGNIEW NIENACKI

— Nie ufaj mu aż tak bardzo. I nie rób wszystkiego pod jego dyktando. Kazał ci kupić dzikiego psa i ty zaraz to zrobiłeś. Chce go oswoić głodem, a ty będziesz na to patrzył i kiwał głową. Pewnego dnia zażąda od ciebie pieniędzy i ty mu je dasz.

— Tak. I kupię mu piękną kobietę — w rozmarzeniu rzekł Horst. — Taki piękny mężczyzna powinien mieć piękną kobietę. Wtedy stąd nie odejdzie.

— Piękny? — podchwyciła z ironią. — Tak, może jest przystojny, ale jego uroda jest też taka jakaś dziwna. Prawie niesamowita.

— O tak, trafnie powiedziałaś: prawie niesamowita — ucieszył się Horst. — To prawie szatańska uroda. Bo Weroniko, szatan wcale nie jest brzydki. Zdarza się, że bywa piękny. Niesamowicie piękny.

— To są bzdury, Horście. Mówisz tak, aby mnie rozgniewać. Widziałeś jego zęby? Białe, równe, lśniące jak gdyby wypolerowane. Czy w tej okolicy jest ktoś z takimi zębami? Nigdy nie spotkałam w swoim życiu człowieka, który miałby tak piękne zęby.

— Tak, tak — pomrukiwał Horst.

— Poszłam sprzątać do jego pokoju, bo on go nie zamyka na klucz. Powiedz mi, czy może istnieć człowiek, który nie posiada żadnego papierka wśród swoich rzeczy? Żadnego listu, dokumentu, najdrobniejszego świstka? W ogóle ma bardzo mało rzeczy. Zagraniczną maszynkę do golenia, zagraniczny aparat fotograficzny, dwie jedwabne pidżamy bardzo chyba drogie. Zagraniczne cienkie kalesony i takie same zagraniczne skarpetki. Strzykawki i jakieś fiolki z lekarstwami. I jak gdyby dla zamydlenia ludziom oczu, zielone leśne koszule, leśny mundurek. Czy widziałeś jego garnitur? Drogi i piękny, z zagraniczną metką. To samo jego prochowiec. To samo krawat do garnitutu i dwie zagraniczne koszule. On nie jest zwykłym strażnikiem łowieckim. Coś w sobie kryje, jakąś tajemnicę, jakieś draństwo.

— Tak, tak — pomrukiwał z zadowoleniem Horst Sobota. — To nie jest zwykły strażnik łowiecki. Przecież ci to już mówiłem, Weroniko.

I aby go ostatecznie przekonać jak niebezpiecznym człowiekiem jest Maryn, przyniosła z jego pokoju dużego formatu zdjęcia, które on przywiózł teraz stamtąd, gdzie był.

— Zobacz sam i przekonaj się w czym on się lubuje — położyła fotografie na stole kuchennym przed Horstem.

Było tych fotografii chyba ze dwadzieścia. Zrobiono je w lesie i nad jeziorem. Niektóre z nich nie przedstawiały niczego interesującego, ot, na przykład, człowiek klęczący z nożem w ręku nad uduszoną w sidłach sarną. Na innym też podobny osobnik w podobnej sytuacji. Ale kilka zdjęć mogło przerazić. Jakiś człowiek mierzył w oko obiektywu z krótkiej kłusowniczej strzelby, a potem, na innym zdjęciu, ten sam osobnik był zwinięty na ziemi z twarzą wykrzywioną bólem. Obok niego leżał nóż myśliwski. I jeszcze inny człowiek z sidłami na ptaki. Twarz zakrwawiona, prawie zmasakrowana, aż trudno poznać rysy. Ale Horst go poznał.

— To Budrys. Traktorzysta. Przyjrzysz się dokładnie a go rozpoznasz. Zakładał chyba sidła na ptaki, bo tu zaraz obok jego zakrwawionej twarzy widać trzciny...

Weronika wzięła do ręki to zdjęcie i przyjrzała mu się dokładnie. Tak, to był Budrys, traktorzysta, który ją trzymał z Kuleszą i rozchylał jej uda. Nie poznała go od razu, bo na zdjęciu miał twarz całą we krwi.

— Ten przy sarnie to zdaje się Karaś, robotnik z Doliny — stwierdziła, biorąc do ręki inne zdjęcie. — A tego ze strzelbą nie znam.

Gdy znalazła w pokoju Maryna fotografie, wstrząsnął nią widok wykrzywionych bólem i zakrwawionych twarzy. Nie przyjrzała się żadnemu zdjęciu, bo były dla niej zbyt wstrętne.

— On wykonuje swoją pracę, Weroniko — wyjaśnił Sobota. — Łapie kłusowników i utrwala ich zbrodnie swoim aparatem fotograficznym. To się nazywają „dowody rzeczowe". Słyszałem, że trzeba je przedstawić sądowi. Nie jest łatwo, Weroniko, schwytać kłusownika, gdyż ma on przy sobie strzelbę i nóż. Domyślam się, że to jeden z nich poranił Maryna. Czy wiesz, co myślę o tych zdjęciach? Że on walczy z leśnymi ludźmi i to są dowody tej walki. Nieładnie robisz grzebiąc w jego rzeczach. Dobrze jednak, że mi pokazałaś zdjęcia. Powiem ci teraz, że jeśli on nawet zażąda pieniędzy, to mu je dam. Tyle, ile zechce.

Weronika wzruszyła ramionami, dając Horstowi do zrozumienia, że on nie uświadamia sobie jednak groźby, jaką niosła za sobą przyjaźń z tym obcym człowiekiem. Ale w pokoju Maryna jeszcze raz popatrzyła na wykrzywioną bólem twarz Karasia i na zmasakrowaną gębę Budrysa. To właśnie Karaś — pamięta tę chwilę bardzo dobrze — podał jej pierwszy kieliszek wódki, gdy tu przyjechała przed laty, aby sadzić młody las. A potem to właśnie Budrys zaciągnął ją pijaną w młodnik, popchnął na ziemię, zdarł jej majtki i choć broniła się (słabo zresztą, bo była prawie nieprzytomna) — wszedł w nią jak gdyby rozpalonym żelazem i wypełnił bólem. Jak przez mgłę widziała później twarz Karasia i innych, może także położył się na niej i wszedł w nią ten człowiek ze strzelbą. A gdy oprzytomniała w domu Horsta Soboty, zmyła z ud i podbrzusza zakrzepłą krew i długo bolały ją opuchnięte i otarte z naskórka wargi sromowe, paliło wnętrze podbwy. I czy to nie Budrys pomagał Kuleszy ją trzymać, rozchylił jej uda i ciekawie zaglądał między nogi? Tak, te zdjęcia były okropne, a jednak w tej chwili nie potrafiła oderwać od nich oczu, gdyż przenikały ją mściwą radością. Tym ludziom należało się to, co ich spotkało. Nie jest trudno nakłonić młodą, głupią dziewczynę, żeby się napiła wódki, a kiedy się upije, ściągnąć z niej majtki. Albo za przyzwoleniem męża chwycić czyjąś żonę pod brodę, żeby nie gryzła, przytrzymać ją, obnażyć, rozchylić jej uda. Wtedy tak bardzo pragnęła, aby przepita gęba Budrysa, którą widziała koło swojej twarzy — nie miała oczu, nosa. Sama była gotowa te oczy mu wydrapać. I oto teraz widziała zmaskrowaną twarz Budrysa, skrzepy krwi na jego twarzy, poranione wargi. Maryn rzecz jasna nie zemścił się za jej hańbę i nie musiała mu za to być wdzięczną, po prostu tak jak to powiedział Horst, wykonywał swoją pracę i zbierał dowody rzeczowe. Lecz przecież czuła mściwą radość — jedyne piękne uczucie, jakie jej było dane przeżywać od wielu dni.

Zajęła się zmywaniem naczyń, a Horst znowu poszedł do sadu. Zmęczona monotonną robotą, wspięła się na górę do swojego pokoju, który kiedyś traktowała jako zwykłe miejsce zamieszkania, swój kąt, a teraz ten pokój — urządzony dla niej przez Horsta — z jasnymi meblami, wygodnym tapczanem, półkami na wazoniki i książki, komodą, ogromnym lustrem i toaletką, z kolorowymi narzutami i barwnymi poduszkami, przepełniony zapachem perfum — wydał jej się jakimś cudownym azylem szczęścia i spokoju. Ileż to razy, gdy rozbierała się w sypialni Kuleszy i musiała się kłaść na jego skrzypiącym łóżku — marzyła, aby jakimś cudem znaleźć się w swoim dawnym pokoiku, być znowu samą, bez obecności mężczyzny i jego owłosionych dłoni pełzających po jej skórze, palców zakradających się w każdy nawet najbardziej intymny zakątek jej ciała. Teraz stało się to rzeczywistością — znowu była tutaj, u siebie, samotna i nie napastowana przez nikogo. Jej ciało należało tylko do niej.

W pokoiku na górze było gorąco od potoków wiosennego słońca. Zdjęła z siebie sukienkę, a potem — powodowana jakąś dziwną ciekawością — pozbyła się bielizny i naga usiadła na małym taboreciku przed lustrem. Rozpuszczając warkocz przyglądała się z uwagą swojemu odbiciu i szukała w nim przyczyny, która jej miłość do Kuleszy zmieniła w nienawiść, a przede wszystkim wstręt. Co powodowało, że zanim wyszła za mąż, każde niemal rzucone na nią męskie spojrzenie budziło odrazę. Podobnie jak poczuła w sobie odrazę, gdy dzisiaj, podczas obiadu ów obcy człowiek o nazwisku Maryn zobaczył jej na wpół obnażone piersi.

Czemu wstydziła się swego ciała? Lubiła przecież własną twarz, która poprzez swoją regularność, prosty nos, mocno zarysowane czarne brwi i pełne usta, wydawała się sobie nawet ładna. Lubiła też swoje gęste czarne włosy, śniade ciało o gładkiej i delikatnej skórze. Była rosła, silna, o dużych piersiach i twardych pośladkach — taką właśnie, jak jej kiedyś mówiły siostry w rodzinnym domu — musi być kobieta stworzona do pracy i małżeństwa. Powinno jej było schlebiać, że wszędzie, gdzie się znalazła — w miasteczku, na wiejskiej drodze, w autobusie — dostrzegała zachwyt w oczach mężczyzn, miała wrażenie, że męskie spojrzenia prześlizgują się po jej ciele z jakąś wielką zachłannością. Tak, to chyba owa zachłanna pożądliwość męskich spojrzeń odzywała się w niej odrazą i utrudniała zawarcie znajomości z jakimkolwiek mężczyzną, choć wielu przecież próbowało to uczynić. Szkoda, że nigdy się nie zastanawiała, co budzi ową odrazę i dopiero małżeństwo z Kuleszą, długie godziny, gdy leżała pod nim i z zaciśniętymi przez wstręt zębami powstrzymywała w sobie krzyk obrzydzenia, dopomogły jej pojąć, że na próżno szukała okaleczenia na swoim ciele i w swoim ciele. Jej kalectwo kryło się poza nią, choć zarazem było w niej, to jest w pamięci o chwili, gdy podano jej pierwszy kieliszek wódki, Budrys zaciągnął ją w młodnik, zdarł z niej majtki i wypełnił czymś twardym, dużym i bolesnym. Po prostu jakby ją rozdarł i wypalił wnętrze. A później ci, którzy wchodzili w nią tak samo boleśnie — okaleczyli ją już na zawsze. I nie miało to żadnego znaczenia, że ból wkrótce ustąpił, odrodziła się błona otartego naskórka. Bo pozostała pamięć.

Nie, nie zdawała sobie sprawy, że to właśnie coś tak dziwnego jak pamięć, zmieni jej miłość do Kuleszy we wstręt a nawet odrazę. Może winne też były po trosze jej koleżanki z technikum, filmy, które oglądała w kinie i na ekranie telewizora, książki jakie czytała? Miłość między kobietą i mężczyzną oraz ich wzajemne współżycie — miały być celem, do którego powinny dążyć istoty różnej płci. Koleżanki opowiadały o swoich narzeczonych, chciały jak najszybciej wydać się za mąż. Tak samo o małżeńskim szczęściu, o miłości dwojga ludzi — wciąż mówiono z kart książek, z filmów wyświetlanych w telewizji. Nie miała pojęcia, że jest okaleczona przez własną pamięć i przez to inna niż wszystkie, choć przecież odraza, jaką u niej budziły zachłanne spojrzenia mężczyzn winny ją uczynić podejrzliwą.

CDN

A ponieważ i teraz nic nie powiedziała, dorzucił:

— Nie lubi mnie pani, prawda?

Roześmiała się sztucznie.

— Nic mnie pan nie obchodzi. Zrobiłam obiad. Proszę przyjść do domu.

Odeszła w stronę sadu i jeziora, aby przywołać na obiad Horsta Sobotę. Była ubrana w kretonową bluzkę bez rękawów i z dużym wycięciem z przodu. Czarne włosy zaplecione miała w gruby warkocz. Szerokopleca, o pełnych biodrach i długich nogach — wydawała się Marynowi uosobieniem kobiecej siły. Drobiła kroki, ale stopy w drewnianych trepach stawiała pewnie i mocno. Po prostu wierzyć się nie chciało, że na podwórzu Kuleszy, a potem, gdy mocowała się z mężem, Budrysem i Wzdręgą, nie zauważył w niej owej siły. Może to, co działo się wtedy wokół niej, jej małżeństwo, pożycie z mężem a później historia z gwałtem, oszołomiły ją, uczyniły słabą i bezwolną?

Pomyślał, że ta kobieta nie mogła mu się podobać, ponieważ lubił wysokie, szczupłe blondynki. To dziwne, że będąc z dziwką, podniecił się jednak nie na myśl o Eryce, lecz właśnie o tej kobiecie. Zapewne nie ona jednak, tylko sama sytuacja, wyobrażenie sceny szarpaniny, obrony, obnażonego w walce ciała — spowodowały jego pożądanie. To chyba jednak prawda, że gwałt ma w sobie coś podniecającego tak dla kobiety, jak i dla mężczyzny, choć nic nie wskazywało na to, aby to podniecało Weronikę. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ponieważ historie z kobietami przychodziły mu łatwo. Odkrycie, że łamanie czyjegoś wstydu, niechęci, a nawet wstrętu — może być dla niego podniecające, zaskoczyło Maryna. Był przecież przekonany, że siebie poznał do końca, zajrzał nawet kiedyś do tego miejsca, gdzie ludzie powinni mieć duszę albo sumienie, i czegoś takiego nie znalazł. Albo po prostu nie zauważył. Bo przecież jak się okazało, lubił trochę Ivo Bundera i to „trochę" pozbawiło go dostatecznej czujności. Tęsknił trochę za Eryką i to „trochę", kazało mu pomyśleć, że być może na świecie istnieje uczucie zwane miłością. I też jak gdyby „trochę" męczyła go myśl, że wtedy, w leśniczówce Kuleszy, nie zachował się jak należało. Rzecz jasna z tym wszystkim nie miała nic wspólnego ta rosła, silna kobieta o imieniu Weronika, co najwyżej stała się pewnego rodzaju medium, przez które zaczął mocniej odczuwać siebie samego. Musiała go też zaskoczyć ta jej nagła przemiana — u Kuleszy zastrachana, cicha i słaba, a tutaj — silna, pewna siebie, może nawet zbyt wyniosła. A na dodatek — dziwnie wroga. Jak gdyby to Maryn był winien, że wziął ją siłą własny mąż.

Wzruszył ramionami i stwierdził z zadowoleniem, że pies nie wytrzymał palących promieni słońca. Podniósł się i z podkulonym ogonem pomaszerował do chłodnego kurnika. Nie ruszył się z niego, mimo że Maryn zbliżył się do siatki i nawet dotknął ją ręką.

Weronika powróciła w towarzystwie Horsta Soboty i Maryn poszedł do kuchni. Siadł przy stole i bezczelnie zajrzał w dekolt Weroniki, która wycięcie z przodu bluzki miała tak wielkie, że jej śniade piersi były do połowy widoczne. Zauważyła spojrzenie Maryna i zaraz gdzieś zniknęła; zjawiła się po chwili już w bluzce z rękawami, szczelnie zapiętej pod szyją, Maryn zaś ostentacyjnie zabrał ze stołu swój talerz z zupą i wyszedł z nim na podwórze. Pod siatką odgradzającą wybieg podsunął stary pieniek do rąbania drzewa, usiadł na nim i zaczął głośno jeść. Zapach jedzenia musiał przeniknąć do kurnika, lecz nie dał się słyszeć z niego nawet najcichszy szmer. Przeciągnął więc Maryn łyżką po drucianej siatce i wtedy z otwartych drzwi wystrzelił pies jak wielka kula sierści i mięsa. Skoczył przednimi łapami na siatkę aż ta ugięła się tuż koło twarzy jedzącego człowieka. Maryn poczuł gorący odór buchający z rozwartego pyska, usłyszał przy swojej głowie głośny charkot z psiej gardzieli.

Nie zareagował na to. Jak gdyby tuż obok po drutach siatki nie zsuwały się ogromne kosmate łapy i nie słyszał wściekłego głosu. Jadł wolno podnosząc do ust łyżkę, od czasu do czasu mlaskał głośno. Zwierzę znowu znieruchomiało za siatką, charkot ucichł — pies wdychał woń jedzenia. Miał podkulony pod siebie ogon i zjeżoną na karku sierść. Jego ciemne oczy niemal bez drgnienia powiek wpatrywały się w talerz z zupą.

Najadłszy się, Maryn wstał z pieńka i nie zwracając uwagi na psa, poszedł do kuchni. Po krótkiej chwili wrócił na pieniek z płytkim talerzem; znajdowała się na nim kurza pierś i ziemniaki okraszone tłuszczem.

W międzyczasie pies wrócił do kurnika, ale teraz już z niego nie wyskoczył jak kula. Wyszedł wolno, ostrożnie i znieruchomiał o kilka kroków od siatki. Czuł zapach mięsa, ziemniaków i tłuszczu. Duże ciemne oczy odprowadzały każdy kęs jedzenia, niesiony na widelcu — od talerza do ust człowieka. Maryn zaczął ogryzać kurzą pierś, a później powstając z pieńka, kość z odrobiną mięsa rzucił na ziemię tuż koło siatki. Pies nie mógł sięgnąć po nią łapą, lecz widział tę kość z mięsem i czuł jej zapach.

— A jednak znęca się pan nad tym stworzeniem — powiedziała Weronika, kiedy Maryn z pustym talerzem przyszedł do kuchni.

Nie odpowiedział, ostentacyjnie lekceważąc jej słowa. Ta kobieta, jak to ocenił, za mało rozumiała sprawy otaczającego ją świata, aby się tak we wszystko wtrącać. Powinna znać swoje miejsce, próbował to chyba zrobić leśniczy Kulesza, ale wybrał zły sposób. Maryn postara się o to, aby trzymała się od niego z daleka i od jego poczynań. Dlatego bez słowa opuścił kuchnię, w swoim pokoju nałożył mundur, przypasał pas z pistoletem, wziął aparat fotograficzny oraz raportówkę, osiodłał klacz i wyjechał w las. Tak po prostu przed siebie. W jego umowie o pracę zostało podkreślone, że nie ma normowanego czasu pracy — porą kłusowników był późny wieczór, noc, wczesny świt; zresztą niektórzy nie przestrzegali żadnych pór dnia i nocy.

— Nie powinnaś w ten sposób mówić do Józwy — surowo zganił Weronikę Horst. — On wie jak się powinno tresować psa. To nie są sprawy, w które możesz się wtrącać. Jeśli po pożyciu z Kuleszą drażni cię widok każdego mężczyzny, raczej idź do siebie na górę.

Te słowa Horsta jeszcze ją bardziej rozgniewały. Co miało wspólnego jej nieudane pożycie z Kuleszą z tym strażnikiem łowieckim? Nie lubiła go, ponieważ owego wieczoru w leśniczówce mógł się zachować inaczej. Upokarzała ją myśl, że musi przebywać pod jednym dachem z człowiekiem, który widział jej hańbę, kobietę taką, jaką nigdy w istocie nie była — zaskoczoną rolą żony, a przez to jak gdyby ogłupiałą, słabą i bezbronną. Tak naprawdę przecież była inna — Horst nauczył ją dumy, pewności siebie, napełnił ją wielką mocą. Przed laty przyszła do jego domu, aby w nim zamieszkać, pracować, a potem rządzić. Szkoda, że Maryn widział ją tylko wtedy, gdy szarpała się z mężem i traktorzystą, w rozchylonym szlafroku i z obnażonym ciałem, a nie zobaczył w jaki sposób potraktowała męża, gdy się po nią zjawił. Tak naprawdę jednak żal jej było psa. A poza tym lękała się także i o Horsta Sobotę. To był już stary człowiek i chyba zbyt ufny. Dlaczego aż taką miłością zapłonął do tego obcego, zupełnie mu przecież nieznanego człowieka? Czy nie należało do jej obowiązków troszczyć się o Horsta, myśleć o jego bezpieczeństwie? Tym bardziej, że go tak niedawno zawiodła.

— Nie ufam temu człowiekowi — oświadczyła szczerze. — Nie ufam mu, ponieważ nic o nim nie wiem. On ciągle kłamie i kręci. Mówił Kuleszy, że ma żonę, ty zaś twierdzisz, że nie ma żony. A jeśli jest żonaty, czemu jego żona nie pojawiła się tutaj, nie przysyła żadnych listów, a tylko telegram? Zresztą, może to nie był telegram od jego żony. Czy powiedział ci dlaczego wtedy wyjechał i dokąd? Przecież nie od razu stał się strażnikiem łowieckim. Ma chyba ze trzydzieści pięć lat, gdzieś przedtem żył, pracował, mieszkał. Ani słowa o tym. Mówiłeś mu, że jesteś bogaty i został u ciebie, aby walczyć z lasem. A jeśli to zwykły zbir? Jeśli odkryje twój schowek z pieniędzmi i pewnego dnia zniknie wraz z dorobkiem całego twojego życia? Nie wolno, Horście, tak bez zastrzeżeń ufać obcym ludziom. Jesteś chwilami jak małe dziecko. Zawierz moim kobiecym przeczuciom: to zły człowiek.

— Jest zły. Za to go polubiłem — przytaknął Sobota. — Ty jesteś dobra i dlatego dwa razy las cię pohańbił. Z nim to się nie stanie.

Rys. Janusz Szymański Głonc